



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gennie wiedziała, że wreszcie znalazła to, czego szukała, kiedy tylko minęła pierwszy drewniany domek. Niewielkie miasteczko, o trafnej nazwie Windy Point, Wietrzny Cypel, spełniło jej oczekiwania co do tego, jak powinna wyglądać nadmorska wioska w stanie Maine.

Zdecydowała się na ten wyjazd, żeby sprawdzić, czy jej talent sprosta nowemu wyzwaniu. Przedtem szukała inspiracji dla swoich obrazów w swojej wyobraźni, w fantazjach i snach. Tym razem postanowiła trzymać się rzeczywistości. Teraz wiozła więc w bagażniku mnóstwo szkiców nadmorskich krajobrazów, ale...

Do tej pory widziała już wiele osad i wsi, rozrzuconych wzdłuż wybrzeża. Wszystkie wyglądały niemal tak samo. Były ładne, malownicze, ale zbyt idealne. Dopiero w Windy Point dostrzegła coś wyjątkowego.

To miejsce uderzyło ją swoją surowością. Nie widziała tu miękkich linii i bujnej roślinności. Wzdłuż wyboistej drogi rosły tylko karłowate sosny i świerki, powyginane przez wiatr. Kraina była dzika, niegościnna, ale na swój sposób wyjątkowo piękna.

Sama osada przywodziła na myśl starego człowieka, nękanego dolegliwościami wieku. Ściany domów wypłowywały od soli i wiatru, ramy okien pociemniały. Żaden z budynków nie miał wymyślnego kształtu, żadnego nie ozdobiono zbędnymi dodatkami.

Zaintrygowana tym surowym pięknem Gennie minęła zabudowania i zatrzymała się przy cmentarzu, gdzie wśród wysokiej, bujnej trawy wyrastały proste, granitowe nagrobki. Wtedy zawróciła i ruszyła z powrotem. Zaparkowała przed sklepem, domyślając się, że to centralny punkt Windy Point i będzie tu mogła uzyskać potrzebne informacje.

Staruszek siedzący na werandzie w starym bujanym fotelu nawet na nią nie spojrzął, chociaż z pewnością widział, jak przejeżdżała główną ulicą tam i z powrotem. Spokojnie naprawiał drewniany kosz do łowienia homarów. Miał ogorzałą twarz, jasne oczy i stwardniałe od pracy dłonie. Gennie obiecała sobie, że kiedyś go naszkicuje.

Wysiadła z samochodu, po chwili namysłu wzięła torebkę i podeszła do sklepikarza.

- Dzień dobry.

Skinął głową, nie przerywając pracy.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

- Tak. - Uśmiechnęła się lekko, słysząc jego akcent. - Może pan wie, gdzie mogłabym wynająć pokój albo domek na kilka tygodni?

Staruszek omiół ją uważnym spojrzeniem. Miastowa, stwierdził w myślach, z lekką nutą pogardy. I to z południa. Chociaż dla niego południowcami byli nawet mieszkańcy Bostonu, domyślił się, że dziewczyna pochodzi gdzieś z parnych terenów głębokiego południa. Była ładna i zgrabna, a ciemna cera i jasne oczy nadawały jej zdecydowanie cudzoziemski wygląd. Poza tym, jak zresztą wszyscy na południe od Portland, mówiła z dziwnym akcentem.

Nie wyglądała na turystkę, zdecydował w duchu. Bardziej przypominała bajkową księżniczkę z dziecięcych książeczek jego wnuczki. Miała delikatne rysy twarzy, subtelny zarys podbródka i szlachetnie zaznaczone kości policzkowe. Jej uroda mogłaby wręcz onieśmielać, gdyby nie miły uśmiech i przyjazne spojrzenie oczu w kolorze morskiej wody.

Gennie cierpliwie czekała, ze spokojem poddając się oględzinom. Przebywała w Nowej Anglii od kilku miesięcy i wiedziała, jak postępować z tutejszymi ludźmi. Większość z nich była przyjaźnie nastawiona, ale musiało upłynąć trochę czasu, zanim dali to po sobie poznać.

- Nie przyjeżdża tu wielu letników - odezwał się wreszcie sklepikarz. - A teraz, po sezonie, wszyscy już wyjechali.

Gennie wiedziała, że staruszek o nic nie zapyta jej wprost, chociaż pewnie umiera z ciekawości. Uznała, że może być wobec niego bardziej wylewna.

- Chyba nie zaliczam się do letników, panie...

- Fairfield. Joshua Fairfield.

- Genvieve Grandeau. - Energicznie uściśniła jego stwardniałą dłoń. - Jestem artystką. Przyjechałam tu, żeby malować.

A więc to artystka, rozważał staruszek. Owszem, lubił ładne obrazki, ale raczej nie miał zaufania do malarzy. Rysowanie to miła rozrywka, ale żeby parać się czymś takim zawodowo... Jednak dziewczyna miała szczerzy uśmiech i budziła jego sympatię.

- Chyba znalazłby się mały domek, jakieś trzy kilometry stąd. Wdowa Lawrence jeszcze go nie sprzedała. - Poruszył się, a jego fotel zaskrzypiał. - Może zechce go na jakiś czas wynająć.

- To brzmi zachęcająco. Gdzie mogę ją znaleźć?

- Po drugiej stronie ulicy, na poczcie. - Kilka sekund kołysał się w milczeniu. - Powiedz jej, że to ja cię przysyłam - dodał po namyśle.

Gennie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję, panie Fairfield.

Poczta okazała się małym pomieszczeniem z wąskim kontuarem. Przy umocowanych na jednej ze ścian przegródkach na listy sortowała pocztę kobieta w ciemnej, bawełnianej sukience, ze starannie upiętym w tyle głowy warkoczem. Ona nawet wygląda jak wdowa Lawrence, pomyślała Gennie, uśmiechając się w duchu.

- Bardzo przepraszam - odezwała się głośno. Kobieta odwróciła się, szybko zmierzyła Gennie pytającym spojrzeniem i podeszła do kontuaru.

- Słucham, o co chodzi?

- Czy pani Lawrence?

- Tak. Fairfield powiedział mi, że ma pani mały domek Pan Fairfield powiedział mi, że ma pani mały domek do wynajęcia.

Kobieta zacisnęła wąskie wargi, ale poza tym jej twarz pozostała nieporuszona.

- Owszem, mam domek, ale do sprzedania.

- Tak, właśnie tak mi powiedział. - Gennie znów się uśmiechnęła. Bardzo chciała zamieszkać w pobliżu tego miasteczka, a domek oddalony od niego o trzy kilometry wydawał się dla niej wprost wymarzony. - A może zdecydowałyby się pani wynająć mi go na kilka tygodni? Jeśli trzeba, postaram się o jakieś referencje.

Wdowa Lawrence chłodno spoglądała na Gennie. Nie potrzebowała żadnych referencji, sama była w stanie ocenić każdego człowieka.

- Dokładnie na jak długo chciałabyś go wynająć?

- Na miesiąc, może półtora.

Zerknęła na rękę Gennie. Dostrzegła na palcu misterny złoty pierścionek, ale nie zauważyła obrączki.

- Będiesz tam mieszkać sama? - zapytała wprost.

- Tak - potwierdziła Gennie z uśmiechem. - Nie jestem zameżna. Od kilku miesięcy podróżuję po Nowej Anglii i maluję. Chciałabym trochę czasu spędzić tutaj, w Windy Point.

- Malujesz? - Wdowa znów spojrzała na nią czujnie.

- Owszem.

Wdowa Lawrence szybko doszła do wniosku, że Gennie można zaufać. Nie często spotyka się młoda kobietę, która nie paple bezustannie o sobie. A poza tym pusty dom nie przynosił żadnego pożytku.

- W domu jest czysto i wszystkie instalacje działają, tylko kuchenka miewa humory. Dach był naprawiany dwa lata temu. Są tam dwie sypialnie, ale jedna stoi pusta.

Chociaż wdowa mówiła spokojnie, a jej oczy nie zdradzały żadnych uczuć, Gennie zdała sobie sprawę, że dla tej kobiety to bolesna chwila. Zapewne przypomniały jej się długie lata, jakie przeżyła w tym domu.

- W pobliżu nie ma innych domów - ciągnęła pani Lawrence. - Odłączyłam też telefon. Jeśli ci na tym zależy, możesz założyć sobie nowy.

- Brak telefonu wcale mi nie przeszkadza, a cały opis brzmi bardzo zachęcająco - stwierdziła Gennie. W jej głosie słyhać było zrozumienie i współczucie. Wdowa odkaszlnęła cicho. Kiedy podała cenę za miesięczny wynajem, Gennie mile się zdziwiła. Długie wahanie nie leżało w jej naturze, więc szybko odpowiedziała: - Zgadzam się.

Na twarzy pani Lawrence po raz pierwszy odmalowało się lekkie zaskoczenie.

- Nawet go nie obejrzysz?

- Nie potrzebuję. - Gennie bez ociągania się wyjęła z torebki książeczkę czekową i sprawnie wypisała czek. - Proszę mi powiedzieć, co muszę sobie kupić z pościeli i naczyń kuchennych.

Pani Lawrence spojrzała na czek.

- Genevieve - wymamrotała pod nosem.

- Genvieve - poprawiła Gennie. - To po babci - wyjaśniła z uśmiechem. - Wszyscy mówią do mnie Gennie.

Godzinę później Gennie miała w torebce klucze do domu. Na tylnym siedzeniu samochodu leżały dwa pudła z zakupami, a obok deski rozdzielczej plan dojazdu. Odprowadzały ją ukradkowe, badawcze spojrzenia mieszkańców osady.

Zmierzchało. Groźne chmury wisiały nisko nad ziemią, a wiatr przybierał na sile, ale dzięki temu Gennie jeszcze bardziej cieszyła się nową przygodą. Jechała wąską, wyboistą drogą w stronę morza z poczuciem, że za horyzontem czeka ją coś nowego i ekscytującego.

Umiłowanie przygody odziedziczyła po przodkach. Jej prapradziadek był piratem, nieustraszoną zdobywcą morza. Jego dziennik okrętowy należał do najcenniejszych skarbów Gennie. Philippe Grandeau opisał swoje występkę z wielkim talentem i pełnym ironii poczuciem humoru. Gennie bez namysłu poszłaby w ślady przodka - korsarza i gdyby tak się przydarzyło, z przyjemnością rzuciłaby się w wir wielkiej przygody.

Samochód podskakiwał na wybojach, a ona przyglądała się otaczającym ją widokom, tak odmiennym od tych z jej rodzinnego Nowego Orleanu, gdzie dni płynęły leniwie, a noce spędzano na szampańskich zabawach. Tutaj, wśród smaganych wiatrem skał, należało stale mieć się na baczności.

Chociaż robiło się coraz później, Gennie zatrzymała się. Czują, że musi przelać swoje wrażenia na papier. Wyjęła szkicownik i ołówek, wciągając w nozdrza zapach rozkładających się ryb i wodorostów. Nie skrzywiła się. Rozumiała, że to jest część tej dziwnej siły, która od zawsze ciągnie człowieka ku morzu.

Nieopodal znajdowała się zatoka, której wody burzył przybierający na sile wiatr. Z ziemi wystawały wygładzone przez czas kamienie. Na poboczu drogi rosły kępy jeżyn, których gałęzie ugięły się od ostatnich owoców lata. Wiatr wzdychał i zawodził.

Nieczęsto zdarzało się Gennie czuć taką wolność. Nie musiała się przed nikim tłumaczyć, nigdzie się nie śpieszyła. Rozluźniona, ale pełna radosnego ożywienia, szkicowała z zapalem. Cieszyła się, że nie słyszy żadnych odgłosów ludzkiej aktywności. Tak, w Windy Point podobało jej się zdecydowanie.

Skończyła rysować i wrzuciła szkicownik do samochodu. Gdyby nie to, że zaczęło się ściemniać, zostałyby tu dłużej, poszłyby nad wodę. Nic straconego. Czekają ją długie dni rysowania... I kto wie, co jeszcze przyniesie najbliższy miesiąc. Z uśmiechem przekręciła kluczyk w stacyjce.

Kiedy usłyszała tylko przerywany grzechot, spróbowała jeszcze raz. Tym razem rozległo się głucho stęknienie i zdecydowanie złowróbnny zgrzyt. W Bath miała co prawda, kłopoty z samochodem, ale miejscowy mechanik naprawił, co trzeba. Od tego czasu wszystko działało bez zarzutu.

Gennie pomyślała o wybojach na drodze i doszła do wniosku, że pewnie coś się poluzowało. Lekko zniecierpliwiona wyszła z samochodu i podniosła maskę.

Już po chwili musiała jednak przyznać, że nawet gdyby miała jeszcze jakieś narzędzia, oprócz śrubokręta i latarki, to i tak nie wiedziałyby, jak ich użyć. Zamknęła maskę i spojrzała na drogę. Ani żywej duszy. Ciemności stawały się coraz głębsze, a jedynym dźwiękiem był szum wiatru.

Oszacowała, że znajduje się mniej więcej w połowie drogi między miasteczkiem a domem. Jeśli wróci do Windy Point, może znajdzie kogoś, kto ją podwiezie na miejsce, ale jeśli pójdzie dalej, za kwadrans pewnie dotrze do domku. Bez wahania podjęła decyzję. Wzięła latarkę ze schowka na rękawiczki i zrobiła to, co leżało w jej naturze. Ruszyła naprzód przed siebie.

Niemal natychmiast musiała zapalić latarkę. Droga była równie nieprzyjemna dla pieszego jak dla kierowcy, ale nie zeszła z niej, ponieważ bała się, że się zgubi albo wpadnie do zatoki. Zaciekawilo ją, czy ten odcinek drogi, kamienisty i poznaczony głębokimi koleinami, jest często używany.

Szybko zapadła całkowita ciemność, ale wiatr wcale nie ustał. Nisko przy ziemi snuły się mgliste smugi i Gennie miała nadzieję, że dotrze do celu, zanim mgła zgęstnieje. Wkrótce jednak zapomniała o mgle, kiedy rozszalała się burza.

W innych okolicznościach Gennie nie przejęłaby się tym, że jest przemoczona do suchej nitki, ale nawet jej umiłowanie przygody nieco słabło wśród wyjącego wiatru, zacinającego deszczu i w całkowitej ciemności, którą przecinał żałośnie słaby promień światła latarki. Jej pierwszą reakcją była irytacja, potem pojawiło się zniecierpliwienie, a wreszcie niepokój.

Błyskawice oświetlały grupy skał i skarłate krzewy, które rzucały dziwaczne, poskręcane cienie. Nawet kobieta o mniej artystycznej duszy patrzyłaby na nie z niepokojem. Wybujała wyobraźnia Gennie podsuwała jej wizje złośliwych gnomów, czających się w ciemności. Próbowwała nucić coś fałszywie pod nosem, żeby odegnać paraliżujący strach. Starła się skupić wzrok na świetle latarki.

Wszystko na próżno. Strach coraz mocniej ścisnął ją za gardło. Przeszła już chyba ponad półtora kilometra, a wciąż nie dotarła do wynajętego domku. Może już go minęła?

Poświeciła dokoła latarką. Nad jej głową przetoczył się grzmot, a deszcz zacinął prosto w twarz. W tych warunkach trzeba było cudu, żeby znaleźć opuszczony, ciemny domek jedynie z pomocą zwykłej latarki.

Teraz nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do samochodu i przeczekać w nim burzę. Perspektywa spędzenia długiej, deszczowej nocy w ciasnej kabinie nie była miła, ale lepsze to niż błąkanie się po bezludziu podczas ulewy. Przypomniała sobie, że zostawiła w samochodzie paczkę ciastek. Westchnęła i jeszcze raz rozejrzała się wokół, przyświecając sobie latarką.

Nagle coś dostrzegła. Zamrugła kilka razy i wyteżyła wzrok. Tak, zobaczyła w oddali światło, a to oznaczało schronienie, ciepło, ludzką obecność. Bez namysłu ruszyła w tamtą stronę.

W gęstniejących ciemnościach z trudem pokonywała wyboistą drogę. Musiała poruszać się wolno, uważnie wpatrując się w ziemię pod stopami, żeby przypadkiem się nie przewrócić. Nie mogła dopuścić, żeby opanował ją strach, chociaż serce biło jej mocno z wysiłku.

Straciła już niemal wiarę, że kiedykolwiek będzie jej ciepło i sucho. Światło przed nią nadal płonęło jednak równym blaskiem, dając jej siłę, by wciąż przedzierać się naprzód. Gdyby nie to, chyba usiadłaby na środku drogi i zaczęła płakać.

Kiedy za kurtyną deszczu dostrzegła zarys budynku, niemal roześmiała się w głos. Dotarła do latarni morskiej, prowadzące ją światło nie paliło się jednak na szczycie wieży, ale w oknie na drugim piętrze.

Gennie nie zastanawiała się nad tym, tylko przyśpieszyła kroku. Ktoś tam mieszkał, pewnie jakiś przygięty do ziemi staruszek, były marynarz. Jak sądziła, powitają niezbyt wylewnie, ale na pewno da schronienie i poczęstuje rumem.

Walcząc z deszczem, który siekł prosto w jej oczy, odnalazła grube, drewniane drzwi i uderzyła w nie pięścią, jednak odgłosy burzy zagłuszały wszelkie inne dźwięki. Niebezpiecznie bliska paniki, znów załomotała w grube deski. Czyżby pokonała tak długą drogę tylko po to, żeby u celu nikt jej nie usłyszał?

Zdesperowana przywarła do drzwi policzkiem i nadal uderzała w nie ze wszystkich sił. Stary latarnik na pewno jest w środku, myślała gorączkowo, łomocąc uparcie. Pochłonięta tą czynnością, przeoczyła moment, kiedy wreszcie jej otworzono, straciła równowagę i runęła do środka. Ktoś chwycił ją mocno za ramiona, nie pozwalając upaść.

- Dzięki Bogu! - wydusiła z trudem Gennie. - Bałam się, że nikt mnie nie usłyszy. - Odgarnęła z czoła ociekające wodą włosy i spojrzała na swojego wybawiciela.

Przede wszystkim nie był to żaden przygarbiony starzec, ale młody, szczupły mężczyzna. Nieznajomy miał ciemne i gęste włosy, pełne usta o zmysłowej linii, a jego nos był nieco zbyt arystokratyczny, jak na ogorzałą twarz marynarza. Brązowe oczy pod ciemnymi brwiami spoglądały na nią bez zaciekawienia i niezbyt przyjaźnie. Gennie spostrzegła, że gospodarz latarni jest po prostu poirytowany.

- Skąd się tu, u diabła, wzięłaś?

Nie takiego powitania oczekiwała, ale mozolny marsz w deszczu chwilowo pozbawił ją refleksu.

- Przyszłam piechotą - odpowiedziała niezbyt rozsądnie.

- Piechotą? - powtórzył zdziwiony. - W taką pogodę? Z daleka?

- Przeszłam kilka kilometrów. Samochód mi się popsuł. - Zaczęła dygotać, może z zimna, a może ze zdenerwowania. Nieznajomy nadal trzymał ją mocno, a ona była jeszcze zbyt oszołomiona, żeby się wyswobodzić.

- Dlaczego jeździłaś po tej okolicy w taką noc jak dziś?

- Wynajęłam dom od pani Lawrence. Samochód mi się popsuł, pewnie w ciemności nie zauważyłam rozwidlenia drogi. Zobaczyłam światło. - Nabrała głębiej powietrza i dopiero teraz poczuła, że trzęsą jej się nogi. - Mogę usiąść?



Patrzył na nią przez długą chwilę, a potem mamrocząc coś pod nosem, pchnął ją w stronę kanapy. Gennie usiadła z ulgą, odchyliła głowę i postarała się uporządkować mętlik w głowie.

Grant, bo tak miał na imię mieszkaniec latarni, zastanawiał się tymczasem, co począć z nieproszonym gościem. Spoglądał na nią z badawczo. Wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Czarne jak noc, lekko falujące włosy opadały jej na policzki mokrymi pasmami. Mimo to przywodziła mu na myśl celtycką lub galijską księżniczkę o delikatnych rysach twarzy i zgrabnym, wysportowanym ciele. Przemoczone ubranie przylegało do niej ciasno, natychmiast więc zwrócił uwagę na ten szczegół jej urody.

Doszedł do wniosku, że w pewnych okolicznościach mógłby ją uznać za całkiem atrakcyjną kobietę, ale piorunujące wrażenie zrobiły na nim dopiero jej oczy, kiedy podniosła na niego wzrok. Były zielone, wielkie, lekko skośne. Przez ułamek sekundy Grand zastanawiał się, czy nieznajoma nie jest jakaś mityczną istotą, którą sztorm wyrzucił na brzeg.

Jej wizyta jednak wcale nie sprawiła mu radości. Kiedy otwarcie się do niego uśmiechnęła, pożałował nawet, że otworzył drzwi.

- Przepraszam - odezwała się Gennie. - Zdaje się, że nie przedstawiłam się jak należy. Maszerowałam w deszczu pewnie nie dłużej niż godzinę, ale czuję się tak, jakby minęły całe wieki. Jestem Gennie.

Grant wsunął kciuki w kieszenie dżinsów i znów zmarszczył brwi.

- Campbell, Grant Campbell - rzucił.

Nic więcej nie dodał, tylko zmierzył ją niezbyt przyjaznym spojrzeniem, więc Gennie starała się podtrzymać rozmowę.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, panie Campbell, jak się ucieszyłam, kiedy zobaczyłam światło.

- Skręt do domu wdowy Lawrence znajduje się o jakieś dwa kilometry stąd - mruknął po chwili milczenia.

Zdziwiona jego chłodnym tonem Gennie uniosła brwi. Czyżby się spodziewał, że wyjdzie znów na deszcz i będzie do rana szukała domku wdowy? Gennie na ogół wykazywała się łagodnym, jak na malarkę, usposobieniem, ale teraz była zmarznięta i mokra. Wrogi wyraz twarzy Granta dokonał reszty. Straciła cierpliwość.

- Wie pan co, zapłacę panu za kubek kawy i skorzystanie z tego. - Uderzyła dłonią w kanapę, wzbijając obłoczek kurzu. - Tylko na jedną noc.

- Nie wynajmuję pokoi.

- I pewnie kopnąłby pan chorego psa, gdyby stanął panu na drodze - dorzuciła spokojnie Gennie. - Trudno. Ja się stąd dzisiaj nie ruszę. I lepiej niech pan nie próbuje wyrzucać mnie siłą.

Rozbawiło go jej wojownicze oświadczenie, ale nie dał nic po sobie poznać. Nie wyjaśnił też, że wcale nie zamierzał jej wyrzucić na deszcz. Chciał jedynie dać jej do zrozumienia, że nie cieszy się z tej wizyty i nie przyjmie od niej pieniędzy. Gdyby nie to, że był zdenerwowany, z pewnością bardziej doceniłby jej upór i animusz, który nie opuszczał jej mimo zmęczenia.

Bez słowa podszedł do starej, dębowej szafki i zaczął w niej czegoś szukać. Urażona Gennie patrzyła prosto przed siebie, nawet kiedy usłyszała chlupot wlewanego do szklaneczki płynu.

- W tej chwili brandy zrobi ci lepiej niż kawa - powiedział Grant i podsunął jej szklaneczkę.

- Dziękuję - odparła lodowatym tonem. Wypiła trunek jednym haustem, żeby szybko rozlewające się po ciele ciepło pomogło jej dojść do siebie i z uprzejmym skinieniem głowy oddała mu pustą szklaneczkę. Grant o mało się nie uśmiechnął.

- Jeszcze jednego drinka? - zaproponował.

- Nie, dziękuję - odrzekła chłodno.

Pokazała mu, gdzie jego miejsce niczym obrażona księżniczka, pomyślał lekko rozbawiony Grant. Poza tym jednak nie było mu do śmiechu. Gorączkowo zastanawiał się, co robić dalej.

Odgłosy burzy docierały do niego nawet przez grube ściany latarni. Droga do domu wdowy, chociaż krótka, byłaby nieprzyjemna, może nawet niebezpieczna. Mniej kłopotu sprawi mu przenocowanie dziewczyny. Niezadowolony, mruknął coś niecierpliwie pod nosem i ruszył do drzwi.

- Chodź za mną - polecił jej, nie oglądając się za siebie. - Nie przesiedzisz przecież całej nocy na kanapie, trzęsąc się z zimna.

Przez chwilę Gennie miała ochotę cisnąć w niego torebką, ale opanowała się i posłusznie ruszyła za gospodarzem w górę krętych schodów.

Grant poruszał się zręcznie jak kot i bez trudu wspiął się na drugi poziom, który, zdaniem Gennie, znajdował się jakieś sześć metrów ponad pierwszym. Ona tymczasem kurczowo trzymała się poręczy i niecierpliwie czekała, żeby zapalił światło.

W nikłym blasku zobaczyła podłogę z desek. Grant wszedł w drzwi po prawej, za którymi znajdowała się jego sypialnia, mała, niezbyt starannie wysprzątana, ale ze starym

łóżkiem z kutego żelaza, które od razu spodobało się Gennie. Bez słowa podszedł do szafy i po chwili wyjął z niej wyblakły szlafrok frotte.

- Pysznic jest po drugiej stronie korytarza - oznajmił krótko, rzucił jej szlafrok i odszedł.

- Bardzo dziękuję - wykrztusiła. Uniosła dumnie głowę i poszła do łazienki.

Łazienka była niewiele większa od sporej szafy, ale wyłożono ją cedrowym, lakierowanym drewnem. Stała tu biała, porcelanowa wanna, wyposażona w mosiężną armaturę, starannie wypolerowaną przez właściciela. Nad umywalką wisiało wąskie lustro i lampka, którą zapalało się, pociągając za sznurek.

Gennie z ulgą zdjęła zimne, mokre ubranie, weszła do wanny i zaciągnęła cienką zasłonę. Już po chwili gorąca woda z prysznicą ogrzała jej ciało. Doszła do wniosku, że nawet w raju nie może być lepiej, chociaż akurat w tym rajy rządził prawdziwy diabeł.

Tymczasem Grant zaparzył w kuchni dzbanek świeżej kawy, a po chwili namysłu otworzył jeszcze puszkę zupy. Gdyby nie przemoknięta kobieta, która niespodziewanie stanęła na jego progu, zajmowałby się zupełnie czymś innym. Teraz będzie musiał pracować godzinę dłużej, żeby nadrobić zmarnowany czas. Kiedy pierwszy gniew minął, musiał jednak przyznać, że człowiekowi zaskoczonemu przez burzę należy udzielić schronienia i nakarmić go czymś ciepłym. Ale na tym koniec.

Uśmiech na chwilę rozjaśnił jego twarz. Przypomniawszy sobie, jak na niego patrzyła, kiedy ociekająca wodą siedziała na jego kanapie. Z pewnością nie była mdlejącym z byle powodu kobieciątkiem. Dla takich Grant nie miał cierpliwości. Kiedy pragnął towarzystwa, dobierał sobie takich ludzi, którzy jasno mówili, co myślą, i umieli bronić swojego zdania. Może właśnie dlatego, że ona do takich należała, dzisiaj dość łatwo zrezygnował z narzuconego sobie dobrowolnie rozkładu zajęć.

Upłynął niespełna tydzień od jego powrotu z Hyannis Port, gdzie jego siostra Shelby poślubiła Alana MacGregora. Ku swojej lekkiej irytacji stwierdził, że ta uroczystość go wzruszyła. MacGregorowie bez większego trudu namówili go, żeby został jeszcze kilka dni. Polubił ich, zwłaszcza hałaśliwego Daniela, a przecież zwykle bardzo wolno nabierał przekonania do nowo poznanych ludzi. Od dzieciństwa był bardzo ostrożny, ale klanowi MacGregorów nie potrafił się oprzeć. No i sam ślub nieco go zmiękczył.

Kiedy prowadził siostrę do ołtarza, zastępując w tej roli nieżyjącego ojca, czuł zarazem radość i ból. Kilka dni wśród MacGregorów przed powrotem do Windy Point sprawiło mu prawdziwą przyjemność. Czuł się wśród nich tak dobrze, że nawet dociekliwe pytania Daniela na temat jego życia osobistego tylko go rozbawiły i z wdzięcznością przyjął

zaproszenie, które upoważniało go do odwiedzania rodziny, kiedy tylko zapragnie. Zamierzał z niego skorzystać.

Teraz miał tak dużo pracy, że nie mógł sobie pozwolić na wyjazd, jednak krótka przerwa na pewno mu nie zaszkodzi. O ile będzie rzeczywiście krótka. Dziewczyna może spędzić jedną noc w pokoju gościnnym, ale rano musi się wynieść.

Kiedy zupa zaczęła bulgotać na kuchni, Grant był w nastroju niemal pogodnym. Usłyszał kroki na schodach, chociaż na zewnątrz nadal huczał sztorm. Odwrócił się, chcąc powiedzieć jej coś w miarę przyjaznego, ale na widok Gennie w jego szlafroku zaparło mu dech w piersiach.

Ależ była piękna! Tak piękna, że zburzyła spokój jego umysłu. W zbyt dużym szlafroku wyglądała jeszcze drobniej, chociaż podwinęła rękawy aż do łokci. Wyblakły niebieski materiał podkreślał miodowy odcień jej skóry. Wilgotne włosy zaczesana gładko do tyłu, tak że tylko kilka niesfornych loków okalało jej twarz. Spoglądała na niego jasnozielonymi oczami spod ciemnych rzęs i wyglądała zupełnie jak syrena.

- Siadaj - polecił oschle, rozdrażniony własną reakcją. - Jak masz ochotę, zjedz trochę zupy.

Gennie zatrzymała się na chwilę, spojrzała badawczo na jego plecy, a potem usiadła przy drewnianym stole.

- Dziękuję, chętnie.

Grant burknął coś pod nosem i z rozmachem postawił przed nią talerz. Wzięła łyżkę i zaczęła jeść. Nie zamierzała się obrażać, była na to o wiele za głodna. Zdziwiła się, kiedy Grant usiadł naprzeciw niej, również z talerzem zupy. Nic jednak nie powiedziała.

Z początku jadła ze wzrokiem wbitym w talerz, ale kiedy zaspokoila najdokuczliwszy głód, zaczęła się rozglądać. Pod ścianami stały szafki z surowego drewna, w których bez trudu mieściły się wszystkie kuchenne sprzęty. Błaty były również drewniane, ale starannie wygładzone i wypolerowane. Spostrzegła też nowoczesne udogodnienia w postaci ekspresu do kawy i tosterka.

Po namyśle stwierdziła, że Grant utrzymuje kuchnię w większym porządku niż resztę domu. Sprzęty były stare i dość zużyte, ale czyste. W zlewie nie piętrzyły się brudne naczynia, nie dostrzegła nigdzie okruszków ani rozlanych napojów. Pachniało zupą i kawą.

Kiedy zaspokoila głód, złagodniał również jej gniew. W końcu wtargnęła tu nieproszona. Nie każdy z uśmiechem i otwartymi ramionami przyjmuje niezapowiedzianych gości. Grant patrzył na nią groźnie, ale nie zatrzęsął jej drzwi przed nosem. I dał jej coś suchego do ubrania oraz talerz ciepłej zupy.

Jej wzrok prześlizgnął się po blacie stołu, aż w końcu natrafił na dłonie Granta. Dobry Boże, pomyślała oszołomiona, jakie piękne ręce, nieodparcie męskie, ale i delikatne. Równie łatwo mogła sobie wyobrazić, że trzymają flet, jak i szablę. Nadgarstki miał wąskie, ale nie sprawiały wrażenia słabych - raczej silnych i zręcznych. Wierzch dłoni był gładki i mocno opalony, palce długie i szczupłe, a paznokcie proste i krótko obcięte.

Skupiona na jego rękach, zapomniała o całym świecie. Czując narastające podniecenie i nie starała się go stłumić. Na pewno każda kobieta na widok takich cudownych dłoni zastanawiała się, jak by zareagowała na ich dotyk. Takie ręce mogły zerwać z kobiety ubranie, ale też łagodnie ją rozebrać, zanim zdołałaby spostrzec, co się dzieje.

Gennie opanowała się. O czym też ona myśli! Nawet w wyobraźni nie powinna się zapuszczać na tak niebezpieczne tereny. Trochę oszołomiona uczuciami, które tak niespodziewanie nią owładnęły, uniosła wzrok.

Grant obserwował ją chłodno. Kiedy nagle przestała jeść, spostrzegł, że patrzy na jego dłonie, ale nie potrafił rozszyfrować wyrazu jej oczu, ocienionych długimi rzęsami. Czekał, wiedząc, że wcześniej czy później musi na niego spojrzeć. Spodziewał się w jej spojrzeniu gniewu lub lodowatej uprzejmości, a zobaczył całkowitą bezbronność. Nawet kiedy przemoczona stanęła chwiejnie na jego progu, nie wydawała się taka bezradna. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby nagle wstał, chwycił ją w ramiona i zaciągnął na górę, do sypialni? Drgnął i mruknął coś niewyraźnie. Co też, do licha, chodzi mu po głowie?

Patrzyli na siebie owładnięci uczuciami, do których żadne z nich nie chciało się przyznać. Wreszcie Grant z rozmachem odsunął krzesło i wstał. Oczy mu pociemniały od tłumionego gniewu. W żołądku czuł ucisk hamowanego pożądania.

- Na górze jest pokój gościnny z rozkładanym łóżkiem - oznajmił.

Gennie poczuła, że ze zdenerwowania zwilgotniały jej dłonie, i bardzo ją to rozzłościło. Zwróciła złość przeciwko Grantowi.

- Wystarczy mi ta kanapa - oznajmiła chłodno.

- Jak chcesz - odrzekł, wruszając ramionami i wyszedł. Gennie zaczekała, aż na schodach zadudniły jego kroki, a potem przycisnęła dłonie do brzucha. Obiecała sobie, że następnym razem, kiedy zobaczy migoczące w ciemnościach światło, pobiegnie w przeciwną stronę, jakby ją ścigał sam diabeł.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Grant nie znosił, kiedy mu przerywano to, co robił. Nie przeszkadzało mu, gdy ktoś obrzucał go wyzwiskami lub okazywał mu niechęć, ale nie tolerował ludzi, którzy przerywali mu pracę. Nie zależało mu zbytnio na akceptacji otoczenia, jeśli tylko otoczenie to dawało mu spokój.

Dorastał, patrząc na ojca, który bardzo się starał zdobyć sympatię ludzi. Nawet jako dziecko Grant wiedział, że jego ojciec oczekuje od innych wyraźnego zaangażowania emocjonalnego. Jedni go kochali, inni się go bali lub go nienawidzili. Nikt nie pozostawał wobec niego obojętny. Potrafił zdobyć się na wielki wysiłek, żeby wyświadczyć komuś przysługę i nie było ważne, czy chodzi o przyjaciela czy kogoś nieznanego. Miał szczytne ideały, dobrą pamięć i podziwu godny talent do przemawiania. Senator Robert Campbell uważał, że jego obowiązkiem jest być blisko ludzi. I był blisko nich, kiedy dosięgły go trzy kule zamachowca.

Grant za śmierć ojca obwiniał nie tylko człowieka, który pociągnął za spust, i wymagania zawodu polityka, jak to czyniła jego siostra. W pewien sposób Grant obarczał winą również ojca. Robert Campbell poświęcił się dla świata i świat go zabił. Może właśnie dlatego Grant nie poświęcał się dla nikogo.

Jego domem stała się latarnia morska. Odpowiadało mu, że mieszka tak daleko od ludzi. Potrzebował samotności ze względu na rodzaj pracy, jaką wykonywał. Uważał możliwość spokojnego, niezakłóconego nieproszonymi wizytami myślenia za swoje święte prawo. Nikomu, ale to nikomu nie wolno było naruszać jego spokoju.

Minionej nocy przybycie Gennie zmusiło go do przerwania pracy, którą akurat się zajmował. Grant byłby zdolny zignorować łomotanie do drzwi, ale ponieważ tok jego myśli i tak został zakłócony, zszedł na dół z zamiarem uduszenia intruza. Gennie miała szczęście, że skończyło się jedynie na nieuprzejmym potraktowaniu, tym bardziej że niedawno zagniewany Grant zagroził jakiemuś nieszczęsnemu turyście, że strąci go ze skały do oceanu.

Kiedy zostawił Gennie w kuchni, potrzebował godziny, by ponownie się skupić, więc nim skończył to, co zamierzał, upłynęła większa część nocy. Ledwie się położył, a już wzeszło słońce, oświetlając ukośnymi promieniami jego łóżko.

Półprzytomny po niecałych czterech godzinach snu słuchał głosu, który dobiegał z dołu. Dziewczyna nuciła jakaś łatwo wpadającą w ucho piosenkę, którą można było usłyszeć za każdym razem, kiedy włączyło się radio. Miała ładny, niski głos, a piosenka w jej

wykonaniu nabrała uwodzicielskiego brzmienia. Nie dość, że wczoraj oderwała go od pracy, to teraz na dodatek budziła go ze snu.

Przykrył głowę poduszką i dzięki temu nie słyszał już głosu Gennie. Nie potrafił jednak stłumić swoich uczuć. W ciepłym łóżku łatwo mu było puścić wodze fantazji. Z cichym przekleństwem odrzucił poduszkę, wyskoczył z łóżka i włożył spodnie.

Zbiegł na dół i rozejrzał się uważnie. Koc, pod którym spała, leżał już starannie złożony na kanapie. Grant spojrzął na niego groźnie, a potem za głosem Gennie podążył do kuchni.

Stała przy kuchence, trzymając patelnię, na której skwierczał bekon. Wciąż miała na sobie jego szlafrok, była bosa, a gęste włosy spływały jej na ramiona. Z trudem stłumił ochotę, by ich dotknąć.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - wycodził ze złością.

Gennie odwróciła się gwałtownie, odruchowo przykładając dłoń do serca. Mimo niewygodnego posłania obudziła się w doskonałym humorze i głodna jak wilk. Słońce świeciło, pokrzykiwały mewy, a lodówka była dobrze zaopatrzona. Krzątając się po kuchni, doszła do wniosku, że Grant Campbell zasłużył na jeszcze jedną szansę. Obiecała sobie, że będzie dla niego miła, choćby sporo ją to kosztowało.

Stał teraz przed nią, półnagi i najwyraźniej rozgniewany, z potarganymi od snu włosami i cieniem zarostu na policzkach. Gennie uśmiechnęła się z determinacją.

- Przygotowuję śniadanie. Pomyślałam sobie, że przynajmniej tak mogę ci się odwdzięczyć za gościnność.

Grant zamrugał powiekami. Podobnie jak poprzedniej nocy, znów odniósł wrażenie, że już ją gdzieś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Przybrał więc jeszcze surowszą minę.

- Nie lubię, kiedy ktoś przestawia moje rzeczy. Gennie już miała odpowiedzieć mu zaczepnie, ale szybko się opanowała.

- Nic nie popsulam, jedyne co na razie stłukłam, to jajko - powiedziała, siłąc się na dowcip, żeby rozładować sytuację, i wskazała miskę jajek, z których chciała zrobić jajecznicę. - Bądź miły, nalej sobie kawy i siedź cicho - nakazała łagodnie i lekko unosząc głowę, odwróciła się do niego plecami.

Grant uniósł brwi, nie tyle ze zdziwienia, co z podziwu. Nie każdy potrafi wydawać rozkazy słodkim głosem, i to tak skutecznie. Miał przecucie, że nie był pierwszym, któremu wydała taki rozkaz. Tłumiąc uśmiech, sięgnął po kubek i zrobił, co mu kazała.

Gennie w milczeniu dokończyła przyrządzanie śniadania. Miał wrażenie, że tylko dlatego nie mamrocze ze złością pod nosem, że chce mu pokazać, jak bardzo jest jej obojętny. Był prawie pewien, że w duchu klnie w tej chwili jak szewc.

Kilka łyków kawy sprawiło, że opuściła go senność i pojawił się głód. Pierwszy raz siedział beczynnym w swojej kuchni, a kobieta przygotowywała mu posiłek. Wcale nie pragnął, żeby tak było zawsze, ale podobała mu się taka odmiana.

Nadal milcząc, Gennie postawiła na stole talerze i półmisek z jajecznicą na bekonie. Bez słowa nałożył sobie pełny talerz.

- Po co jechałaś do domu pani Lawrence? - zapytał. Spojrzała na niego gniewnie. Aha, więc teraz mamy prowadzić uprzejmą rozmowę, pomyślała ze złością.

- Chcę go wynająć - wyjaśniła krótko, z rozmachem soląc swoją porcję jajecznicy.

- Wydawało mi się, że pani Lawrence chce go sprzedać.

- Bo chce.

- Trochę już późno na wynajmowanie letniego domu. To prawie koniec sezonu.

- Nie jestem turystką - odparła, wzruszając ramionami i nie odrywając wzroku od talerza.

- Nie? - Spojrzał na nią, jak jej się wydawało, badawczo i natarczywie. - Przyjechałaś z Luizjany, prawda? Z Nowego Orleanu? Baton Rouge?

- Z Nowego Orleanu. - Zapomniała na chwilę, że jest na niego zła, i zerknęła na niego spod oka. - Ty też stąd nie pochodzisz.

- Nie - uciał krótko.

O, nie. To mu się nie uda, postanowiła Gennie. Nie może tak zaczynać rozmowy, a potem przerywać, kiedy mu przyjdzie ochota.

- Dlaczego zamieszaleś w latarni? - dociekała. - Jest nieczynna, tak? To, co wczoraj dostrzegłam z daleka, to było światło w oknie.

- Ta okolica jest w zasięgu radaru straży nadbrzeżnej. Latarnia przestała działać dziesięć lat temu. Zabrakło ci benzyny? - zapytał, zanim się spostrzegła, że właściwie nie odpowiedział na jej pytanie.

- Nie. Zatrzymałam się na kilka minut na poboczu, a potem nie mogłam zapalić. - Przełknęła kawałek bekonu. - Pewnie będę musiała sprowadzić pomoc drogową.

Grant wydał z siebie dźwięk podobny do śmiechu.

- W Windy Point nie znajdziesz pomocy drogowej. Rzucę okiem na twój samochód - dodał, kończąc śniadanie. - Jeśli nic nie poradzę, wezwiesz Bucka Gatesa. On na pewno pomoże.



Popatrzyła na niego uważnie.

- Dziękuję - powiedziała ostrożnie.

Grant wstał od stołu i włożył talerz do zlewu.

- Ubierz się - polecił. - Mam trochę pracy. - Odwrócił się i drugi raz zostawił ją w kuchni samą.

Żałowała, że i tym razem w rozmowie z nim nie miała ostatniego słowa. Odstawiła swój talerz i pociągając za pasek od szlafroka, wyszła z kuchni. Owszem, ubierze się, i to szybko, zanim Grant się rozmyśli. Nawet jeśli był nieuprzejmy, przyjmie jego pomoc. A potem, przynajmniej jeśli chodzi o nią, Grant Campbell może sobie iść do diabła.

Weszła do łazienki, zdjęła szlafrok i powiesiła go na haczyku na drzwiach. Ubranie już wyschło, a na to, że tenisówki są wilgotne, postanowiła nie zwracać uwagi. Przy odrobinie szczęścia za godzinę będzie już w nadmorskim domku i popołudnie spędzi na szkicowaniu.

Z tą myślą, która od razu poprawiła jej humor, zeszła na dół. Granta jednak tam nie zastała. Po krótkiej walce z ciężkimi drzwiami wyszła na zewnątrz.

Powietrze było tak czyste, że skrzyło się niczym kryształ. Mgła i burzowe chmury znikły bez śladu. Niebieskie, bezchmurne niebo rozświetlały promienie słoneczne. Po tej stronie latarni rosło trochę trawy, w której zakwitło kilka odpornych na trudne warunki kwiatów.

Zobaczyła wąską linię drogi, którą tu wczoraj przybyła. Zaskoczył ją natomiast widok piętrowego, wiejskiego domu, stojącego kilkadziesiąt metrów od latarni. Biała farba pożółkła, ale okiennice trzymały się mocno. Warstwa brudu na szybach i wysoka trawa wokół świadczyły, że nikt w nim nie mieszka, ale był jeszcze w całkiem niezłym stanie. Pewnie należał do latarnika i jego rodziny, kiedy latarnia jeszcze działała.

U stóp wzgórza stała solidnie wyglądająca półciężarówka, najprawdopodobniej należąca do Grania. Jego samego nigdzie nie było widać, więc Gennie poszła na drugą stronę latarni, przyzywana odgłosami morza.

Piękno nieregularnej linii brzegowej i spienionego morza zaparło jej dech w piersi. Na odległym horyzoncie dostrzegła zarysy niewielkich wysepek. Na falach unosiły się nieustraszone, zwinne łodzie poławiaczy homarów.

Na brzegu gromadziły się wodorosty, przetaczane i rozrzucone przez fale. Tutaj morze zawsze stawiało na swoim. Na wygładzonych przez nie skałach widniały szare, zielone i ciemno rude smugi. Tuż przy brzegu bieleły się wyrzucone z głębin muszle. Czuć było ostrą woń soli i ryb. Słyszała dzwonki boi, odległy warkot silników łodzi rybackich i żałosne pokrzykiwania mew.

Krajobraz tchnął siłą i niezmienną trwałością. Wszystko wokół pochodziło z bezkresnego, wiecznego morza. Gennie czuła, jak na nią samą działa zew, który od początku świata przyzywał ludzi do zmagania ze spiętrzonymi falami. Stała na półce skalnej, zawieszony nad wąską, kamienistą plażą, i zupełnie zatraciła się w swych marzeniach.

Nie słyszała, kiedy Grant za nią stanął, i nie odwróciła głowy, choć obserwował ją od kilku minut. Z niechęcią zauważył, że Gennie doskonale pasuje do tego miejsca. A przecież ten mały odludny kawałek lądu, zawieszony nad morzem, należał tylko do niego. Ona nie miała prawa wyglądać tak, jakby to miejsce było dla niej stworzone. Odebrała mu pewność, że ta ziemia należała tylko do niego.

Podmuchy wiatru sprawiły, że ubranie przywarło do jej ciała, podkreślając kobiece krągłości. Włosy tańczyły wokół jej głowy, a słońce budziło ogniste błyski wśród mahoniowych loków, kusząc, by zanurzył w nich palce. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, wziął ją za ramię i odwrócił ku sobie.

Kiedy na niego spojrzała, na jej twarzy nie dostrzegł zaskoczenia, a podniecenie. Wiedział jednak, że wywołała je bliskość morza, a nie on. Gennie wolno uniosła rękę i odgarnęła włosy z czoła.

- Wczoraj się zastanawiałam, dlaczego ktokolwiek zechciał tu zamieszkać. Teraz myślę, jak w ogóle można pragnąć zamieszkać gdzie indziej. - Wskazała na małą łódź rybacką, zacumowaną na końcu przystani. - To twoja?

Grant nadal wpatrywał się w jej twarz. Nagle zdał sobie sprawę, że przed chwilą niewiele brakowało, a przyciągnąłby ją do siebie i pocałował. Już niemal czuł smak jej ust. Z wysiłkiem odwrócił głowę i spojrzał na łódź.

- Tak, jest moja - potwierdził.

- Odrywam cię od pracy - przyznała i po raz pierwszy obdarzyła go szczerym uśmiechem. - Pewnie gdyby nie ja, wstałbyś o świcie.

Mamrocząc coś niezrozumiale w odpowiedzi, poprowadził ją do swojego samochodu. Widząc tę niespodziewaną reakcję, Gennie z westchnieniem wycofała się z danego sobie samej przyrzeczenia, że będzie dla niego słodka jak miód.

- Panie Campbell, czy musi pan zachowywać się tak nieprzyjaźnie? - zapytała oficjalnym tonem.

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią przeciągle. Gennie mogłaby przysiąc, że spostrzegła w jego oczach rozbawienie.

- Tak - odparł zwięźle.

- Bardzo dobrze to panu wychodzi - rzuciła z wysiłkiem, ponieważ Grant znów pociągnął ją za sobą.

- To efekt długich lat praktyki.

Puścił jej ramię dopiero, kiedy dotarli do samochodu. Otworzył drzwi i wsiadł. Gennie bez słowa obeszła pojazd i usiadła na miejscu dla pasażera.

Kiedy ruszyli, zerknęła za siebie i od razu wiedziała, że namaluje ten widok. Już miała powiedzieć to głośno, ale zobaczyła gniewnie zmarszczone czoło Granta i znów wpadła w złość.

Do diabła z nim, pomyślała. Będzie malować, kiedy Grant wypłynie na połów homarów, czy co tam właściwie łowi. Nie będzie o niczym wiedział, więc uniknie jego gniewu. Wyprostowała się sztywno, splotła dłonie na kolanach i nadal siedziała w milczeniu.

Przejechali ponad kilometr, kiedy Granta zaczęło nękać poczucie winy. Droga przypominała wyboisty tor przeszkód, pełen dziur i wystających kamieni. W nocy, podczas burzy, na pewno trudno było ją pokonać, zwłaszcza jeśli ktoś w dodatku nie znał tej okolicy. Poza tym Gennie na pewno bardzo się bała. Tymczasem on nie okazał jej ani krzty współczucia czy troski, był szorstki i odpychający.

Nadal marszcząc brwi, zerknął na nią spod oka. Wyglądała na silną, sprawną kobietę, ale i tak trudno uwierzyć, że tak długo szła w nocy tą ciemną, poorlyaną koleinami drogą.

Już miał wypowiedzieć coś na kształt przeprosin, kiedy Gennie nagle uniosła głowę.

- Mój samochód stoi tam. - Jej głos brzmiał uprzejmie, lecz chłodno. Mówiła tak, jakby zwracała się do służby.

Grant natychmiast zrezygnował z przeprosin. Skręcił na pobocze tak gwałtownie, że Gennie straciła równowagę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Grant zgasił silnik i wysiadł. Otworzył maskę jej samochodu, a Gennie stanęła za nim, wsuwając ręce w tylne kieszenie dżinsów.

Zauważyła, że Grant mówił coś cicho do siebie, majstrując pod maską. Było to zapewne naturalne u kogoś, kto mieszka sam na skraju urwiska. Jednak przecież i ona czasami przyłapywała się na tym, że mamroce coś sobie pod nosem, nawet w samym środku gwarne miasta.

Nagle Grant wyprostował się, minął ją bez słowa i wyjął ze swojego samochodu skrzynkę z narzędziami. Poszperał w niej, wybrał kilka kluczy w różnych rozmiarach i znów ukrył głowę pod maską samochodu Gennie.

Stanęła za nim tak jak poprzednio i wydymając lekko usta, zajrzała mu przez ramię. Odniosła wrażenie, że Grant zna się na rzeczy. Ale przecież umiejętność operowania kilkoma

kluczami na pewno nie jest niczym nadzwyczajnym. Gdyby tylko mogła... Pochyliła się niżej, odruchowo kładąc mu dłoń na ramieniu. Grant nie wyprostował się, tylko odwrócił, przesuwając przy tym ramieniem po jej piersiach. Coś takiego mogło się łatwo przydarzyć dwojgu nieznanym w zatłoczonej windzie i żadne z nich nie zwróciłoby na to najmniejszej uwagi. Jednak w tych okolicznościach oboje poczuli się tak, jakby przeszedł przez nich prąd elektryczny.

Gennie cofnęłaby się odruchowo, gdyby nie to, że całkowicie zatoneła w jego ciemnych oczach. Na wargach czuła jego ciepły, szybki oddech. Tylko kilka centymetrów, a jego usta dotknęłyby jej ust. Bezwiednie zacisnęła dłoń na jego przedramieniu.

Grant poczuł ten uścisk, ale jego siła była niczym w porównaniu z napięciem, jakie ogarnęło całe jego ciało. Gdyby sięgnął po to, co było w zasięgu jego ręki, być może rozładowałby je, a być może jeszcze podsycił. W tej chwili sam nie wiedział, co woli.

- Co robisz? - zapytał wolno. Oszolomiona Gennie nadal patrzyła mu w oczy.

- Słucham? - szepnęła półprzytomnie.

Grant dałby wiele, by móc zamknąć ją w swych ramionach, ale przeczuwał, że gdyby bardziej zaangażował się w tę znajomość, oznaczałoby to kłopoty, i to takie, z których nie mógłby się łatwo wywinąć.

- Pytałem, co robisz - powtórzył równie spokojnie, jak przedtem. Jego wewnętrzne napięcie zdradził tylko wzrok, który pobiegł ku ustom Gennie.

- Co robię? - Właśnie, co ona w zasadzie robi, myślała w popłochu. - Ja tylko... To znaczy... Chciałam zobaczyć, co tam naprawiasz, żeby w razie czego...

Grant znów spojrzał jej w oczy i myśli Gennie rozpierzchły się bezładnie.

- W razie czego? - nie ustępował, zadowolony z faktu, że potrafił tak wytrącić ją z równowagi.

- Żeby... - Chciała poznać smak jego ust, więc bezwiednie przesunęła językiem po wargach. - Żeby mogła sama naprawić samochód, jeśli mi się znów popsuje.

Grant uśmiechnął się leniwie i jakby trochę bezczelnie. Gennie nie była tego całkiem pewna, ale serce podeszło jej do gardła. Uśmiech, nawet bezczelny, dodawał tyle uroku jego twarzy. Przemknęło jej przez myśl, że tak pewnie uśmiechał się do kobiety dziki człowiek, zanim zarzucił ją sobie na ramię i zaniósł do jakiejś ciemnej jaskini.

Na szczęście Grant oderwał wreszcie od niej palące spojrzenie i znów zajął się samochodem. Gennie cofnęła się i odetchnęła głęboko. Niewiele brakowało, bardzo niewiele. Nie była pewna, co mogło się wydarzyć, ale niewątpliwie było to coś, co każda trzeźwo

myśląca kobieta uznałaby za niebezpieczne. Odchrząknęła, żeby jej głos znów zabrzmiał pewnie.

- Sądysz, że potrafisz to naprawić? - zapytała.

- Hmm.

Uznała to za odpowiedź twierdzącą i znowu podeszła bliżej, ale tym razem przezornie stanęła obok.

- Mechanik zrobił mi przegląd samochodu kilka tygodni temu.

- Zdaje się, że niedługo będziesz musiała kupić nowe wtyczki. Na twoim miejscu poprosiłbym Bucka Gatesa, żeby rzucił na to okiem.

- Czy to mechanik? Prowadzi stację obsługi samochodów?

Grant wyprostował się. Nie zaśmiał się, ale w jego oczach widać było rozbawienie.

- W Windy Point nie ma stacji obsługi samochodów. Jeśli potrzebujesz benzyny, jedziesz do doków i nalewasz jej sobie z tamtejszego dystrybutora. Jeśli popsuje ci się samochód, prosisz o pomoc Bucka Gatesa. Naprawia łodzie rybaków, a silnik to silnik. - Ostatnie słowa wypowiedział z miejscowym akcentem, ale jego ton wcale nie brzmiał lekceważąco. - Spróbuj zapalić.

Usiadła za kierownicą, zostawiając otwarte drzwi. Przekręciła kluczyk w stacyjce i od razu rozległ się wesoly warkot silnika. Odetchnęła z ulgą, a Grant z głośnym hukiem zatrzasnął maskę. Gennie wyłączyła silnik, widząc, że jej wybawca zmierza do swojego samochodu.

- Dom pani Lawrence stoi mniej więcej kilometr stąd, po lewej - wyjaśnił. - Trudno go nie zauważyć, chyba że w środku burzliwej nocy, kiedy jedynym źródłem światła jest zwykła, domowa latarka.

Gennie zdusiła uśmiech. Nie chciała widzieć w nim żadnych miłych cech. Wołała zapamiętać go jako szorstkiego grubianina, który tylko przypadkiem był oszałamiająco przystojny.

- Zapamiętam to sobie - zapewniła.

- Na twoim miejscu nikomu bym nie wspominał, że znalazłaś schronienie w Windy Point Station - dodał lekkim tonem, stawiając na swoim miejscu skrzynkę z narzędziami. - Muszę dbać o opinię.

Tym razem musiała zagryźć wargę, żeby nie roześmiać się w głos.

- Doprawdy? - zapytała tylko.

- Owszem. - Oparł się o samochód i popatrzył na Gennie. - Ludzie z miasteczka mają mnie za dziwaka. Gdyby się dowiedzieli, że nie zatrzasnąłem ci drzwi przed nosem, moje notowania trochę by spadły.

Tym razem się uśmiechnęła.

- Daję ci słowo, że nikt się nie dowie, jaki z ciebie dobry samarytanin. Jeśli ktoś ranie o ciebie zapyta, powiem, że jesteś niegrzeczny, nieużyty i w ogóle okropny.

- Będę ci za to bardzo wdzięczny.

Kiedy zobaczyła, że Grant już wsiada do samochodu, sięgnęła po portfel.

- Zaczekaj, nie zapłaciłam ci za...

- Nie ma o czym mówić. Przytrzymała drzwi samochodu.

- Nie chcę mieć wobec ciebie długu wdzięczności.

- Nic na to nie poradzisz - stwierdził szorstko i uruchomił silnik. - Słuchaj, przesuń swój samochód, bo inaczej nie zawrócę. Tarasujesz mi drogę - dorzucił na koniec, równie oschle.

Gennie odwróciła się gwałtownie. Proszę, oto ludzka wdzięczność, pomyślała ze złością. Przypomniała sobie jego wcześniejsze słowa. A więc miejscowi mają go za dziwaka? Co za spostrzegawczy ludzie.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i wolno ruszyła, z całą premedytacją nie patrząc w lusterko wsteczne. Na rozwidleniu dróg skręciła w lewo. Przez jakiś słyszała jeszcze jednostajny warkot samochodu Granta. Obiecała sobie jednak, że nie będzie więcej o nim myśleć.

I nie myślała o nim wcale, jadąc prostą, wąską drogą, o poboczach porośniętych dzikimi kwiatami. W tej okolicy drzewa nie przesłaniały widoku, więc Gennie od razu spostrzegła domek. Natychmiast ją oczarował. Owszem, był mały, ale nie tak mały, żeby przypominać domek siedmiu krasnoludków. Patrząc nań, wyobraziła sobie schludną kobietę w kuchennym fartuszku, rozwieszającą pranie, oraz wysmaganego wiatrem rybaka, naprawiającego sieci na malutkim ganku.

Parterowy, pudełkowaty domek oprócz niewielkiego, frontowego ganku miał również zadaszoną werandę, wychodzącą na zatokę. Kiedyś pomalowano ściany na niebiesko, ale farba wyblakła i poszarzała. Pomost, sądząc z wyglądu nieco chwiejny, wcinał się w spokojną niczym lustrzana tafla wodę zatoczki. Przy brzegu ktoś zasadził wierzbę, ale nie wyrosła zbyt wysoko.

Gennie wyłączyła silnik i dopiero wtedy uderzyła ją panująca wokół cisza. Było tu miło i spokojnie. Tak, mogłaby tu mieszkać i pracować, ale uświadomiła sobie, że woli widok wzburzonego morza, jaki rozciąga się z latarni Granta.

Dość tego, pomyślała stanowczo. Przecież obiecała sobie, że nie będzie myśleć o Grancie. I nie będzie. Wyjęła z samochodu pudło z zakupami i po drewnianych schodach wspięła się do drzwi. Chwilę mocowała się z zamkiem, aż w końcu mechanizm ustąpił z głośnym zgrzytem.

Zaskoczył ją panujący wewnątrz porządek. Wdowa Lawrence nie przesadziła, mówiąc, że w domu jest czysto. Dla ochrony przed kurzem meble przykryto pokrowcami, chociaż nigdzie nie było widać ani pyłku. Najwyraźniej wdowa często tu przychodziła, żeby robić porządki. Wydało się to Gennie wzruszające i smutne.

Ściany miały kolor błękitny, a jaśniejsze prostokąty wskazywały miejsca, gdzie kiedyś przez długie lata wisały obrazy. Obladowana zakupami Gennie przeszła na tył domu i znalazła kuchnię.

Tutaj również panował porządek. Na laminowanym blacie nie było jednej plamki, zlew lśnił bielą. Odkręciła kran i przekonała się, że działa bez zarzutu. Odstawiła pudło i wyszła na werandę. Powietrze było wilgotne, ciepłe i pachniało morzem.

Wszystko tutaj było czyste. Zbyt czyste. Gennie miała wrażenie, jakby nikt nigdy tu nie mieszkał. Bardziej podobał jej się swojski nieład, jaki widziała w latarni Granta. Od razu rzuciło się w oczy, że zajmuje ją człowiek o niezwykle ciekawej osobowości. Zniecierpliwiona tym, że znowu pomyślała o Grancie, potrząsnęła głową i postarała się wyrzucić go z myśli. Jeszcze raz rozejrzała się uważnie i wyprostowała ramiona. Teraz w tym domu zamieszkała ona i wkrótce będzie to widać, postanowiła, po czym wróciła do samochodu po resztę sprawunków.

Podróżowała bez zbędnego bagażu i należała do osób zorganizowanych, więc rozpakowała się i rozłożyła swoje rzeczy w niespełna dwie godziny. Sypialnie okazały się niewielkimi pokoikami i tylko w jednej stało łóżko. Ścieląc je świeżo zakupioną pościelą, Gennie przekonała się, że to najprawdziwsze puchowe łoże. Uradowana rzuciła się na nie i wykonała serię podskoków. W drugiej sypialni umieściła swoje przybory malarskie. Kiedy zdjęła z mebli pokrowce, a na ścianach zawiesiła kilka swoich obrazów, poczuła się bardziej jak w domu.

Bosa, zadowolona z siebie, wyszła na pomost. Kilka desek skrzypiało, inne się trzęsły, ale cała konstrukcja robiła dość solidne wrażenie. Może kupi sobie łódkę i popływa nią po zatoce? Mogła teraz robić wszystko, na co tylko przyjdzie jej ochota. W końcu obowiązki

wezwą ją z powrotem do Nowego Orleanu, ale teraz ma czas tylko dla siebie. Potrzeba wędrówki w nieznane, która pół roku temu przywiodła ją na północ, jeszcze nie osłabła.

Czy rzeczywiście była to tylko potrzeba wędrówki w nieznane? Oczywiście Gennie posmutniały. Na północ przywiodło ją także poczucie winy i ból. Nadal jej towarzyszyły i być może miały nigdy jej nie opuścić. Przymykając powieki, uświadomiła sobie, że minął już ponad rok. Dokładnie siedemnaście miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. Mimo to nadal potrafiła przywołać wyraźne wspomnienie Angeli.

Zapewne powinna być wdzięczna losowi za to, że została obdarzona malarską pamięcią i mogła w niej przechować dokładny obraz siostry - jej młodą, piękną, wesołą twarz. Ale równie dokładnie pamiętała inny obraz Angeli, leżącej bez życia, poranionej. Właśnie tak wyglądała po tym, jak Gennie ją zabiła.

To nie twoja wina, Gennie. Nie możesz się obwiniać. Ile razy to słyszała?

Ależ mogę, pomyślała, wzdychając. Gdyby ktoś inny siedział za kierownicą... Gdyby miała lepszy refleks... Gdyby wcześniej dostrzegła samochód, który wjechał na skrzyżowanie przy czerwonym świetle.

Gennie wiedziała, że nie odwróci tego, co się stało. Coraz rzadziej ogarniało ją poczucie winy, bezradności i wielkiego żalu, ale ból nie osłabł ani na jotę. Została jej tylko sztuka, i to chyba ona pozwoliła jej pozostać przy zdrowych zmysłach po śmierci siostry. W każdym razie ta podróż bardzo dobrze jej zrobiła. Oddaliła nieco zbyt bolesne wspomnienia, pozwoliła skoncentrować się tylko i wyłącznie na malarstwie.

Przez ostatnie lata uprawianie sztuki zaczęło za bardzo przypominać prowadzenie interesów. Gennie niemal zatraciła samą siebie w nieustannym ciągu transakcji i wystaw. Teraz wróciła do podstaw i, musiała przyznać, bardzo tego potrzebowała.

Może sprawiła to śmierć siostry, ale w jej pracach zaczął dominować twardy realizm. Przedtem życie wydawało jej się podobne do własnych obrazów, trochę nierealne, malowane łagodnymi barwami. Teraz ciągnęło ją do prostoty i codzienności. Rzeczywistość nie zawsze była ładna, ale miała w sobie siłę, którą Gennie dopiero zaczynała rozumieć.

Wciągnęła głęboko powietrze. Tak, namaluje jeszcze tę cichą, spokojną zatoczkę. Ale teraz chciała stawić czoła wyzwaniu, jakie rzucił potężny, wzburzony ocean.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest południe. Grant na pewno wypłynął już w morze, żeby nadrobić stracony rano czas. Dawało jej to jakieś trzy lub cztery godziny, podczas których mogła szkicować latarnię z różnych stron. Grant o niczym się nie dowie, a jeśli nawet, to co z tego? Przecież kobieta ze szkicownikiem na pewno nie będzie mu



przeszkadzać. Jeśli mu się to nie spodoba, może zaniknąć się w swojej wieży i udawać, że jej tam nie ma.

Pracownia Granta znajdowała się na trzecim piętrze i zajmowała je w całości. Mieszczące się tu kiedyś trzy ciasne klitki zostały przerobione na jeden duży pokój, z dobrym dziennym światłem. W szafkach o szklanych blatach stały starannie ułożone przybory do rysowania: wieczne pióra, długopisy, nożyki, pędzelki, duży wybór ołówków i gumek oraz cyrkiel i kątownica. Inżynier lub architekt rozpoznałby wiele z tych przyborów i pochwaliby ich wysoką jakość. Na desce do rysowania bielił się rozpięty papier.

Na ścianie naprzeciw deski wisiało lustro i oprawiona kopia odcinka „The Yellow Kid”, komiksu sprzed prawie stu lat. W drugim końcu pracowni stało nowoczesne radio i mały telewizor. W rogu piętrzył się stos gazet i czasopism. Panował tu praktyczny ład, którego Grant nie utrzymywał w żadnej innej dziedzinie życia.

Tego ranka rysował bez pośpiechu. Zdarzało się, że pracował gorączkowo, nie dlatego, że zbliżał się wyznaczony termin - zawsze miał wszystko gotowe z miesięcznym wyprzedzeniem - ale dlatego, że do działania pchały go własne myśli. Czasem przez tydzień lub dwa po prostu wymyślał przyszłe odcinki. Innym razem rysował do późnej nocy, ponieważ nowe pomysły domagały się, żeby je natychmiast przelać na papier.

Wczesnie rano skończył pracę nad najnowszym odcinkiem. Teraz przyszedł mu do głowy nowy sposób ujęcia tego samego tematu. Już wykreślił na papierze linie, pozwalające zachować odpowiednią skalę i perspektywę rysunku. Wykonał je niebieskim ołówkiem, dzięki czemu w druku stawały się niewidoczne. Dobrze wiedział, co chce narysować, ale takie przygotowanie było niezbędne. Grant bardzo dbał o szczegóły techniczne, chociaż czytelnicy oglądający efekt jego wysiłku zaledwie przez kilka sekund na pewno nie zwracali na nie uwagi.

Po odpowiednim przygotowaniu papieru i podzieleniu go na równe prostokąty, dwa razy większe niż te, które miały ostatecznie ukazać się w gazetach, przystąpił do wstępnego szkicowania. Kilкома ruchami ołówka, jakby od niechcienia, powołał do życia główną postać komiksu.

Był to właściwie bardzo zwyczajny człowiek, dokładnie taki, jak wymyślił sobie dziesięć lat temu. Siostra Granta twierdziła, że to odbicie jego samego. Macintosh, bo tak go nazwał, był człowieczkiem nieco nieporządnym, o przepadnie zdumionym wyrazie twarzy. Takich jak on codziennie mija się na ulicy i prawie nie zauważa.

Miał zbyt szczupłą sylwetkę, więc chociaż czasami próbował się ubrać elegancko, nigdy mu to nie wychodziło. Robił wrażenie kogoś, kto wie, że za chwilę spotka go jakieś

niepowodzenie. Grant lubił tę postać za życiową niezaradność i zdolność do satyrycznego komentowania rzeczywistości.

Dobrze znał wszystkich jego przyjaciół, sam ich przecież stworzył. Stanowili dość zróżnicowane towarzystwo. Można było wśród nich znaleźć życzliwych światu marzycieli i przemądrzałych zarozumiałców. Przypominali ludzi, których Grant poznał w college'u.

Stworzył Macintosha jeszcze na studiach, ale pozwolił mu wyjść z ukrycia dopiero po trzech latach, w czasie których zajmował się sztuką pojmowaną bardziej tradycyjnie. Być może zdobyłby sławę jako malarz, bo talentu mu nie brakowało. Odkrył jednak, że czuje się o wiele szczęśliwszy, rysując karykaturę, niż malując portret. W końcu Macintosh wygrał. Grant wyjął swoje rysunki z dna szuflady i po siedmiu latach trochę zmęczony, zdziwiony człowieczek, którego wymyślił, pojawiał się w każdej większej gazecie w kraju, i to siedem razy w tygodniu.

Ludzie śledzili jego życie, pijąc kawę, jadąc metrem, autobusem lub jeszcze leżąc w łóżku. Ponad milion Amerykanów rozkładało poranne gazety i sprawdzało, co też przydarzyło się dzisiaj Macintoshowi.

Grant jako twórca komiksowych historyjek wiedział, że jego zadaniem jest rozbawić ludzi za pomocą kilku krótkich zdań i prostych rysunków. Historyjkę obrazkową ogląda się zwykle przez dziesięć lub dwanaście sekund, w czasie których rozśmiesza patrzącego lub nie, a potem ładuje w koszu. Może też być użyta do wyścielenia klatki dla ptaków. Grant nie miał złudzeń. Musiał w kilka sekund rozbawić czytelnika, a jednocześnie dać mu powód do krótkiej zadumy. W „Macintoshu” odwoływał się więc do wspólnych doświadczeń i ukazywał je w krzywym zwierciadle.

Bardzo mu zależało na prawie do spokojnego tworzenia i nie chciał, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Czytelnicy znali tylko jego inicjały. W umowie z wydawcami zastrzegł wyraźnie, żeby jego nazwiska nie łączono z komiksem. Stanowczo też odmówił udzielania wywiadów i wszelkich publicznych wystąpień. Anonimowość stanowiła integralną część jego wynagrodzenia.

Zaczął szkicować drugi segment historii, nadal używając tylko ołówka. Macintosh mamrotał coś pod nosem, ponieważ głośne łomotanie do drzwi zakłóciło mu uprawianie nowego hobby - zbierania znaczków. Nowe hobby było tematem komiksu od dwóch tygodni. Pojawiały się tam opowieści o pierwszych nieudanych zakupach, docinkach przyjaciół na temat nudnego życia Macintosha, jego nadziejach na zrobienie wielkiego majątku właśnie dzięki filatelistyce.

W tym odcinku na progu Macintosha stanęła przemoczona, zirytowana, wielkooka piękność. Grant bez najmniejszej trudności dał jej rysy Gennie, ale celowo nadał jej ustom i oczom przesadnie zmysłowy wyraz. Czuł, że jeśli zamieni ją w postać ze swojego komiksu, pozwoli mu to spojrzeć na nią z odpowiedniego dystansu. Stanie się równie zabawna i nieszkodliwa jak inne ludziki z rysunków. Będzie o niej myślał jak o fikcyjnej postaci, a nie o kobiecie z krwi i kości.

Uznał, że powinna nosić jakieś oryginalne imię, więc nazwał ją Weronika. Ponieważ Macintosh mieszkał w Waszyngtonie, a nie nad morzem w stanie Maine, Weronika zapukała do jego drzwi z powodu przebitej opony w drodze powrotnej z przyjęcia w Białym Domu. Na jej widok Macintoshowi oczy wyszły na wierzch. Żeby lepiej oddać wyraz twarzy swojego bohatera, Grant kilka razy zrobił zdziwioną minę do lustra.

Pracował dwie godziny, szlifując historyjkę. Macintosh zmienił koło w samochodzie Weroniki, odgrywając przy tym prawdziwego mężczyznę. Dostał za to od niej nagrodę, kilka dolarów napiwku. Na ostatnim obrazku oniemiały ze zdziwienia i ochlapany wodą z kałuży patrzył w ślad za odjeżdżającym samochodem.

Po skończeniu pracy nad wstępnymi szkicami Grant poczuł się lepiej. Zrobił z Gennie to, co chciał. Sprawił, że odjechała w siną dal. Teraz mógł przystąpić do wykończania szczegółów za pomocą pędzelka i tuszu. Jednolita czerń przyciągała uwagę, podkreślała najważniejsze części rysunku. Wykropkowane lub zakreślone liniami miejsca w druku wyjdą jako jednolicie szare.

Rysowanie pokoju Macintosha przychodziło Grantowi z łatwością, znał go przecież jak własną kieszeń, nie raz już tam był. Mimo to praca wymagała czasu i precyzji ruchów. Należało rozmieścić poszczególne elementy tak, żeby odpowiednie rzeczy przyciągały uwagę czytelnika.

Praca wyczerpywała wszystkie pokłady cierpliwości Granta, więc w innych dziedzinach życia rzadko ją wykazywał. Ręka rozboleła go od rysowania dopiero, kiedy odcinek był niemal skończony, a popołudnie dobiegało końca.

Z utęsknieniem pomyślał o kawie i przeciągnął się leniwie, żeby złagodzić ból zeszywniałych ramion. Poczuł też, że jest głodny. Od śniadania upłynęło wiele godzin. Postanowił szybko coś przekąsić i pójść na spacer po plaży.

Zostały mu jeszcze dwie gazety do przeczytania i kilka godzin oglądania telewizji. Nie mógł pozwolić sobie na utratę kontaktu z najświeższymi wydarzeniami. Doszedł jednak do wniosku, że najpierw należy mu się kilka łyków świeżego powietrza. Rozcierając kark, bezwiednie podszedł do okna.

Kiedy wyjrzał na zewnątrz, uniesiona ręka sama mu opadła. Przysunął się bliżej i spojrzał spod zmrużonych powiek w dół. Potrafił sobie radzić z turystami, którzy czasem przypadkiem trafiali do jego latami. Kilka ostrych słów zwykle odstraszało ich od ponownych odwiedzin. Jednak nawet z tej odległości dostrzegł bujne, kruczoczarne włosy nieproszonego gościa i poznał, że to nie jest zabłąkany turysta.

Weronika wcale nie odjechała w stronę dal.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Widok był piękny, bez względu na to, pod jakim kątem się na niego patrzyło i jak padało światło. Gennie miała w szkicowniku już z pół tuzina rysunków i mogła wykonać drugie tyle, a jeszcze nie oddałaby uroku tego wspaniałego zakątka.

Straciła poczucie czasu. Siedziała zatopiona w myślach, nie niepokojona przez nikogo i sama nikomu nie przeszkadzając. Zupełnie inaczej niż w Nowym Orleanie. Tam właściwie nie było miejsc, gdzie mogła malować bez wzbudzania ciekawości otoczenia. Natychmiast ją rozpoznawano, wokół zbierała się grupka gapiów zasypujących ją pytaniami.

Nawet gdy wybrała się poza miasto, nad zatokę, albo na wieś, często podążali za nią ciekawscy. Nauczyła się nie zwracać na nich uwagi, a większość pracy wykonywała w pracowni. Przez te wszystkie lata już niemal zapomniała, jak wspaniała jest wolność tworzenia w plenerze, gdzie można czuć zapach i smak tego, co się rysuje.

Ostatnie pół roku dało jej coś, czego się wcale nie spodziewała. Przypomniała sobie, jak to było, zanim sukces i sława zaczęły ją ograniczać.

Zadowolona, rozmarzona, szkicowała rozciągający się przed nią widok i niczego jej do szczęścia nie brakowało.

- Czego chcesz tym razem? - rozległo się głośnie, zadane szorstkim tonem pytanie.

Trzeba przyznać, że Gennie nie podskoczyła ze strachu ani nie wypuściła z rąk szkicownika. Spodziewała się, że Grant jest gdzieś w okolicy, ponieważ jego łódź stała zacumowana przy brzegu. Postanowiła jednak, że nie pozwoli mu odebrać sobie tego, co tutaj znalazła. Jej dumna natura artystki mówiła jej, że ma prawo tu tworzyć.

Spokojnie podniosła wzrok i spojrzała na Granta, myśląc jednocześnie, że dość niefrasobliwie traktuje swoje rybackie obowiązki. Od razu, choć bez większego zainteresowania zauważyła, że jest wściekły. Ale przecież w zasadzie tylko w takim nastroju go widziała.

Musiała przyznać, że dobrze wyglądał na tle dzikiej przyrody. Warto byłoby go naszkicować. Odchyliła głowę i przyjrzała mu się, jak każdemu obiektowi, który wzbudził jej artystyczne zainteresowanie.

- Witam ponownie - powiedziała z południowym akcentem, przeciągając leniwie słowa.

Grant wiedział, że Gennie się z nim drażni, i w innym okolicznościach tylko by go to rozbawiło. Teraz jednak miał wielką ochotę zrzucić ją ze skały. Chciał, żeby sobie poszła i więcej nie wracała. I żeby zrobiła to szybko, zanim ulegnie pokusie i dotknie jej.

- Pytałem, czego tu chcesz?

- Nie przejmuj się moją obecnością. Przyszedłam tu tylko po to, żeby sobie coś naszkicować. - Gennie nadal siedziała na skale nad urwiskiem. Zwróciła się z powrotem ku morzu. - Nie przeszkadzaj sobie i wracaj do swoich zajęć.

Oczy Granta zwięzły się tak, że wyglądały jak czarne szparki. Musiał przyznać, że dobrze jej wychodzi odgrywanie władczej damy z Południa.

- Jesteś na mojej ziemi.

- Mmm - hmm.

Pomysł wrzucenia jej do morza wydawał mu się coraz bardziej pociągający.

- Naruszasz cudzą własność - zarzucił jej ze złością. Gennie leniwie zerknęła na niego przez lewe ramię.

- Powinieneś ogrodzić się drutem kolczastym i rozłożyć miny. Nic tak nie odstrasza intruzów jak mina ładowa. Chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że wcale ci się nie dziwię. Gdybym ten kawałek ziemi należał do mnie, też chciałabym go mieć wyłącznie dla siebie - dodała i wróciła do szkicowania. - Zapewniam cię, że zostawię go w takim samym stanie, w jakim go zastałam. Nie znajdziesz żadnych puszek po napojach, papierowych talerzy ani niedopałków papierosów.

Nawet kiedy mówiła głośno, żeby przekrzyczeć szum morza, jej głos brzmiał łagodnie i uspokajająco, przez co jeszcze bardziej irytował Granta. Jeszcze chwila, a chwycił by ją za włosy i postawił na równe nogi, ale jego uwagę przyciągnął widok jej ołówka, kreślącego linie na papierze. Przekleństwo zamarło mu na ustach, kiedy zobaczył rysunek w szkicowniku Gennie.

Trudno było nazwać go dobrym, bo był wręcz doskonały. Za pomocą śmiałych linii i cieniowania Gennie oddała gwałtowne ruchy rozkołysanych fal, rozbijających się o skały, nurkowy lot mew i niezłomną wyniosłość latarni morskiej. Rysunek miał zbyt dużo kanciastych linii i ostrych kontrastów, żeby się nadawał na słodka pocztówkę lub obrazek do ustawienia na kominku w mieszczkańskim domu. Jednak każdy, kto kiedykolwiek widział, jak ląd zмага się z morzem, natychmiast doceniłby go i zrozumiał.

Marszcząc czoło, tym razem nie ze zdenerwowania, lecz dla lepszej koncentracji, Grant pochylił się niżej. W milczeniu czekał, aż Gennie skończy rysować, a potem natychmiast odebrał jej szkicownik.

- Hej, co robisz? - Zdenerwowana, uniosła się z miejsca.

- Cicho bądź.

Szybko zrozumiała, że Grant nie zamierza cisnąć jej szkiców do morza, więc posłusznie zamilkła. Usiadła z powrotem na skale i patrzyła, jak przerzuca kartki szkicownika, od czasu do czasu zatrzymując się dłużej przy jakimś rysunku.

Przyglądał się jej pracom w takim skupieniu, że między brwiami zarysowała mu się głęboka bruzda. Zacisnął lekko usta, jakby zastanawiał się nad wyrokiem. Powinno ją bawić, że jej prace ocenia jakiś rybak - samotnik, a jednak wcale nie było jej do śmiechu. Czuła ucisk w skroniach, nieomylną oznakę narastającego napięcia, które zawsze ogarniało ją przed otwarciem wystawy.

Grant oderwał wzrok od rysunków i spojrzał jej w oczy. Przez długą chwilę słychać było jedynie szum fal i odległe dzwonki boi. Teraz już wiedział, dlaczego od początku wydała mu się dziwnie znajoma. Zdjęcia w czasopismach nie oddawały jej urody.

- Grandeau - odezwał się w końcu. - Genvieve Grandeau. Nie dziwiła się, kiedy jej prace i ją samą rozpoznawano w Nowym Jorku, Kalifornii, Atlancie. Tym razem jednak zaintrygowało ją, jakim cudem jakiś odludek, mieszkający na końcu świata, na podstawie wstępnego szkicu odgadł nazwisko autorki.

- Owszem. - Wstała, odgarnęła włosy i przytrzymała je dłonią. - Skąd wiesz?

Uderzał szkicownikiem o dłoń, przyglądając jej się badawczo.

- Łatwo rozpoznać charakterystyczną technikę, czy to w szkicu, czy obrazie olejnym. Co gwiazda z Nowego Orleanu robi w Windy Point?

Ironiczny ton jego głosu rozzłościł ją na tyle, że zapomniała, jak łatwo rozpoznał jej prace.

- Zrobiła sobie rok przerwy. - Wyciągnęła rękę po szkicownik.

Grant zignorował jej gest.

- To dziwne miejsca, jak dla jednej z najbardziej... towarzyskich artystek w kraju. Reprodukcje twoich obrazów ukazują się w pismach artystycznych niemal tak często, jak twoje nazwisko w plotkarskich tygodnikach. Czy to nie ty byłaś w zeszłym roku zaręczona z włoskim księciem?

- To był baron - poprawiła go chłodno. - I nie byliśmy zaręczeni. Widzę, że między połowami zabijasz czas czytaniem prasy brukowej.

Na widok błysku złości w jej oczach uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, dużo czytam. - Zanim zdążyła wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, mówił dalej: - A o tobie równie często wspominają w „New York Times”, jak w brukowcach i prasie kobiecej.

Gennie odrzuciła głowę w tył niczym królowa, okazująca poddanym swoje niezadowolenie. Uśmiech Granta stał się jeszcze szerszy.

- Zdaje się, że niektórzy żyją prawdziwym życiem, a inni tylko o tym życiu czytają - stwierdziła chłodno.

- Rzeczywiście, twoje życie dostarcza prasie wiele ciekawego materiału. - Wsunął kciuki do kieszeni spodni. Nowe pomysły na to, co zrobi Weronika, już kłębiły mu się w głowie. Na pewno znów pojawi się w życiu Macintosha i będzie doprowadzać go do szału. - Jesteś ulubienicą fotografów.

- Muszą jakoś zarabiać na życie, jak każdy inny człowiek. - Starła się, by zabrzmiało to chłodno i spokojnie, zdradzał ją jednak nerwowy gest uderzania ołówkiem o skałę.

- Zdaje się, że kilka lat temu czytałem coś o jakimś pojedynku w Bretanii.

Pełen rozbawienia uśmiech całkiem niespodziewanie rozjaśnił jej twarz.

- Jeśli w to uwierzyłeś, to pewnie dasz sobie wmówić, że mam do sprzedania most w Nowym Jorku.

- Nie burz moich złudzeń - odparł spokojnie. Trudno mu było oprzeć się jej uśmiechowi, tym bardziej że był szczery i zaprawiony odrobiną autoironii.

- Skoro wolisz żyć w świecie iluzji, nic więcej na ten temat nie powiem - zgodziła się łaskawie.

Grant wolał trochę się z nią podrażnić, niż podziwiać jej ujmujący uśmiech.

- Niektóre plotki o tobie są dość fascynujące. Przed księciem był jakiś reżyser filmowy...

- Przed baronem - poprawiła go Gennie. - Mylisz go z pewnym Francuzem, rzeczywiście księciem. Był jednym z moich patronów.

- A więc miałaś całkiem sporo... patronów. Nadal się uśmiechała, najwyraźniej rozbawiona.

- Tak. Jesteś miłośnikiem sztuki czy po prostu lubisz plotki?

- I to, i to - przyznał lekko. - Ale skoro już mowa o plotkach, to przez ostatnie kilka miesięcy niewiele było o tobie słyhać. Zdaje się, że zaczęłaś unikać rozgłosu. Ostatnie, co o tobie czytałem, to...

Kiedy sobie przypomniał, co to było, miał ochotę odgryźć sobie język. Dowiedział się wtedy, że miała wypadek samochodowy, w którym zginęła jej siostra. Obok artykułu



widniało piękne, choć wykonane z ukrycia zdjęcie Genvieve Grandeau na pogrzebie. Chociaż jej twarz przysłaniała gęsta woalka, bez trudu dostrzec można było jej rozpacz i ból.

- Tak mi przykro - powiedział cicho.

Te proste słowa niemal ścięły ją z nóg. Nie raz już je słyszała, ale nikt nie wypowiedział ich z taką szczerością, jak ten nieznajomy. Gennie spojrzała na morze. Dlaczego tak ją poruszyły, kiedy padły właśnie z jego ust?

- Nie mówmy o tym. - Wiatr owiewał jej twarz, chłodny, pełen ożywczej siły. To nie było miejsce na rozważania o śmierci. Tutaj oddychała pełną piersią, chłonąc siłę i energię morza. - A więc w wolnych chwilach czytasz plotki z zepsutego świata. Jak na kogoś, kto tak interesuje się życiem innych, wybrałaś sobie na dom dość dziwne miejsce.

- Owszem, interesuję się ludźmi - przyznał Grant, w duchu stwierdzając z ulgą, że Gennie jest silniejsza, niż na to wygląda. - To nie znaczy, że chcę żyć wśród tłumów.

- W takim razie nie zależy ci na ludziach. - Znów patrzyła na niego z zaczepnym uśmiechem. - Za kilka lat staniesz się zrzędlivy i zgorzkniały.

- Zrzędlivym i zgorzkniałym zostaje się po pięćdziesiątce. Tak głosi niepisane prawo - odparował.

- No, nie wiem. - Gennie wsunęła ołówek za ucho i przechyliła głowę w bok. - Wydawało mi się, że nie przejmujesz się prawami, pisanymi czy nie.

- To zależy od tego, czy w danej sytuacji jest to przydatne - wyjaśnił.

Roześmiała się.

- Powiedz mi... - Zerknęła na szkicownik, nadal spoczywający w rękach Granta. - Podobały ci się moje szkice?

- Nigdy bym nie przypuszczał, że Genvieve Grandeau potrzebuje nieproszonej krytyki.

- Genvieve lubi rozmawiać o sobie - odparła żartobliwie. - A poza tym, nie będzie to nieproszona krytyka, bo sama cię o nią poprosiłam.

Grant spojrzał na nią przeciągle i odpowiedział dopiero po chwili.

- Twoje prace są zawsze bardzo poruszające i osobiste. Nie potrzeba im takiego reklamowego szumu, jaki wokół nich panuje.

- Zdaje się, że to był komplement w twoim stylu - zdecydowała Gennie. - Więc jak będzie? Pozwolisz mi spokojnie tu pracować czy za każdym razem będę musiała się z tobą kłócić?

Znów gniewnie zmarszczył czoło, a Gennie zdusiła śmiech.

- A dlaczego chcesz rysować właśnie tutaj? - zapytał dociekliwie.

- Już myślałam, że jesteś spostrzegawczy - powiedziała, wzdychając. Pełnym wdzięku ruchem zatoczyła krąg wokół siebie. - Nic nie widzisz? Tu jest życie i śmierć. Toczy się tutaj niekończąca się wojna, której wyniku nigdy nie poznamy. Potrafię to przenieść na płótno, oczywiście tylko w niewielkiej części...

- Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył - jego ton zmroził jej zapał - jest kręjący się pod moim domem tłum wścibskich reporterów i stado europejskich arystokratów.

Gennie uniosła brew, jednocześnie rozbawiona i urażona.

- Wydaje mi się, że zbyt poważnie bierzesz to, co wyczytałeś w gazetach - oznajmiła mu denerwująco łagodnym głosem. - Jeśli chcesz, dam ci słowo, że nie zawiadomię o miejscu mojego pobytu ani prasy, ani żadnego z moich kochanków, bo jak mi się zdaje, twoim zdaniem mam ich całe tabuny.

- A nie masz? - Nie zdołał się powstrzymać przed użyciem ironicznego tonu. Na Gennie nie wywarło to większego wrażenia.

- To nie twoja sprawa. Ale skoro ci na tym zależy, mogę podpisać umowę. Nawet krwią, najlepiej twoją. Zapłacę ci jakąś rozsądną cenę za wstęp na ten teren. W końcu to twoja latarnia. Wiedz, że będę tutaj malować, za twoją zgodą czy bez.

- Widzę, że mało dbasz o prawo własności.

- A ty nie dbasz o prawa sztuki.

Roześmiał się głębokim, męskim śmiechem, który Gennie trochę zaskoczył.

- Tak się składa, że bardzo dbam o prawa artysty - oświadczył.

- O ile tylko nie musisz się w nic angażować osobiście - odcięła.

Westchnął z rezygnacją. Miał dość zdecydowane poglądy na temat sztuki i cenzury, więc nie zamierzał utrudniać Gennie dostępu do plenerów. Wiedział jednak, że w związku z nią czekają go jeszcze kłopoty. Szkoda, że przyjechała właśnie tutaj.

- Maluj - powiedział. - Ale staraj się nie wchodzić mi w drogę.

- Zgoda. - Gennie stanęła na skale i znów spojrzała w morze. - Podobają mi się twoje skały, twój dom i morze. Chciałabym je mieć. - Odwróciła się ku niemu z leniwym, kobiecym uśmiechem na ustach. - Ale ty niczego się nie obawiaj, jesteś bezpieczny. Nie mam wobec ciebie żadnych planów.

Oboje wiedzieli, że to kokieterijna zaczepka, ale Grant udał, że tego nie zauważył.

- Nie boję się ciebie, Genvieve.

- Czyżby?

Co ty najlepszego wyrabiasz, pytał ją głos rozsądku, ale zignorowała go. Grant widział w niej jakąś współczesną wersję kobiety fatalnej. Dlaczego miała wyprowadzać go z błędu?

Stojąc na skale, górowała nad nim kilkanaście centymetrów. Patrzył na nią oczami zmrużonymi dla ochrony przed słońcem. Ona spoglądała na niego śmiało i wesoło. Ze śmiechem oparła mu ręce na ramionach.

- Nie boisz się? - zapytała, przeciągając głoski. - Mogłabym przysiąc, że jest inaczej.

Grant przez chwilę miał ochotę ściągnąć ją ze skały i zamknąć w uścisku. Starał się jednak zignorować nagłe uklucie pożądania. Gennie kusiła go i jeśli nie będzie ostrożny, pozwoli jej wygrać.

- Chyba masz o sobie zbyt wygórowane mniemanie - oznajmił. - Wcale nie jesteś w moim typie.

W jej oczach błysnął gniew, przez co wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca.

- A ty w ogóle masz jakiś swój typ?

- Wolę łagodniejsze kobiety. - Był pewien, że gdyby jej dotknął, jej skóra okazałaby się gładka jak aksamit. - Spokojniejsze - kłamał dalej. - Mniej agresywne.

Gennie z całych sił starała się nie stracić panowania nad sobą i nie rąbnąć go pięścią w nos.

- Wolisz takie, które siedzą cicho i nie myślą?

- Takie, które nie popisują się swoimi... atrybutami. - Tym razem to on uśmiechnął się zaczepnie. - Wcale mnie nie pociągasz.

Teraz on zarzucił przynętę, a Gennie złapała się na nią natychmiast.

- Naprawdę? Zaraz zobaczymy.

Zanim zdążyła się zastanowić nad konsekwencjami swojego czynu, pochyliła głowę i pocałowała go prosto w usta. Nadal opierała się o jego ramiona, on trzymał ręce w kieszeniach, ale zetknięcie się ich ust wywołało w nich istną eksplozję. Grant czuł się tak, jakby strzelił w niego piorun.

Co to było? Zastanawiał się nad tym gorączkowo, przywołując resztki samokontroli, żeby nie przyciągnąć Gennie do siebie. Wiedział, że potem nie miałby już odwrotu. Musiał odeprzeć ten jeden atak, a potem będzie już po wszystkim.

Dlaczego się nie cofnął? Nakazywał to sobie w duchu, ale cały czas stał nieruchomo, podczas gdy jej usta przesuwały się po jego wargach. Przez jego głowę przebiegły tysiące obrazów i fantazji. To czarownica, pomyślał mgliście. Od początku wiedział, jaka jest. Wiedział też, że teraz, przez tę krótką chwilę, jest całkowicie bezbronny.

Gennie szybko odsunęła się od niego. Grantowi wydawało się, że jej ręce, wsparte na jego ramionach lekko drżą. Spoglądała na niego półprzymkniętymi oczami, a usta miała rozchylone ze zdziwienia. Zdał sobie sprawę, że przeżyła równie głęboki wstrząs.

- Mu - muszę już iść - zaczęła i zagryzła wargę, uświadomiwszy sobie, że znów się zająknęła. Ostatnio zbyt często jej się to zdarzało.

Zapominając o szkicowniku, zeskoczyła ze skały. Już miała pobiec do samochodu, kiedy Grant chwycił ją za ramię i zatrzymał. Minę miał poważną, oddychał z trudem.

- Myliłem się. - Dźwięk jego głosu sprawił, że wszystkie myśli uciekły jej z głowy. - Bardzo mnie pociągasz.

Gennie znieruchomiała. Co ja najlepszego nam obojgu zrobiłam, myślała gorączkowo. Drżała na całym ciele, co jej się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

- Lepiej będzie, jeśli oboje... - wydusiła.

- Ja też tak myślę - wpadł jej w słowo. - Ale już za późno.

W następnej chwili poczuła na wargach jego usta. Wiedziała, że musi się im oprzeć, bo inaczej będzie stracona. Uniosła ręce, żeby go od siebie odepchnąć, ale zamiast tego przyciągnęła go mocniej.

Jego palce wplotły się w jej włosy. Odchylił jej głowę w tył, jakby chciał udowodnić samemu sobie, że wciąż panuje nad sytuacją. Pewnie wsunął język w jej rozchyłone usta.

Czuła szorstki dotyk jego policzka, kiedy przechylił głowę w drugą stronę. To nowe, obezwładniające doznanie sprawiło, że nie mogła powstrzymać cichego jęku. Nadal zatapiał palce w jej włosach, a ich usta zmagaly się ze sobą zawzięcie.

Gennie nigdy jeszcze nie doznała takiego uczucia. Miała wrażenie, że czas znieruchomiał, a ona sama spada w dół urwiska w ciepłych ramionach Granta. Głos z głębi jej duszy nakazywał jej poddać się jego woli, zatracić w sile jego pocałunków. Westchnęła cicho, bezradnie. Nagle poczuła, że uwolnił ją z uścisku.

Grant wymamrotał coś pod nosem i z wysiłkiem odsunął ją od siebie. Przecież obiecywał sobie, że właśnie do czegoś takiego nigdy nie dopuści. W jego życiu nie ma miejsca dla kobiety takiej jak Gennie.

Jej twarz złagodniała i zaróżowiła się, włosy powiewały na wietrze. Pragnął przycisnąć usta do złotawej skóry na jej smukłej szyi, ale kiedy spojrział w jej w pół przymknięte oczy, w których dostrzegł odwieczną moc kobiecości, postanowił oprzeć się pokusie. Nie, nie da się złapać w tę pułapkę, chociaż sam zarzucił przynętę.

Niespodziewanie dla Gennie przemówił niskim, pełnym gniewu głosem.

- Być może cię pragnę. Może nawet sięgnę po ciebie. Ale stanie się to dopiero, kiedy sam będę na to gotowy. Chcesz o wszystkim decydować i bawić się w gierki, to wracaj do swoich książąt i baronów. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Skamieniała ze zdumienia Gennie patrzyła, jak znika w latarni. Czy tylko tyle znaczył dla niego ten pocałunek? Czyżby nie doznał tego samego uczucia co ona, uczucia niesamowitej bliskości, zapisanej im w gwiazdach? Gierki? Jak mógł mówić o gierkach po czymś takim...

Zamknęła oczy i drżącą ręką przygładziła włosy. Nie, to wszystko jej wina. Wyobraziła sobie nie wiadomo co, podczas gdy tak naprawdę nic się nie stało. Znowu poniosła ją wyobraźnia. Wydawało jej się, że przeżywa coś niezwykłego, ponieważ bardzo tego chciała.

Podniosła z ziemi szkicownik i ołówek, który wypadł jej zza ucha. Zapomni o nim, postanowiła. Zapomni o nim i skoncentruje się na pracy. To niezwykle miejsce wprawiło ją w taki nastrój, a nie bliskość Granta.

Uważając, żeby się przypadkiem nie obejrzeć, poszła do samochodu. Ręce przestały jej drżeć dopiero, kiedy skręciła na drogę prowadzącą do domku wdowy. Tutaj jest o wiele lepiej, pomyślała, wsłuchując się w cichy chłupot wody, łagodnie omywającej brzeg i delikatne popiskiwanie jaskółek wracających na noc do gniazd. Tutaj panował spokój i ład. Właśnie tę okolicę powinna malować, a nie rozszalałe morze i poszarpane skały. Nie powinna była się stąd nigdzie ruszać.

Nagle poczuła zmęczenie. Wysiadła z samochodu i poszła nad morze. Doszła do końca pomostu, usiadła na szorstkich deskach, opuszczając nogi nad wodę. Siedziała w ciszy, a słońce schodziło coraz niżej. Bez wysiłku przypomniała sobie, co czuła, kiedy usta Granta przywarły do jej warg. Nikt jeszcze nie całował jej w taki sposób. No, ale przecież nie była tak doświadczona, jak myślał Grant.

Umawiała się z mężczyznami, miło spędzała czas w ich towarzystwie, ale sztuka zawsze była na pierwszym miejscu, Gennie rzadko nawiązywała naprawdę intymne znajomości, Lekcje, praca, wystawy, przyjęcia, wszystko, co dotychczas robiła, miało związek ze sztuką i jej potrzebą wyrażania w niej siebie.

Rzecz jasna, lubiła życie towarzyskie i splendor wielkiego świata po długich dniach i tygodniach tworzenia w odosobnieniu. Nie przeszkadzał jej szum i popularność, zwłaszcza gdy miała już dość ciężkiej pracy i samotności. Sposób, w jaki przedstawiała ją prasa, nawet jej się podobał. Odpowiadał jej wizerunek szalonej artystki. Czasami Genvieve, którą widziała w prasie, bawiła ją i zadziwiała. Nigdy jednak nie identyfikowała się z tą postacią.

Zastanawiała się teraz, czy plotkarskie czasopisma nie byłyby zdziwione, gdyby wyszło na jaw, że Genvieve Grandeau, z nowoorleańskiej gałęzi rodziny Grandeau, znana malarka należąca do elity towarzyskiej i kobieta światowa, nie miała jeszcze nigdy kochanka.

Uśmiechając się, wsparła podbródek na łokciach. Od tak dawna była poślubiona sztuce, że kochanek wydawał jej się całkiem zbędny. Aż do czasu, kiedy pojawił się Grant Campbell.

Spojrzała w niebo i zaczęła wspominać uczucia i doznania, które w niej wyzwolił. Gotowa była kochać się z nim bez chwili namysłu, on jednak ją odrzucił. Mało tego. Teraz uświadomiła sobie, że zrobił to w sposób arogancki i bezczelny. A tego już nie można puścić płazem.

Powiedział, że sięgnie po nią, kiedy będzie gotowy. Zawrzała oburzeniem. Przecież nie była batonikiem na sklepowej półce! Oczy pozieleniały jej z wściekłości. Jeszcze zobaczymy, pomyślała zawzięcie. Jeszcze zobaczymy!

Wstała i jednym ruchem otrzepała spodnie z pyłu. Nikt nie będzie odrzucał Genvieve Grandeau. Nikt nie będzie po nią sięgał, kiedy mu przyjdzie ochota. Jeśli Grant chce prowadzić gierki, to ona się z nim zabawi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie da się tak łatwo odstraszyć. Powtarzała to sobie następnego ranka, pakując przybory do malowania. Nikt jej nie przepędzi, zwłaszcza ten bezczelny, arogancki gbur. Będzie spotykał ją wszędzie, będzie, jeśli tak można powiedzieć, potykał się o nią co krok, dopóki ona sama nie uzna że chce odejść.

Malowanie jest oczywiście najważniejsze, myślała Gen nie, przeglądając pędzle, ale przy okazji może dać temu gburowi nauczkę. Zasłużył sobie na nią.

Ruchem głowy odrzuciła włosy z czoła i zamknęła skrzynkę z przyborami. Jeszcze nie spotkała nikogo, komu tak należałaby się solidna lekcja, jak Grantowi Campellowi. A ona Gennie, jest wręcz stworzona do tego, żeby mu jej udzielić.

Trochę zbyt głośno zamknęła zatrzaski skrzynki, tak że echo rozległo się w pustym domku jak wystrzał. A więc myślał, że ona chce prowadzić gierki? Dobrze, w takim razie będzie prowadziła gierki. Własne gierki, według swoich własnych reguł, a Grant może się wypchać.

Przez całe swoje dwudziestosześcioletnie życie Gennie patrzyła, jak jej babcia po mistrzowsku uwodzi i czaruje mężczyzn. Na wspomnienie tej zadziwiającej kobiety uśmiechnęła się z czułością. W wieku siedemdziesięciu lat nadal piękna i pełna energii, potrafiła owinać sobie mężczyznę wokół palca. Też miała na imię Genvieve.

Gennie oparła ręce na biodrach i z cichym pomrukiem chwyciła fartuch malarski. Granta Campbella czeka trochę mocnych wrażeń. Chce po nią sięgnąć, tak? Co za bezczelność! Jeszcze będzie się czołgał u jej stóp. Ona mu pokaże. Odpłaci mu za wszystko chłodno i z wyrachowaniem. Taka zemsta smakuje najlepiej.

Gniew i oburzenie, które dojrzewały w niej przez noc, pozwoliły jej przestać myśleć o tym słodkim, a jednocześnie bolesnym napięciu, jakie czuła, kiedy ją całował. Łatwiej jej było zapomnieć, że pragnie go tak, jak jeszcze nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny. Gniew był o wiele bardziej satysfakcjonującym uczuciem niż przygnębienie, więc Gennie podsycala go w sobie z zapalem.

Upewniwszy się, że spakowała wszystkie przybory, poszła do sypialni. Krytycznie przyjrzała się sobie w lustrze nad starą toaletką. Jako artystka nie mogła nie docenić swoich regularnych rysów twarzy i oryginalnego kolorytu. Najwyraźniej tłumiony gniew dodawał jej urody.

Ze srogą miną, niczym wojownik przed bitwą, sięgnęła po ciemnozielony cień do powiek. Należy podkreślać to, co w twarzy najciekawsze, myślała, nakładając go na powieki. Rezultat tego zabiegu zadowolił ją. Oczy, chociaż pomalowane delikatnie, nabrały bardziej egzotycznego wyglądu. Lekko przesunęła szminką po ustach, dodając im trochę koloru. Od razu stały się bardziej kuszące. Z leniwym uśmiechem skropiła się kilkoma kroplami perfum. Tak, zamierzała go uwieść. A kiedy już padnie przed nią na kolana, ona beztrąsko odejdzie w siną dal.

Żałowała tylko, że nie może włożyć czegoś bardziej wyzywającego. Malowanie było jednak najważniejsze. Trudno siedzieć na skale w krótkiej, ciasnej sukience. Dżinsy i krótka, obcisła bluzeczka będą musiały wystarczyć. Nie mogąc się już doczekać tego, co przyniesie nowy dzień, Gennie poszła po skrzynkę z przyborami malarskimi. Nagle usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu.

Najpierw pomyślała, że to Grant, i od razu ogarnęło ją zdenerwowanie. Rozdrażniona tłumaczyła sobie, że serce bije jej mocniej tylko z radości, jaką czuła na myśl o mającej już wkrótce nastąpić zemście. Podeszła do okna i stwierdziła, że pod domem nie zatrzymała się półciężarówka Granta, tylko jakiś nieduży, poobijany samochód kombi. Wyszła z niego schludna i dopięta na ostatni guzik pani Lawrence, niosąc przed sobą przykryty ściereczką talerz. Zaskoczona i trochę speszona Gennie otworzyła jej drzwi.

- Dzień dobry - powitała ją z uśmiechem, chociaż sytuacja była trochę dziwna. W roli gościa występowała kobieta, która przez długie lata mieszkała w tym domu.

- Widzę, że już wstałaś. - Przystanęła w progu i wbiła małe, ciemne oczka w twarz Gennie.

- Tak. - Gennie wyciągnęła dłoń na powitanie, ale pani Lawrence trzymała talerz w obu rękach. - Proszę wejść.

- Nie chcę ci przeszkadzać. Pomyślałam sobie, że może| masz ochotę na babeczki.

- Oczywiście, że mam. - Gennie otworzyła szerzej drzwi. Najwyraźniej nie zacznie dziś pracy wcześniej. Zwłaszcza jeśli napije się pani ze mną kawy.

- Mogę się napić. - Wahała się przez ułamek sekundy, a potem weszła do środka. - Nie mam wiele czasu. Potrzebują mnie na poczcie. - Przebiegła wzrokiem pokój.

- Jak pięknie pachną - zachwyciła się Gennie. Wzięła od gościa talerz i poszła do kuchni. Miała nadzieję, że tam będzie się czuła bardziej swobodnie. - Wie pani, nigdy mi się nie chce gotować, jeśli mam do nakarmienia tylko siebie.

- No, tak. Gotowanie dla rodziny daje więcej przyjemności.



Gennie znów ogarnęło współczucie, ale nic nie dała po sobie poznać. Stojąc plecami do gościa, wsypała odpowiednią ilość kawy do dzbanka. Wiedziała, że pani Lawrence zechce się rozejrzeć po swojej kuchni, która pewnie budziła w niej wiele wspomnień.

- Zadomowiłaś się już.

- Tak. - Gennie wyjęła dwa talerze i postawiła je na stoliku. - Właśnie takiego domku szukałam. Bardzo mi się podoba. - Rozstawiła spodeczki i filiżanki. - Na pewno przykro pani było się stąd wyprowadzać - powiedziała po chwili wahania, stając twarzą do przybyłej.

Pani Lawrence lekko wzruszyła ramionami.

- Nic nie trwa wiecznie. Dach dobrze zniósł tę nocną burzę?

Gennie przez chwilę nie wiedziała, o czym mowa. Już miała powiedzieć, że tamtej nocy jej tu nie było, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Bardzo dobrze, nie miałam z nim żadnych kłopotów. - Pani Lawrence rozglądała się wokół, a Gennie zastanawiała się, czy nie lepiej by było, gdyby wyraziła swoje uczucia wprost. Wszyscy jej to doradzali, kiedy cierpiała po śmierci Angeli, ale im nie wierzyła. Teraz zaczęła dochodzić do wniosku, że lepiej jest porozmawiać o tym, co gnębi, niż tłumić to w sobie.

- Długo tu pani mieszkała? — zapytała i sięgnęła do lodówki po śmietankę.

- Dwadzieścia sześć lat - odparła pani Lawrence po chwili. - Wprowadziliśmy się tu, kiedy urodziłam drugiego syna. Jest lekarzem, mieszka w Bangor. - Z dumą uniosła głowę. - Jego brat znalazł pracę na platformie wiertniczej. Nie potrafił żyć z dala od morza.

Gennie usiadła przy stole.

- Pewnie jest pani bardzo dumna z synów.

- A owszem.

- Czy pani mąż był rybakiem?

- Łowił homary. - Nie uśmiechnęła się, ale jej głos zabrzmiał ciepłej. - Potrafił to robić. Umarł na swojej łodzi. Powiedzieli mi, że to był wylew. - Dodała do kawy kropelkę śmietanki. - Zawsze chciał umrzeć na swojej łodzi.

Gennie chciała zapytać, kiedy to się stało, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Może i dla niej nadejdzie taki czas, że pogodzi się z faktami i będzie mogła spokojnie mówić o śmierci siostry.

- Polubiła pani miasteczko?

- Już się przyzwyczałam. Mam tam przyjaciół, no a ta droga... - Po raz pierwszy Gennie zobaczyła, jak pani Lawrence się uśmiecha. Na krótką chwilę sroga, pomarszczona twarz stała się niemal ładna. - Mój Mateusz przeklinał ją na czym świat stoi.

- Wierzę w to. - Skuszona zapachem Gennie zdjęła kraciastą ściereczkę z talerza. - Z jagodami! - zwołała uradowana. - Widziałam krzaki czarnych jagód na poboczu drogi.

- Tak, sezon na jagody jeszcze się nie skończył. - Patrzyła z satysfakcją, jak Gennie ze smakiem pochłania babeczkę. - Taka młoda dziewczyna pewnie czuje się tu samotnie.

Gennie potrząsnęła głową, przełykając kolejny kęs.

- Nie. Lubię być sama, kiedy maluję.

- To ty namalowałaś obrazy, które wiszą w dużym pokoju?

- Tak. Nie ma pani nic przeciwko temu, że je tam powiesiłam?

- Zawsze lubiłam obrazy. Dobrze malujesz.

Gennie uśmiechnęła się szeroko. Ta prosta pochwała sprawiła jej tyle samo radości co entuzjastyczna recenzja w gazecie.

- Dziękuję. Zamierzam namalować tu wiele obrazów. O wiele więcej, niż planowałam - dodała, myśląc o Grancie. - Gdybym zdecydowała się zostać kilka tygodni dłużej...

- Wystarczy, że dasz mi znać.

- Świetnie. - Zawahała się. - Zna pani pewnie tę nieczynną latarnię... - Oderwała mały kawałek babeczki, zastanawiając się, czego właściwie chce się dowiedzieć i jak wydobyć te informacje.

- Kiedyś latarnikiem był Charlie Dees - oznajmiła wdowa Lawrence. - Pracował tam z żoną, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką. Teraz używa się radarów, ale mojemu ojcu i dziadkowi latarnia pomagała trzymać się z dala od skał.

Ileż tu ciekawych historii, pomyślała Gennie. Z radością kiedyś ich wysłucha, ale w tej chwili interesował ją obecny mieszkaniec latarni.

- Poznałam człowieka, który teraz tam mieszka - powiedziała obojętnym tonem, unosząc do ust filiżankę z kawą - Chciałabym malować w tamtej okolicy. To piękne miejsce.

Wdowa uniosła proste brwi.

- Powiedziałas mu o tym?

A więc był znany i w miasteczku. Trudno się dziwić.

- Powiedziałam. Można powiedzieć, że zawarliśmy pewnego rodzaju porozumienie.

- Młody Campbell mieszka tam od prawie pięciu lat.

- Pani Lawrence zauważyła błysk w oczach Gennie, ale nic nie powiedziała. - Trzyma się na uboczu. Przepędził kilku turystów, którzy plątali się przy jego latarni.

- Nie jestem zaskoczona - wymamrotała Gennie. - Wygląda mi na gbura.

- Nikomu nie szkodzi. - Wdowa zmierzyła ją bystrym spojrzeniem. - To przystojny chłopak. Słyszałam, że kilka razy wypływał z rybakami na morze. Niewiele o sobie mówił, więcej patrzył.

Ta informacja zdziwiła Gennie.

- To on nie jest rybakiem?

- Nie wiem, z czego się utrzymuje, ale wszystkie rachunki opłaca w terminie.

Gennie zmarszczyła czoło, bardzo zaintrygowana.

- To dziwne, miałam wrażenie, że... - Że co, zapytała się w duchu. - Pewnie nie dostaje wiele listów? - powiedziała głośno.

Wdowa znów się uśmiechnęła, czujnie patrząc na Gennie.

- Dostaje swoją porcję - odparła wymijająco. - Dziękuję za kawę, panno Grandeau - dodała, wstając. - Cieszę się, że ty zamieszkałaś w moim domu.

- Dziękuję. - Gennie również wstała. Musiała się zadowolić tymi strzępami informacji.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów mnie pani odwiedzi.

Pani Lawrence skinęła głową i ruszyła do drzwi.

- Daj mi znać, jeśli będziesz miała jakieś kłopoty. Kiedy się ochłodzi, trzeba będzie uruchomić piec. Dobrze działa, tylko jest trochę głośny.

- Zapamiętam to sobie, dzięki.

Gennie patrzyła w ślad za odchodzącą i myślała o Grancie. A więc nie pochodził stąd. Jednak pani Lawrence wyrażała się o nim z cieplejszą nutą w głosie. Trzymał się na uboczu, a ludzie z Windy Point potrafili to uszanować. Mieszkał tu od pięciu lat... To bardzo długo, zwłaszcza jeśli się mieszka w tak odludnym miejscu. Ciekawie, co robi?

Wzruszyła ramionami i zabrała przybory do malowania. To nie jej sprawa, czym zajmuje się Grant. Jej chodzi tylko o to, żeby go rzucić na kolana.

Śniadanie było jedynym posiłkiem, który Grant jadał regularnie. Później w ciągu dnia jadł, kiedy miał ochotę, oczywiście jeśli pozwalała mu na to jego praca. Tego ranka zjadł śniadanie bardzo wcześnie, ponieważ i tak nie mógł spać. Potem wybrał się łodzią na morze, bo nie potrafił skupić się na pracy. Gennie, spokojnie śpiąca w swoim domku zaledwie kilka kilometrów od niego, zdołała zakłócić dwie podstawowe czynności w jego życiu.

W normalnych okolicznościach cieszyłby się porannym rejsem, ukośnymi promieniami wschodzącego słońca i chłodnym wiatrem. Przy odrobinie szczęścia złowiłby coś na obiad. Jeśli szczęście by mu nie dopisało, usmażyłby sobie stek lub otworzył jakąś konserwę.

Tym razem jednak poranna wyprawa nie sprawiła mu przyjemności. Wolałby porządnie się wyspać, a potem zabrać się do pracy. Nie miał nastroju do łowienia, więc nie udało mu się schwytać żadnej zdobyczy. Wrócił do domu, zanim słońce podniosło się wyżej na niebie.

Teraz stało już wysoko, ale nastrój Granta wcale się nie poprawił. Przy desce do rysowania trzymała go tylko dyscyplina, jaką sobie narzucił w ciągu minionych lat. Dzięki niej uparcie dopracowywał każdą ze swoich historyjek.

Wybiła mu z rytmu, myślał ponuro. Ciągle o niej myślał, nie potrafił o niej zapomnieć. Bardzo często mu się to zdarzało, ale zazwyczaj chodziło o postaci z jego komiksów. Miał nad nimi władzę, mógł je kontrolować. Gennie nie chciała dać się okiełznać.

Powtarzał w myślach jej imię, pracowicie cieniując długie, gęste włosy Weroniki. Podziwiał jej obrazy, bezpretensjonalne, proste, o niepowtarzalnym stylu. Malowała spokojnie i z klasą, ale w jej pracach czuło się pasję i namiętność. Jej płótna nakłaniały patrzącego, żeby uruchomił wyobraźnię i uwierzył w lepszy, piękniejszy świat. Grant nie miał nic przeciwko temu.

Przypomniawszy sobie jeden z jej pejzaży, przedstawiający bagniste rozlewisko rzeki. Ten temat często pojawiał się w twórczości Gennie. Mgła unosząca się nad wodą kojarzyła mu się z cichym szeptem. Domek zawieszony nad rzeką wydawał się tajemniczy i pełen uroku. Granta uderzyły spokój i pogoda, bijące z tego obrazu. Zdziwiło go oryginalne rozmieszczenie światła i cienia. Poczł ukłucie rozczarowania, kiedy się dowiedział, że obraz już sprzedano. Kupiłby go bez pytania o cenę.

Namiętność czaiła się w każdej jej pracy, tworząc subtelny kontrast ze spokojem, jakim emanowały przedstawiane widoki. Ale nie powinno go to zadziwiać. Przecież w jej życiu nie brakowało namiętności. Grant zacisnął ponuro usta. Gdyby jej nie spotkał, nie dotknął, nadal myślałby, że większość tego, co pisały o niej gazety, to tylko wysrane z palca plotki.

Teraz był przekonany, że każdy mężczyzna, który zbliżył się do Genvieve Grandeau, natychmiast zaczynał jej pragnąć i że namiętność, widoczna na jej obrazach, mieszkała również w niej samej. Wiedział, że potrafi zamienić mężczyznę w niewolnika. Gennie znała swoją moc kusicielki i cieszyła się nią.

Grant z wysiłkiem dokończył postać Weroniki. Odłożył pędzelek i przez chwilę rozprostowywał palce. Miał jednak satysfakcję. Udało mu się odsunąć ją od siebie. Chociaż z drugiej strony... Chyba sam w to nie wierzył.

Przecież gdyby to była prawda, nie rozpamiętywałby teraz, jak to było, kiedy trzymał ją w ramionach. Nie pamiętałby, jaką pustkę czuł w głowie, i nie myślałby tylko i wyłącznie o niej. Ale nie podda się. Nie ulegnie jej niebezpiecznemu urokowi. Wątpił zresztą, czy po tym, co jej powiedział na pożegnanie, jeszcze kiedyś tu wróci.

Zerknął w stronę okna, ale nie wyrzał przez nie. Chwycił pędzelek i pracował przez następną godzinę, chociaż obraz Gennie nadal nie dawał mu spokoju.

Zadowolony, że jednak udało mu się skończyć prace nad następnym odcinkiem zgodnie z planem, wyczyścił pędzelki. Humor tym bardziej mu się poprawił, że kolejny odcinek już kształtował się w jego głowie. Z dokładnością, jakiej nie wykazywał w innych dziedzinach życia, zaprowadził porządek w pracowni. Starannie ułożył przybory w szafkach. Wytarł do czysta buteleczki i słoiki, zakręcił je mocno i odstawił na miejsce. Rysunek zostawił rozpięty na desce, żeby dobrze wysechł.

Nie śpiesząc się, zszedł do kuchni i zaczął szukać czegoś do zjedzenia, jednocześnie słuchając wiadomości radiowych.

Wzmianka o Komitecie do Spraw Etyki i o senatorze, którego uwielbiał przedstawiać w karykaturze, podsunęła mu pomysł na nowy odcinek. Bohaterom swojego komiksu często dawał twarze znanych ludzi, także ze świata polityki, więc niektóre gazety zamieszczały jego rysunki tuż obok artykułów redakcyjnych.

Granta nie obchodziło, na której stronie pojawiają się jego prace. Najważniejsze było, żeby do czytelników dotarł to, co chciał im przekazać. Rysowanie karykatur polityków weszło mu w nawyk jeszcze w dzieciństwie i nie zamierzał tego zmieniać.

Oparł się o blat i mechanicznie wyjadając ciastka z torebki, słuchał wiadomości. Znajomość najnowszych tendencji, nastrojów i wydarzeń była mu równie niezbędna do tworzenia, jak tusz i pędzelek. W odpowiednim czasie, kiedy uzna to za stosowne, wykorzysta usłyszane wiadomości. Teraz postanowił iść na spacer, odetchnąć świeżym powietrzem.

Powiedział sobie, że wychodzi nie dlatego, że spodziewa się spotkać Gennie, ale wręcz przeciwnie, ponieważ jest pewien, że nie ma jej nigdzie w pobliżu.

Od razu ją zobaczył. Wmawiał sobie, że skurcz, który poczuł w sercu, to zwykła irytacja. Przecież zawsze wpadał w gniew, kiedy ktoś zakłócał jego samotność.

Mógł ją zignorować bez większego kłopotu... Mógł po prostu zejść na plażę i pójść w drugą stronę... Zamiast tego stał i patrzył.

Wiatr burzył włosy Gennie, odsłaniając szyję. W promieniach słońca jej nagie ramiona i twarz nabierały świetlistej barwy.

Gdyby teraz się odwrócił i poszedł w przeciwnym kierunku, nawet nie zauważyłaby jego obecności... Zaklął cicho pod nosem i podszedł prosto do niej.

Rzecz jasna, Gennie spostrzegła go, kiedy tylko wyszedł z latarni. Jej pędzel tylko na ułamek sekundy zamarł w bezruchu. Jeśli nawet poczuła szybsze bicie serca, tłumaczyła to sobie tym, że niecierpliwie wyczekiwała na walkę, która miała się między nimi odbyć i którą zamierzał wygrać. Nie mogła się już skoncentrować na malowaniu, więc przyłożyła trzonek pędzla do ust i spojrzała na efekt dotychczasowej pracy.

Szkic na płótnie był dokładnie taki, jak zamierzała. Z zadowoleniem patrzyła na starannie dobrane kolory. Słyszając zbliżające się kroki Granta, zaczęła coś beztrzesko nucić.

- A więc zdecydowałaś się wyrzec ze swojej jaskini - zagadnęła go, przechylając lekko głowę.

Grant wsunął ręce do kieszeni i specjalnie stanął tak, żeby nie widzieć, co namalowała.

- Nie zrobiłaś na mnie wrażenia kobiety, która szuka kłopotów.

Gennie uniosła na niego wzrok, prawie nie odwracając głowy. Uśmiechała się lekko, zaczepnie.

- To chyba znaczy, że słabo znasz się na ludziach, prawda?

Wiedział, że chciała zrobić na nim wrażenie, ale świadomość jej gry niczego nie zmieniła. Poczul, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach.

- A może to raczej znaczy, że nie jesteś zbyt rozsądna.

- Uprzedziłam cię przecież, że tu wrócę. - Jej wzrok na krótko zatrzymał się na jego ustach. - Na ogół staram się kończyć to, co zaczęłam. Chcesz zobaczyć, co namalowałam?

Powiedział sobie stanowczo, że nic go nie obchodzi ani ona, ani jej obrazy.

- Nie - rzucił twardo. Gennie wydeła wargi.

- Och, a już myślałam, że jesteś miłośnikiem i znawcą sztuki. - Odłożyła pędzel i leniwie przeczesła palcami włosy. - Kim ty właściwie jesteś, Grant? - zapytała, spoglądając na niego trochę kpiąco, a trochę uwodzicielsko.

- Jestem, kim w danej chwili chcę być.

- To masz wielkie szczęście. - Wstała, wolnym ruchem zdjęła malarski fartuch o krótkich rękawach i rzuciła go na kamień obok. Widziała, jak Grant obejmuje ją wzrokiem od stóp do głów. Wolno przesunęła palcem po jego koszuli. - Powiedzieć ci, kogo widzę? - Nic nie odpowiedział, ale wciąż patrzył jej w oczy. Gennie zastanawiała się, czyjego serce bije równie mocno i nierówno jak jej. - Widzę samotnika - ciągnęła. - Samotnika o twarzy pirata i

dłoniach poety. Ale maniery masz okropne - dodała z cichym śmiechem. - Chociaż zdaje się, że właśnie takie maniery chcesz mi świadomie pokazać.

Trudno się było oprzeć wyzywającym błyskom w jej oczach i obietnicom, jakie kryły się w uśmiechu miękkich, pełnych ust.

- Skoro tak uważasz... - odparł obojętnie. Miał ochotę jej dotknąć i właśnie dlatego nie wyjmował rąk z kieszeni.

- Wcale mi się to nie podoba. - Gennie odeszła kilka kroków i znalazła się tak blisko krawędzi skały, że niemal dosięgały jej krople morskiej wody. - Ale muszę przyznać, że takie maniery dodają ci specyficznego, szorstkiego uroku. - Zerknęła na niego przez ramię. - Nie każda kobieta pragnie dżentelmena. A i ty pewnie nie szukasz damy.

Na tle fal, które odbijały kolor jej oczu, jeszcze bardziej przypominała morską syrenę.

- A ty jesteś damą, Genvieve?

Roześmiała się, zadowolona, że w jego oczach widzi wściekłość.

- To zależy od tego, czy w danej sytuacji jest to przydatne. - Z pełną świadomością, drwiąco zacytowała jego słowa.

Grant podszedł bliżej, ale chociaż miał ochotę solidnie nią potrząsnąć, powstrzymał się. Ich ciała znalazły się niebezpiecznie blisko siebie.

- Do czego zmierzasz? - zapytał. Spojrzała na niego niewinnie.

- Po prostu staram się podtrzymywać konwersację. Zdaje się, że trochę wyszedłeś z wprawy.

Spojrzał na nią groźnie i odwrócił się.

- Idę na spacer - wymamrotał.

- Cudownie. - Gennie wsunęła mu dłoń pod ramię. - Idę z tobą.

- Wcale cię nie zapraszałem - odparował bez ogródek i zatrzymał się.

- Ojej. - Gennie zatrzepotała rzęsami. - Znowu starasz się mnie oczarować grubiańskim zachowaniem. Tak trudno ci się oprzeć.

Uśmiechnął się, chociaż wcale nie zamierzał. Zawsze jednak najchętniej śmiał się z siebie samego.

- No, dobrze. - W jego oczach pojawił się niepokojący błysk. - Chodź.

Szybko ruszył przed siebie, nie zważając na to, że Gennie stawia krótsze kroki. Pamiętając, że zamierza jeszcze dziś rzucić go na kolana, za wszelką cenę starała się za nim nadążyć. Obeszli latarnię i Grant poprowadził ją w dół po skalnym zboczu. Szedł pewnie i szybko, jak ktoś, kto niej raz przemierzał tę trasę.

Gennie z niepokojem spojrzała na strome zbocze i wąskie półki skalne, po których Grant swobodnie schodził na dół, jakby to były wygodne schody. Poniżej fale z hukiem rozbijały się o brzeg. Nie dam się zastraszyć, powiedziała sobie w duchu. Przecież Grant tylko na to czeka. Wzięła głęboki oddech i ruszyła za nim.

Strach jednak ścisnął jej gardło przez dobrych kilka metrów. Jeśli spadnie i skreśli sobie kark, już on jej za to zapłaci! Potem zdenerwowanie minęło i trudna droga w dół zaczęła sprawiać jej przyjemność.

Im niżej schodziła, tym głośniejsze szumiało morze. Słona mgiełka osiadała na skórze. Na pewno istniała jakaś łatwiejsza trasa, ale teraz Gennie wcale by jej nie szukała.

Grant zszedł już na sam dół, podczas gdy ona miała przed sobą jeszcze kilka metrów. Chciał wierzyć, że nie odważyła się pójść za nim, ale tak naprawdę wiedział, że nie zrezygnuje. Miała w sobie zbyt wiele energii i odwagi.

Instynktownie wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Gennie otarła się o niego, a potem stanęła obok, przechyliła głowę i spojrzała na niego zadziornie. Jej zapach pobudził jego zmysły. Przedtem pachniała jedynie deszczem, teraz czymś równie delikatnym, ale nieporównanie bardziej odurzającym. Nieodparcie przywodziła mu na myśl aromat letniej nocy i wszystkie tajemne obietnice, jakie rozkwitają po zachodzie słońca.

Wściekły, że dał się nabrać na tak oczywistą sztuczkę, Grant puścił jej dłoń. Bez słowa ruszył przed siebie wąską, kamienistą plażą, nad którą pokrzykiwały mewy. Zadowolona z tak szybkiego sukcesu Gennie podążyła za nim.

Już na ciebie podziałałam, myślała z satysfakcją. A jeszcze nawet nie zaczęłam starać się na serio.

- Czy właśnie tak wypełniasz sobie czas, jeśli nie siedzisz zamknięty w swojej wieży?

- A czy ty właśnie tak sobie wypełniasz czas, jeśli nie szalejesz w modnych klubach na Bourbon Street?

Gennie odrzuciła włosy i - znów wsunęła rękę pod jego ramię.

- Rozmawialiśmy już o tym wczoraj. Opowiedz mi o Grancie Campellu. Jesteś może szalonym naukowcem, prowadzącym straszliwe eksperymenty na tajne zlecenie rządowe?

Odwrócił głowę, a potem uśmiechnął się do niej tajemniczo.

- Obecnie zajmuję się zbieraniem znaczków.

Jego odpowiedź tak ją zadziwiła, że zapomniała o prowadzonej grze i zmarszczyła brwi.

- Dlaczego mam poczucie, że w tym, co mówisz, jest ziarno prawdy?



Grant wzruszył tylko ramionami i szedł dalej, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie pozbył się jej towarzystwa. Zwykle przychodził tutaj sam. Tylko podczas spacerów po tej puste, kamienistej plaży pozwalał sobie na prawdziwe odprężenie, jakby fale rozbijające się z hukiem o brzeg i twarde, surowy grunt pod nogami dawały mu schronienie przed własnymi myślami i dobrowolnie narzuconą sobie dyscypliną. Teraz oczekiwał, że obecność Gennie będzie go denerwowała, tymczasem czuł coś na kształt zadowolenia.

- Tajne miejsce - wyszeptała Gennie. Grant zerknął na nią, wyrwany z zadumy.

- Co takiego?

- To jest takie sekretne miejsce. - Zatoczyła ramieniem krąg. Schyliła się i podniosła muszlę, wybieloną przez słońca wodę. - Moja babcia ma wspaniały stary dom na dawnej plantacji, pełen antyków i jedwabnych poduszek. Na samej górze jest tam pokój, ciemny i zakurzony. Stoi w nim połamany fotel na biegunach i skrzynia całkowicie nieprzydatnych rzeczy. Mogę tam siedzieć całymi godzinami. - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Uwielbiam takie sekretne miejsca.

Grant nagle przypomniał sobie bardzo wyraźnie maleńki schowek w domu swoich rodziców, w Waszyngtonie. Zamykał się tam na długie godziny ze stosem komiksów i blokiem do rysowania.

- Takie miejsce przestaje być sekretne, jeśli ktoś się o nim dowie.

- Wcale nie. Jeśli wiedzą o nim dwie osoby, czasami robi się jeszcze bardziej sekretne.

- Przystanąła, żeby popatrzeć na mewę nurkującą do wody. - Co to za wyspa, tam w oddali?

Grant spojrzał na horyzont. Niepokoiło go, że dotyk jej ręki na ramieniu wcale go nie drażnił.

- To zwykle skupiska skał.

- Szkoda - stwierdziła z żalem. - Nie ma tam żadnych zbieleńskich kości ani ukrytych skarbów?

Uśmiechnął się mimowolnie.

- Słyszałem coś o czaszce, która jęczy, kiedy nadchodzi sztorm - odparł, używając miejscowego akcentu.

- Czyja to czaszka? - zaciekała się Gennie, choć wiedziała, że pewnie usłyszy wymyśloną na poczekaniu historyjkę.

- Żeglarza. - improwizował Grant. - Spodobała mu się kobieta kapitana. Miała oczy jak czarodziejka z głębi oceanu i włosy czarne jak noc. - Odruchowo chwycił w dłoń pasmo rozwianych na wietrze włosów Gennie. - Kuszyła go, obiecywała dać mu wiele, jeśli tylko ukradnie złoto i łódź. Zrobił to, ponieważ była kobietą, dla której mężczyzna gotów jest nawet

zabić. Uciekła razem z nim. - Czuł, jak włosy Gennie owijają się wokół jego palców, jakby żyły własnym życiem. - Wiosłował przez dwa dni i dwie noce, bo wiedział, że kiedy dotrą do lądu, kobieta będzie jego. Ale kiedy na horyzoncie ukazał się brzeg, wyjęła miecz i obcięła mu głowę. Teraz jego czaszka leży na skałach i jęczy z bólu po niespełnionym pragnieniu.

Rozbawiona Gennie przechyliła głowę.

- A co z tą kobietą?

- Zainwestowała złoto, podwoiła majątek i została szacowną obywatelką.

Gennie roześmiała się i znów ruszyli przed siebie.

- Zdaje się, że morał brzmi: nigdy nie ufaj kobiecie, która coś ci obiecuje - stwierdziła lekko.

- Zwłaszcza pięknej kobiecie.

- A czy tobie już ktoś odciął głowę, Grant? Roześmiał się krótko, zaskoczony cełnym pytaniem.

- Nie.

- Szkoda. - Westchnęła. - To znaczy, że zawsze opierasz się pokusie.

- Nie zawsze trzeba opierać się pokusie. Czasem wystarczy po prostu mieć oczy szeroko otwarte.

- Jakie to mało romantyczne - zgań ją go Gennie.

- Możliwe, ale nie chciałbym stracić głowy, jest mi jeszcze potrzebna.

Spojrzała na niego z zastanowieniem.

- Do zbierania znaczków?

- Na przykład.

Szli dalej w milczeniu, a fale uderzały o brzeg tuż obok nich.

- Jak się tu znalazłeś? - zapytała impulsywnie.

- Mniej więcej tak samo jak ty.

Po krótkiej chwili parsknęła śmiechem.

- Nie chodzi mi o szczegóły techniczne. Skąd pochodzisz?

- Wychowałem się na południe stąd.

- To rzeczywiście szczegółowa informacja - wymamrotała, ale nie dała za wygraną. - A twoja rodzina? Masz rodzinę?

Zatrzymał się i spojrzał na nią czujnie.

- Dlaczego pytasz?

Gennie potrząsnęła głową i westchnęła z teatralną przesadą.

- To, co robię, nazywa się prowadzeniem rozmowy towarzyskiej i stało się wśród ludzi dość popularne.

- Jestem nonkonformistą.

- Naprawdę? Nigdy bym się nie domyśliła.

- Bardzo dobrze ci wychodzi to naiwne, zdziwione spojrzenie.

- Dziękuję. - Obróciła muszlę w dłoni i z leniwym uśmiechem uniosła na niego wzrok.

- Powiem ci coś o mojej rodzinie, żeby było ci łatwiej zacząć. - Myślała przez chwilę, zanim się zdecydowała, o kim opowiedzieć. - Mam kuzyna, bardzo odległego. Zawsze uważałam, że to najciekawsza postać w moim drzewie genealogicznym, chociaż nie nosił nazwiska Grandeau.

- A jak się nazywał?

- Nazywali go czarną owcą w rodzinie - wyjaśniła z zapałem. - Wszystko robił po swojemu, nie przejmował się tym, co ludzie pomyślą. Czasami słyszałam historie z jego życia, choć nie były przeznaczona dla moich uszu, ale spotkałam go dopiero, kiedy - dorosłam. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że od razu się polubiliśmy i przez ostatnie lata jesteśmy ze sobą w stałym kontakcie. Radził sobie w życiu na różne sposoby i dobrze na tym wychodził, co nie bardzo się podobało bardziej statecznym członkom rodziny. Potem wszystkich zadziwił, kiedy się ożenił.

- Ze striptizerką?

- Nie. - Roześmiała się, zadowolona, że jej opowiadanie zainteresowało Granta. - Z kimś bardzo odpowiednim, kobietą inteligentną, dobrze wychowaną, bogatą...

Wzniosła oczy do nieba. - Czarna owca, wyrzutek, który siedział jakiś czas w więzieniu, dorobił się na hazardzie, prześcignął wszystkich. - Uśmiechnęła się na myśl o kuzynie Blade, w którym płynęła krew Komanczów. Tak, kuzyn Justin rzeczywiście wszystkich prześcignął. I nawet na tyle go to nie obeszło, żeby zagrać reszcie rodziny na nosie.

- Uwielbiam szczęśliwe zakończenia - powiedział ironicznie Grant.

Gennie spojrzała na niego badawczo.

- Nie wiesz, że im mniej komuś o sobie mówisz, tym większą budzisz ciekawość? Lepiej już coś zmyślić, niż nic nie powiedzieć.

- Jestem najmłodszym z dwanaściorga dzieci pary południowoafrykańskich misjonarzy - zaczął tak przekonująco, że na chwilę mu uwierzyła. - Kiedy miałem sześć lat, zgubiłem się w dżungli i zaopiekowało się mną stado lwów. Nadal przepadam za mięsem zebry. W wieku osiemnastu lat zostałem schwytany przez myśliwych i sprzedany do cyrku. Przez pięć lat byłem gwiazdą areny.

- Występowałaś pewnie pod pseudonimem Chłopiec Lew - wtrąciła Gennie.

- Naturalnie. Pewnej nocy, podczas burzy, namiot stanął w płomieniach. Uciekłem, korzystając z zamieszania. Wędrowałem po całym kraju, żywiąc się tym, co znalazłem lub ukradłem. W końcu stary pustelnik wziął mnie do siebie, kiedy ocalałem go przed atakiem niedźwiedzia.

- Gołymi rękami - dodała.

- To moje opowiadanie - upomniał ją. - Nauczył mnie czytać i pisać. Na łożu śmierci zdradził mi, gdzie zakopał oszczędności całego życia, ćwierć miliona w złotych sztabkach. Urządziłem mu pogrzeb według rytuału Wikingów, bo takie było jego życzenie, a potem zacząłem się zastanawiać, czy zostać maklerem, czy wrócić do leśnych ostępów.

- Zrezygnowałaś jednak z Wall Street, osiedliłaś się tutaj i zaczęłaś zbierać znaczki.

- Mniej więcej.

- Cóż - powiedziała Gennie po chwili milczenia. - Wcale się nie dziwię, że nie chciałaś nic mi powiedzieć. Taki nudny życiorys...

- Sama prosiłaś - przypomniał jej.

- Mogłaś coś wymyślić.

- Nie mam wyobraźni.

Roześmiała się i oparła mu głowę na ramieniu.

- Tak, sama widzę, że masz bardzo logiczny umysł. Jej śmiech i przyjacielski gest sprawiły, że od stóp do głów przeszedł go miły dreszczyk. Wyprowadziło go to z równowagi. Powinien dawno się jej pozbyć. Ten spacer robił się zbyt przyjemny i zaczynało go to niepokoić.

- Mam jeszcze dużo pracy - oznajmił nagle. - Tędy możemy wejść na górę.

Ta niespodziewana zmiana tonu otrzeźwiła Gennie i przypomniała jej, że zjawiała się tu w pewnym ściśle określonym celu, ale na pewno nie po to, żeby polubić Granta.

Wspinaczka okazała się łatwiejsza niż droga w dół. Szli teraz po łagodniejszym zboczu. Chociaż uścisk palców Granta zelżał, Gennie nie puszczała jego dłoni. Uśmiechała się do niego od czasu do czasu, a on tylko coś mamrotał pod nosem, pomagając jej pokonać zbocze.

Widząc, że za chwilę znajdą się na szczycie, Gennie szybko wsunęła do kieszeni trzymaną w drugiej ręce muszlę.

Kiedy został jej do pokonania ostatni krok, wyciągnęła do Granta oba ramiona. Patrzyła mu prosto w oczy, a włosy powiewały jej na wietrze. Z pełnym irytacji pomrukiem Grant chwycił ją za obie dłonie i wciągnął na samą górę. Stała tuż obok niego, niemal

dotykając go całym ciałem. Ich ręce pozostały złączone. Oddech Granta, tak miarowy podczas wspinaczki, nagle zaczął się rwać. Gennie uśmiechnęła się do niego z satysfakcją.

- Wracasz do swoich znaczków? - wyszeptała. Przysunęła się bliżej i wolno dotknęła ustami jego policzka. - Baw się dobrze. - Wysunęła dłonie z jego uścisku i odwróciła się. Zrobiła trzy kroki, zanim Grant chwycił ją za ramię. Chociaż serce waliło jej jak młotem, spokojnie zerknęła na niego przez ramię. - Chciałeś czegoś? - zapytała niskim, rozbawionym głosem.

Widziała po jego minie, że walczy o zachowanie kontroli nad samym sobą. W jego oczach błyszczało tak wyraźne pożądanie, że aż zaschło jej w gardle. Nie, teraz nie mogła się już cofnąć. Dokończy tę grę.

Kiedy gwałtownie przyciągnął ją do siebie, wmawiała sobie, że nie czuje ani strachu, ani namiętnej pasji. Powtarzała sobie, że to wyłącznie radość ze zwycięstwa.

- Zdaje się, że jednak czegoś chcesz - stwierdziła ze śmiechem i przesunęła rękami po jego plecach.

Kiedy jego usta spoczęły na jej wargach, zakręciło jej się w głowie. Znikły wszystkie plany i myśli o zemście. Było tak jak za pierwszym razem, cudownie, z poczuciem, że tak właśnie trzeba, i niejasną tęsknotą za czymś więcej.

Czując jej gotowość, Grant jęknął głucho i przyciągnął ją jeszcze mocniej. Przesuwał językiem po jej wargach i wnętrzu ust, jednocześnie gładząc dłońmi jej krągłe biodra.

Czuła dotyk jego mocnych rąk i aż przechodziły ją dreszcze na myśl, jakby to było, gdyby nie dzieliła ich bariera ubrania. Jej usta spijały wszystko, co dawał jego pocałunek. Jego usta napierały, ale i ona nie chciała ustąpić.

Trwali tak, dopóki nie zaczęła odczuwać ogarniającej ją słabości, której tak się lękała. Przecież nie po to tu przyszła... Nie, nie chciała się poddawać tej przerażającej słodyczy, narastającej potrzebie, żeby ofiarować mu całą siebie.

Narastała w niej panika. Walczyła ze sobą, choć wiedziała, że jeśli oładnie nią prawdziwe pożądanie, nie będzie w stanie mu się oprzeć. Musiała powstrzymać jego i siebie. Jeśli jeszcze przez chwilę będzie ją obejmował, roztopi się w jego uścisku i przegra.

Zebrawszy resztki sił, odsunęła się od niego, starając się za wszelką cenę nie okazać ani szalejących w niej namiętności, ani strachu.

- To było bardzo miłe - wyszeptała, modląc się w duchu, żeby nie zauważył drżenia w jej głosie. - Chociaż jak na mój gust trochę zbyt szorstkie.

Grant oddychał szybko. Nie odezwał się od razu, ponieważ wiedział, że nie zapanowałby nad głosem. Po raz drugi udało się jej całkowicie opróżnić mu myśli i duszę,

żeby potem wypełnić je wyłącznie sobą. Patrzył jej w oczy i czekał, aż opuści go dzikie, nieopanowane pragnienie zbliżenia się do niej. Jednak nie chciało odejść.

Powtarzał sobie, że jest silniejszy od Gennie. Chwycił w dłonie poły jej bluzki i poczuł bicie jej serca. Nic by go nie powstrzymało, gdyby... Opuścił rękę, jakby materiał go parzył. Nikt przecież go do tego nie zmuszał. Dlaczego więc tak się zachowywał?

- Stąpasz po polu minowym, Genvieve - powiedział cicho.

- Wiem, gdzie stawiać nogi. - Odrzuciła głowę, uśmiechnęła się i licząc każdy krok, wróciła do sztalug. Ręce jej chyba trochę drżały, kiedy składała przybory. Może nawet krew huczała jej w uszach. Ale to ona wygrała pierwszą rundę. Odetchnęła głębiej, słysząc trzask zamykanych drzwi do latarni.

Wygrała pierwszą rundę, powtórzyła w myślach. Ciekawe tylko, dlaczego już teraz nie mogła się doczekać drugiej?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Grantowi udało się unikać Gennie przez całe trzy dni. Codziennie przychodziła na skraj urwiska, żeby malować, i chociaż pracowała godzinami, nie dostrzegła nawet jego śladu. W latarni panowała cisza.

Pewnego dnia po przybyciu na miejsce nie zauważyła jego łodzi. Nie wrócił z wyprawy, nawet kiedy skończyło się dobre do malowania światło. Kusiło ją, żeby zejść w dół po stromej skale i przejść się po plaży, na którą ją kiedyś zabrał. Przekonała się jednak, że chyba łatwiej przyszedłoby jej wejść bez zaproszenia do jego domu, niż bez jego wiedzy zapuścić się w jego ulubiony zakątek. Nawet gdyby pragnęła tam malować, nie zdobyłaby się na to.

Malowała w spokoju, przekonana, że skoro już mu pokazała, na co ją stać, nie będzie więcej onim myślała. Ale powstający na płótnie obraz sprawiał, że nie mogła wyrzucić Granta ze swoich myśli. Nigdy już nie będzie mogła patrzeć na ten krajobraz, czy to w rzeczywistości, czy na płótnie, i nie widzieć jego postaci. Ten kawałek ziemi należał do niego, jakby on sam był jego częścią.

Rozprowadzając farby, czuła siłę jego osobowości i wyzwanie, jakie jej rzucał, nawet kiedy jej się wydawało, że maluje jedynie nastroje emanujące z otaczającej ją natury.

Z zaskoczeniem odkryła, że choć samego Granta na jej obrazie nie było, przeniosła na płótno odbicie jego duszy. Nie zrobiła tego celowo. Po prostu nie miała wyboru.

Ta świadomość coraz mocniej popychała ją do stworzenia czegoś niezwykłego, pełnego wyrazu i siły. Malowanie wprawiało ją w rodzaj transu. Czuła, że jej przeznaczeniem jest namalowanie tego pejzażu, i to w doskonały sposób. Wiedziała też, że kiedy skończy, podaruje obraz Grantowi. Do nikogo innego nie mógłby należeć.

Nie będzie to, oczywiście, oznaka uczucia ani propozycja przyjaźni. Tak po prostu należało postąpić. Nie byłyby w stanie z czystym sumieniem sprzedać tego płótna. A gdyby je | sobie zatrzymała, prześladowałoby ją. Tak więc przed wyjazdem z Windy Point podaruje mu je. Może wtedy wspomnienie o niej będzie prześladowało Granta?

Co rano budziła się z przemożną chęcią zakończenia pracy nad obrazem. Musiała świadomie zwalniać tempo, ponieważ nie mogła dopuścić, żeby jakikolwiek szczegół pozostał niedopracowany. Wiedziała, że powinna pracować wolno, żeby wchłonąć wszystko, co ją otaczało, i przenieść to na płótno. Popołudniami zmuszała się do zakończenia pracy. Nie chciała pracować dłużej, niż nakazywał rozsądek i pozwalało najodpowiedniejsze światło.

Naszkurowała swoją zatoczkę i przygotowała się do namalowania akwareli. Nie mogła doczekać się ranka, bo wtedy wreszcie będzie mogła wrócić nad wzburzone morze, pod latarnię.

Nie potrafiła spokojnie usiedzieć w domu, więc pojechała do miasteczka. Nadszedł czas na sporządzenie kilku szkiców w tamtejszych plenerach i podjęcie decyzji, w jakiej technice i co namalować. Chciała też spotkać jakichś ludzi, żeby wreszcie oderwać myśli od Granta.

Wczesnym popołudniem w Windy Point panowała senna atmosfera. Łodzie wypłynęły na morze, a mgliste, letnie powietrze drżało gorącem. Gennie spostrzegła kobietę, która łuskała na ganku fasolę, a jej małe dziecko siedziało na podwórku i obrywało płatki z goździka.

Zaparkowała samochód na końcu ulicy i dalej ruszyła piechotą. Naszkicuje domy i ogrody, zapamięta sobie, jakie wywarły na niej wrażenie, żeby potem móc to namalować w świeży, naturalny sposób, postanowiła.

To był zupełnie inny świat niż ten wokół Windy Point Station, ale również inny niż spokojna zatoczka przy jej domu. Jednak w jakiś szczególny sposób te trzy światy łączyły się w jedną całość. Wszystkie pozostawały pod wpływem morza.

Krażyła po miasteczku, zadowolona, że tu przyjechała, chociaż otaczały ją obce głosy i twarze. Zapamięta to miasto o wiele lepiej niż wszystkie inne, które odwiedziła podczas podróży po Nowej Anglii. Mimo to cały czas czuła, że wzywa ją morze i człowiek, który nad nim mieszkał.

Kiedy znów go zobaczy? Musiała przyznać się sama przed sobą, że za nim tęskni. Brakowało jej srogich min i szorstkich słów, szybkich uśmiechów i niespodziewanych iskerek rozbawienia w jego oczach. I chociaż do tego najtrudniej jej się było przyznać, tęskniła do wybuchów namiętności, jakie w niej tak nagle wywoływał.

Opierając się o ścianę budynku, zastanawiała się, czy istnieje gdzieś inny mężczyzna, który tak by na nią działał. Nigdy nie szukała rycerza w lśniącej zbroi. Tego typu mężczyźni oczekiwali, że kobieta będzie przy nich bezradną, wątłą istotką, a udawanie kogoś takiego sprawiłoby Gennie zbyt dużo kłopotu. Grant Campbell nigdy nie starał się być rycerski, a mdlejące kobieciątka pewnie tylko go denerwowały.

Parsknęła śmiechem na wspomnienie ich pierwszego spotkania. Nie, na pewno nie wzruszała go skrzywdzona przez los bezbronna istotka. Z drugiej jednak strony wcale nie marzyła o potworze w ludzkiej skórze, a Grantowi niedaleko było do tej kategorii.



Potrząsnęła głową i nagle uświadomiła sobie, że nie tylko myślała o Grancie, ale na dodatek bezwiednie naszkicowała jego portret. Krytycznie przyjrzała się rysunkowi w szkicowniku. Dobrze oddane podobieństwo, zdecydowała po chwili. Doskonale uchwyciła pociągłą twarz ze zmarszczonymi brwiami, arystokratyczny nos i niesforne włosy. I usta...

Nie zaskoczyło jej, że zareagowała na nie tak emocjonalnie, ale wcale nie była z tego zadowolona. Narysowała jego usta takie, jakimi je widziała tuż przed pocałunkiem, kiedy były zmysłowe i bezwzględne zarazem. Tak, nadal czuła ich niezwykle smak, tutaj, w środku spokojnego miasteczka, gdzie pachniało rybami i wędzącymi kwiatami.

Starannie zamknęła szkicownik. Lepiej będzie, jeśli poprzestanie na szkicowaniu domów i ogrodów. W końcu po to tu przyszła. Zatknęła ołówek za ucho i poszła na drugą stronę ulicy, na pocztę. Chudy nastolatek, którego zapamiętała ze swego pierwszego pobytu w miasteczku, znów wpatrzył się w nią z zachwytem, kiedy przekroczyła próg. Uśmiechnęła się do niego, podchodząc do lady, a grdyka chłopaka zaczęła podskakiwać nerwowo.

- Will! - Pani Lawrence z rozmachem położyła na ladzie kilka listów. - Zabierz pocztę dla pana Fairfielda i wracaj do sklepu, jeśli nie chcesz stracić pracy.

- Tak, proszę pani. - Zebrał listy, nie odrywając wzroku od Gennie. Przez nieuwagę upuścił je na ziemię, a kiedy schyliła się i pomogła mu je zebrać, zaczerwienił się i zaczął coś beładnie mamrotać.

- Will! - powtórzyła pani Lawrence głosem zniecierpliwionej nauczycielki. - Poskładaj te listy i wracaj do sklepu.

- Został jeszcze jeden - powiedziała łagodnie Gennie i podała mu kopertę, a Will aż otworzył z zachwytu usta. Nie odrywając od niej wzroku, na niepewnych nogach wyszedł ze sklepu.

Pani Lawrence zaśmiała się rozbawiona.

- Żeby tylko nie potknął się o krawężnik.

- Zdaje się, że powinno mi to pochlebiać - stwierdziła Gennie. - Nie przypominam sobie, żebym na kimkolwiek zrobiła tak wstrząsające wrażenie.

- To trudny wiek dla chłopaka, kiedy zaczyna zauważać, że płeć przeciwna jest trochę inaczej zbudowana.

Gennie ze śmiechem oparła się o ladę.

- Chciałam pani jeszcze raz podziękować za wizytę. Malowałam pejzaż przy latarni morskiej i nie zaglądałam do miasteczka.

Pani Lawrence zerknęła na szkicownik, który Gennie położyła na ladzie.

- Tutaj też coś narysowałeś?

- Tak. - Gennie bez namysłu otworzyła szkicownik i przerzuciła kartki. - To miasteczko od razu mi się spodobało. Ma charakter. Mam wrażenie, że wszystko tutaj ma swój sens.

Wdowa chłodnym wzrokiem spoglądała na szkice, a Gennie zagryzając wargę czekała na werdykt.

- Tak, tak - odezwała się w końcu pani Lawrence. - Widać, że znasz się na rzeczy. - Kiedy odsunęła kolejny szkic, spod niego ukazał się portret Granta. - Wygląda trochę groźnie - stwierdziła, uśmiechając się ledwo zauważalnie.

- Bo wydaje mi się, że jest groźny - odparła Gennie.

- Są kobiety, które lubią mężczyzn szorstkich w obejściu. - Jeszcze raz się zaśmiała, a jej oczy spojrzały bardziej przyjaźnie. - Ja jestem właśnie taka. - Spojrzała na coś za plecami Gennie i zamknęła szkicownik. - Dzień dobry, panie Campbell.

Przez chwilę Gennie patrzyła na panią Lawrence z takim samym osłupieniem, jak Will spoglądał na nią. Zaraz jednak oprzytomniała i położyła dłoń na zamkniętym szkicowniku.

- Witam, pani Lawrence. - Kiedy Grant stanął przy ladzie, Gennie poczuła bijący od niego zapach morza. - Genvieve - powiedział, mierząc ją przeciągłym, nieprzeniknionym spojrzeniem.

Tak niedawno się zastanawiał, ile czasu jeszcze wytrzyma, zanim ulegnie pragnieniu zobaczenia jej z bliska. W ciągu minionych trzech dni wiele razy wbrew własnej woli podchodził do okna i patrzył na nią, zajętą malowaniem. Nie poszedł do niej, ponieważ wiedział, że gdyby znów jej dotknął, znalazłby się na drodze, z której nie było odwrotu, a przecież nie mógł przewidzieć, co czeka go na jej końcu.

Tymczasem Gennie przypomniała sobie zarumienionego, jękającego się Willa i natychmiast się opanowała.

- Witaj, Grant. - Uśmiechnęła się, uważając, żeby nie zrobić tego zbyt ciepło i serdecznie. - Sądziłam, że zapadłeś w sen zimowy.

- Byłem zajęty - odrzekł niedbale. - Nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś. - Z satysfakcją zauważył, że nie zdążyła opanować błysku irytacji w oku.

- Jeszcze jakiś czas tu pomieszkam.

Pani Lawrence położyła na ladzie gruby plik listów i stos gazet. Zanim Grant je zabrał, Gennie zauważyła na jednym z listów zwrotny adres z Chicago i nagłówek „Washington Post”.

- Dziękuję - powiedział Grant i ruszył do drzwi. Gennie patrzyła za nim ze zmarszczonym czołem. Dostał chyba z tuzin listów i tyle samo gazet. To dziwne, jak na

człowieka, który mieszka na dzikiej skale, w pobliżu miasteczka, w którym nie było nawet sygnalizacji świetlnej na ulicy. Co, u diabła...

- Przystojny mężczyzna - skomentowała pani Lawrence za plecami Gennie.

Gennie wymamrotała coś pod nosem i poszła do wyjścia.

- Do widzenia, pani Lawrence - rzuciła na odchodnym.

Po jej wyjściu wdowa Lawrence przez chwilę stała bębniąc palcami o ladę. Tyle napięcia w powietrzu nie czuła od czasu ostatniej burzy. Może znowu zbiera się na sztorm?

Zamyślona Gennie poszła przed siebie. Cóż mogło ją obchodzić, że jakiś dziwak - samotnik dostawał tyle listów. Może przyjeżdżał do miasteczka tylko raz na miesiąc... Nie, gazeta była wczorajsza. Potrząsnęła głową, starając się zdusić narastającą ciekawość. Drażniło ją, że tym razem to Grant dał jej do myślenia.

Zatrzymała się na rogu jednej z ulic i szybko naszkicowała kolejny dom. Powtarzała sobie, że zamiast myśleć o nim, powinna się zastanowić, co musi kupić przed powrotem do domku nad morzem.

Nie mogła jednak się uspokoić. Poczucie spokoju i ładu, jakie ogarnęło ją po godzinie spędzonej w miasteczku, znikło gdzieś, kiedy tylko Grant stanął w progu poczty. Chciała je odzyskać przed powrotem do swojej samotni.

Bez celu szła ulicą, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby obejrzeć jakąś wystawę. Doszła prawie do skraju miasta, kiedy przypomniała sobie, że widziała tu kościół i przylegający do niego cmentarz. Pójdzie tam i będzie szkicowała, dopóki nie dopadnie jej zmęczenie, zdecydowała szybko.

Obok niej z hałasem przemknęła ciężarówka. Był to chyba trzeci pojazd, jaki minął ją w ciągu godziny. Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła na cmentarz, wsłuchując się w ciszę.

Kościół był niewielki, biały, ozdobiony pojedynczym witrażem nad wejściem. W pozostałych oknach lśniły zwyczajne szyby, a mocne, drewniane drzwi były trochę porysowane.

Farba na przerdzewiałym ogrodzeniu łuszczyła się. Między słupkami wyrastały kępy drobnych, jasnych kwiatów. Wysoka trawa gięła się na wietrze. Nad głową Gennie z głośnym nawoływaniem przeleciało stado mew.

Usiadła w zacisznym kącie cmentarzyka, gdzie niedawno skoszono trawę. W powietrzu unosił się jeszcze jej zapach.

Kiedy zaczęła rysować, opuścił ją niepokój. Może nie zdąży namalować wszystkich tych fascynujących widoków farbami olejnymi lub akwarelami, ale przynajmniej zostaną jej

szkice. Dzięki nim będzie mogła potem wrócić w wyobraźni do Windy Point, jeśli tylko poczuje taką potrzebą.

Odwróciła kartkę i zaczęła drugi rysunek, kiedy padł na nią jakiś cień. Serce zabiło jej mocniej, na policzki wystąpił rumieniec. Od razu odgadła, kto za nią stoi. Osloniła oczy dłonią i uniosła wzrok na Granta.

- O, spotykamy się drugi raz tego samego dnia - stwierdziła beztrąsko.

- To małe miasto. - Wskazał na jej szkicownik. - Nie będziesz już pracować przy latarni?

- Będę, ale o tej porze dnia światło mi tam nie odpowiada.

Powinien czuć złość, a nie ulgę, przemknęło mu przez myśl. Niedbale usiadł obok niej na trawie.

- A więc chcesz unieśmiertelnić Windy Point.

- Na swój skromny sposób - odrzekła chłodno i wróciła do rysowania. - Nadal zabawiasz się zbieraniem znaczków?

- Nie. Zainteresowałem się muzyką klasyczną. - Spojrzała na niego badawczo, ale - on tylko się uśmiechnął. - Pewnie wychowałeś się na takiej muzyce. Trochę Brahmsa po obiedzie.

- Wolałam Chopina. - Uderzyła ołówkiem w szkicownik. - Co zrobiłeś z listami i gazetami?

- Schowałem.

- Nie widziałam nigdzie twojego samochodu.

- Przypląnąłem łodzią. - Wziął od niej szkicownik i zaczął przeglądać rysunki.

- Jak na kogoś, kto tak dba o zachowanie prywatności, nie wykazujesz przesadnego szacunku dla cudzych rzeczy - stwierdziła z gniewem.

- Może i tak. - Bezceremonialnie odsunął jej rękę, kiedy chciała mu odebrać szkicownik. Chociaż wrzała ze złości, Grant spokojnie oglądał jej prace, aż doszedł do własnej podobizny. Chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem, ku zaskoczeniu Gennie, uśmiechnął się szeroko. - Nieźle - ocenił.

- Twoje pochwały ścinają mnie z nóg.

Grant przez moment trwał w zadumie, a potem impulsywnie wyjął jej z ręki ołówek.

- Muszę ci się odwdziżyć.

Znalazł czystą kartkę i ku zaskoczeniu Gennie zaczął rysować, pewnie i lekko stawiając kreski. Od razu poznała, że miał długoletnią praktykę. Patrzyła na niego z

otwartymi ustami, a on, pogwizdując, pogrążył się w pracy. Zmrużył oczy, zacieniował niektóre partie rysunku, a potem niedbale rzucił jej szkicownik na kolana.

Spojrzała na niego przeciągle, zanim spuściła wzrok na rysunek. Tak, to z całą pewnością była ona, odwzorowana w inteligentnej, acz bezlitosnej karykaturze. Oczy miała przesadnie skośne, niemal drapieżne, kości policzkowe zarysowane wręcz arystokratycznie, podbródek świadczący o skłonności do uporu. Z lekko rozchylonymi ustami i odchylona w tył głową, robiła wrażenie władczej królowej, lekko czymś zniecierpliwionej.

Gennie wpatrywała się w karykaturę przez pełne dziesięć sekund, aż w końcu wybuchnęła śmiechem.

- Ale z ciebie numer! - zawołała i znów zaczęła się śmiać. - Wyglądam tak, jakbym chciała kogoś skazać na ścięcie.

Grant czułby się bezpiecznej, gdyby Gennie rozzłościła się lub obraziła. Wtedy skreśliłby ją, jako pustą, pozbawioną poczucia humoru mieszczkę. Przynajmniej starałby się to zrobić. Tymczasem dźwięk jej żywiołowego śmiechu i widok rozbawienia w oczach sprawił, że pogrążał się coraz bardziej.

- Gennie - wyszeptał i wyciągnął dłoń ku jej twarzy. Śmiech zamarł natychmiast.

Nawet gdyby jej gardło nie zacisnęło się kurczowo, Gennie i tak nie wiedziałaby, co powiedzieć. Miała wrażenie, że wszystko wokół znieruchomiało. Poruszały się jedynie jego palce, odgarniające włosy z jej czoła. Słyszała tylko własny nierówny oddech. Kiedy pochylił się nad nią, nie poruszyła się, czekała.

Zawahał się ledwo dostrzegalnie, zanim jego usta dotknęły jej warg. Całował ją delikatnie, jakby pytał o przyzwolenie, a ona miała wrażenie, że mięknie w jego ramionach niczym wosk, ale zarazem staje się tak silna, że mogłaby unieść się w powietrze. Odgadła, że on czuje się podobnie, kiedy na sekundę kurczowo zacisnął palce na jej ramionach.

Czuła smak ciepłego oddechu, miękkość warg. Wdychała bijący od niego subtelny zapach wiatru i morza. Kiedy lekko uniosła powieki, widziała trochę niewyraźnie jego twarz. Usłyszała, jak wyszeptał jej imię.

W odpowiedzi mocniej wtuliła się w jego ramiona. Nieoczekiwanie pojawił się w niej jakiś ból, tak dojmujący, że aż zadrzała. Resztką świadomości zastanawiała się, skąd wziął się ten ból, skoro było jej tak dobrze? A jednak pojawił się znów i wstrząsnął całym jej ciałem. Przypomniała sobie powiedzenie, że miłość potrafi ranić.

Ale przecież nie mogła się zakochać, nie teraz, nie w Grancie. Nie tego chciała. W takim razie czego pragnęła? No, tak. Jego. Zrozumiała to jasno i wyraźnie. I natychmiast wpadła w panikę.

- Grant, nie. - Odsunęła się, ale gładząca jej twarz ręka przesunęła się na jej szyję i przytrzymała ją lekko.

- Co to znaczy? - Jego głos brzmiał cicho, nieco chrapliwie.

- Nie zamierzałam... nie powinniśmy... nie chciałam... Ojej! - Zmrużyła oczy, zirytowana faktem, że jak nastolatka nie potrafi znaleźć odpowiednich słów.

- Spróbuj mi to jeszcze raz wytłumaczyć.

Cień rozbawienia w jego głosie sprawił, że skoczyła na równe nogi. Kręciło jej się w głowie, ale to na pewno tylko dlatego, że poderwała się tak gwałtownie, a przedtem długo siedziała.

- Słuchaj, to zupełnie nieodpowiednie miejsce do takich rzeczy.

- Do jakich rzeczy? - zaciekawił się, również wstając, ale wolno i leniwie. - Tylko się całowaliśmy. To przyjemniejsze niż towarzyska pogawędka. Całowanie się z tobą weszło mi w krew. - Zatopił dłoń w jej włosach, tak że pasma luźno spłynęły między rozwartymi palcami. - Jak się raz do czegoś przyzwyczaję, niechętnie z tego rezygnuję.

- W tym wypadku - urwała, żeby zaczerpnąć tchu - powinieneś zrobić wyjątek.

Przyglądał jej się z uwagą. Pewna myśl uparcie kołatała mu się w głowie, mimo że starał się ją zlekceważyć.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać, Genvieve. Raz jesteś doświadczoną uwodzicielką, a po chwili zachowujesz się jak speszona pensjonarka. Wiesz, jak zafascynować mężczyznę. Natychmiast obudziła się w niej urażona godność, która pomogła jej odzyskać panowanie nad sobą.

- Niektórzy mężczyźni ulegają fascynacji łatwiej niż inni.

- To prawda. - Grant nie potrafił nazwać uczuć, jakie go owładnęły, ale nie czuł się z nimi dobrze. - Byłbym zadowolony, gdybyśmy się już więcej nie spotkali - wymamrotał.

Słuchając jego oddalających się kroków, Gennie podniosła z ziemi szkicownik. Złośliwym zbiegiem okoliczności upadł, otwierając się na portrecie Granta. Ze złością spojrzała na rysunek.

- Ja też byłabym zadowolona, gdybym cię więcej nie zobaczyła.

Zamknęła szkicownik, starannie otrzepała dzinsy i godnym krokiem opuściła cmentarz. Do diabła z tym wszystkim!

- Grant! - Pobiegnęła wzdłuż ulicy i wkrótce się z nim zrównała. - Grant, zaczekaj!

Przystanął i spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

- Co znowu?

Trochę zdyszana stanęła przed nim i gorączkowo się zastanawiała, co takiego właściwie chciała mu powiedzieć. Nie, wcale nie chciała, żeby zniknął z jej życia. Nie rozumiała jeszcze, dlaczego tak jest, ale powinna dać sobie możliwość, żeby się tego dowiedzieć.

- Zawrzyjmy pokój - zaproponowała w końcu i wyciągnęła rękę. Kiedy nadal patrzył na nią bez ruchu, sapnęła z rezygnacją i postanowiła na chwilę zapomnieć o dumie. - Proszę.

To słowo tak go zaskoczyło, że ujął jej rękę.

- Dobrze. - zgodził się. Kiedy chciała cofnąć dłoń, zacieśnił uścisk. - Dlaczego?

- Sama nie wiem - odparła niecierpliwie. - Może po prostu chcę się przekonać, czy potrafię wytrzymać z potworem. - Ironicznie uniósł brew do góry. - No, dobrze - westchnęła. - Tak tylko mi się wyrwało. Cofam to.

Dotknął cienkiego, złotego łańcuszka, który nosiła na szyi.

- I co teraz? - zapytał.

No właśnie, co teraz. Przecież nawet lekki dotyk jego palców sprawiał, że po jej skórze przebiegały dreszcze. Nie zamierzała poddać się tym emocjom, ale nie chciała też za każdym razem podskakiwać jak spłoszony królik.

- Jestem ci winna zaproszenie na kolację - wyrwało jej się bez namysłu. - W ten sposób ci się odwdzięczę i wyrównamy rachunki.

- W jaki sposób?

- Przygotuję dla ciebie kolację.

- Już zrobiłaś mi śniadanie.

- Ale produkty były twoje - zauważyła Gennie. W myślach już układała plan wieczoru. Spojrzała w stronę miasta. - Muszę kupić kilka rzeczy.

Grant patrzył na nią z zastanowieniem.

- Przyniesiesz je do latarni?

O, co to, to nie, pomyślała natychmiast. Wiedziała, że tam nie mogłaby sobie ufać.

- Nie, zawiozę je do siebie. Jest tam przygotowane palenisko do barbecue. Lubisz steki?

Ciekawe, do czego ona zmierza? Grant czuł, że musi osobiście się o tym przekonać.

- Owszem, zjadłem już w życiu kilka.

- W porządku. - Zdecydowanie skinęła głową i wzięła go za rękę. - Idziemy na zakupy.

- Zaczekaj - powiedział, kiedy pociągnęła go za sobą.

- Już zaczynasz narzekać? Gdzie tu można kupić steki?

- W Bayside - oświadczył ironicznie, a ona zatrzymała się w pół kroku.

- O, to daleko.

Widząc wyraz jej twarzy, roześmiał się i otoczył ją ramieniem.

- Czasami można je dostać u Leemana. Gennie spojrzała na niego podejrzliwie.

- A skąd pochodzą?

Nadal roześmiany Grant pchnął drzwi do sklepu Leemana.

- Uwielbiam tajemnice.

Gennie nie była pewna, czy ta sytuacja ją bawi, dopóki nie stwierdziła, że w sklepie rzeczywiście jest stek. Wprawdzie tylko jeden, ale bardzo duży, z powodzeniem nadający się na kolację dla dwojga. W dodatku pochodził z pobliskiej farmy, która miała wszystkie wymagane zaświadczenia i certyfikaty weterynaryjne. Zadowolona kupiła jeszcze torbę świeżych warzyw na sałatkę i znów wyciągnęła Granta na ulicę.

- Dobrze. A gdzie mogę kupić butelkę wina?

- U Fairfielda - zasugerował Grant. - Tylko on sprzedaje tu alkohol. Jeśli nie jesteś zbyt wybredna, na pewno coś tam znajdziesz.

Kiedy przechodzili przez ulicę, minął ich chłopak na rowerze. Zanim się oddalił, zmierzył Granta wrogim spojrzeniem, a potem spuścił głowę.

- Jeden z twoich wielbicieli? - zapytała ironicznie Gennie.

- Kilka tygodni temu przegoniłem z urwiska jego i kilku jego kolegów.

- Ale z ciebie miły facet.

Grant tylko się uśmiechnął. Dobrze pamiętał, że jego pierwszą reakcją był gniew, że ktoś zakłóca mu spokój, a potem strach, że czterech rozbrykanych chłopców skręci sobie kark na stromym zboczu.

- Owszem, całkiem miły - potwierdził, z przyjemnością wspominając ostrą burę, jakiej im udzielił.

- Naprawdę lubisz kopać chore psy? - zapytała, widząc błysk w jego oku.

- Tylko na swoim terenie.

Z ciężkim westchnieniem Gennie otworzyła drzwi do sklepu Fairfielda. Will natychmiast upuścił na podłogę wielką puszkę, którą miał postawić na półce, i nie zwracając na to najmniejszej uwagi, podszedł do Gennie.

- Co podać? - zapytał łamiącym się głosem, czerwony po czubki uszu.

- Potrzebny mi węgiel drzewny i butelka wina - odpowiedziała Gennie.

- Węgiel jest na zapleczu sklepu - wydusił Will. Kiedy Gennie podeszła bliżej, cofnął się, potrącając przy tym piramidę konserw. Cała konstrukcja runęła z hukiem. - Przynieść dużą torbę czy małą?



- Wystarczy dwukilogramowa. - Gennie stłumiła śmiech. Trochę biedakowi współczuła.

- Zaraz przyniosę. - Chłopak zniknął między półkami, odprowadzony gniewnym głosem Fairfielda, który pytał, co w niego, u diabła, wstąpiło. Gennie zakryła ręką usta, żeby nie wybuchać głośnym śmiechem.

Grant przypomniał sobie reakcję Macintosha na widok Weroniki i ogarnęła go fala współczucia.

- Biedny dzieciak przez miesiąc będzie chodził nieprzytomny. Czy naprawdę musiałaś się do niego uśmiechać?

- No, wiesz, Grant. Przecież on nie ma więcej niż piętnaście lat.

- Wystarczy, żeby się w kimś zadurzyć.

- To tylko hormony - powiedziała cicho, przeglądając niewielki wybór win. - Trzeba trochę czasu, zanim się uspokoją.

Pochyliła się, a Grant patrzył na to z przyjemnością.

- Niekiedy potrzeba na to i trzydziestu lat - wymamrotał.

Gennie znalazła na dolnej półce krajowe czerwone wino przyzwoitej jakości.

- Zdaje się, że jednak będziemy mieli ucztę.

Will wrócił z torbą węgla i prawie mu się udało nie potknąć o własne nogi.

- Przyniosłem też płyn do rozpalania, na wypadek gdyby... - Urwał, ponieważ język najwyraźniej całkiem mu się zaplątał.

- O, dziękuję. - Gennie postawiła wino na ladzie i sięgnęła po portfel.

- Trzeba być pełnoletnim, żeby kupić wino - zaczął Will i na widok szerokiego uśmiechu Gennie zaczerwienił się jeszcze bardziej. - Znaczy, że pewnie jest pani pełnoletnia, tak?

Gennie nie mogła się oprzeć pokusie i wskazała na Granta.

- On jest pełnoletni.

Will stał bez ruchu i patrzył na nią zachwyconym wzrokiem, dopóki najłagodniej, jak potrafiła, nie spytała go o należność. Oprzytomniał na tyle, że wybił ceny na małej kasie, ale zaraz się pomylił i zaczął od nowa.

- To będzie pięć dolarów i siedem centów. - Wyrwało mu się przeciągłe westchnienie. - Wraz z podatkiem.

Gennie z trudem stłumiła chęć pogłaskani go po policzku. Odliczyła pieniądze i położyła je na jego wilgotnej dłoni.

- Dziękuję, Will.

Palce chłopca zacisnęły się na monetach.

- Dziękuję pani.

Dopiero wtedy po raz pierwszy oderwał wzrok od Gennie. Grant zobaczył w jego oczach tyle podziwu i zazdrości, że sam nie wiedział, czy wyprostować się dumnie, czy przeproszać nieszczęsnego nastolatka. W rzadkim u niego geście serdeczności poklepał go po ramieniu.

- Na widok takiej kobiety można zapomnieć o całym świecie, co? - powiedział cicho, kiedy Gennie doszła do drzwi.

Will głęboko westchnął.

- Oj, tak. - Grant już miał się odwrócić, ale chłopak chwycił go za rękaw. - Zjecie razem kolację i tak dalej?

Grant uniósł brew, ale powstrzymał się przed komentarzem. „I tak dalej” dla różnych osób może znaczyć zupełnie co innego. W jego wyobraźni te słowa wywołały dość prowokujące obrazy.

- W tej chwili sytuacja nie jest jasna - wyszeptał, używając jednego z powiedzeń Macintosha. - To znaczy, tak, mamy zamiar zjeść kolację - dodał, widząc niepewną minę chłopaka. Może będzie też „i tak dalej”, pomyślał, wychodząc.

- O czym rozmawialiście? - zaciekała się Gennie.

- Takie tam męskie sprawy.

- Och, bardzo przepraszam.

Powiedziała to tak wojowniczym i pogardliwym tonem, że musiał się roześmiać. Przyciągnął ją do siebie i pocałował, na oczach wszystkich mieszkańców Windy Point. Jeszcze stali objęci, kiedy od strony sklepu Fairfielda rozległ się głośny huk spadających na ziemię przedmiotów.

- Biedny Will - wymamrotał Grant. - Wiem, co czuje. - W oczach zamigotały mu wesołe ogniki. - Muszę wracać do łodzi, jeśli mamy razem zjeść kolację... i tak dalej.

Gennie spojrzała na niego zdziwiona tym nagłym przyplływem beztroskiego humoru.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Spotkamy się u mnie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zachowywała się jak nastolatka przed randką i bardzo chciało jej się z tego śmiać. Przez całą drogę do domu starała się opanować, ale nie potrafiła.

Przecież to tylko zaimprovizowana naprędce kolacja dwojga dorosłych ludzi, ze stekiem i butelką czerwonego wina niepewnej jakości. Trzeba było wiele wyobraźni, żeby dopatrzeć się romantyzmu w węglu drzewnym, płynie do rozpalania i warzywach na sałatkę. Po raz pierwszy Gennie żałowała, że ma tak bujną wyobraźnię.

To chyba właśnie jej fantazje sprawiły, że tam, na przykościelnym cmentarzyku doznała tyłu burzliwych uczuć. Wystarczyło trochę niespodziewanej czułości i łagodny wietrzyk, a ona już myślała, że ziemia się poruszyła. To głupie.

Postawiła torby na kuchennym blacie i pożałowała, że zapomniała o świecach. W świetle świec nawet w tej schludnej, praktycznej kuchni zapanowałaby romantyczna atmosfera. A gdyby miała radio, mogłaby włączyć jakąś muzykę...

Opanowała się i zirytowana uniosła oczy. Co też jej chodzi po głowie? Nigdy nie traciła czasu na takie konwencjonalne, łatwe do rozszyfrowania zabiegi, no i przecież wcale nie chciała z Grantem romansować. Wychodzi mu naprzeciw, żeby się trochę z nim zaprzyjaźnić, ale tylko zaprzyjaźnić.

Przygotuje dla niego kolację, bo jest mu to winna. Będzie z nim rozmawiała, ponieważ to interesujący człowiek, chociaż trochę szorstki. Na pewno, ale to na pewno nie wyląduje pod koniec wieczoru w jego ramionach.

Zdrowy rozsądek zwalczy pragnienie powtórki z tego, co zaszło przy kościele. Grant Campbell jest nie tylko gburowaty i nieprzyjemny, ale w dodatku zbyt skomplikowany. Gennie uważała, że jej własna osobowość była zbyt złożona, żeby się wiązać z kimś tak trudnym do rozszyfrowania.

Wzięła torbę z węglem drzewnym oraz płyn do rozpalania i poszła do ogródka, żeby przygotować ruszt. Wokół panowała cisza, więc na pewno usłyszy łódź Granta, zanim ją zobaczy.

Pora na przejażdżkę po morzu była doskonała. Cienie się wydłużały, upał stawał się mniej dokuczliwy, a mleczne światło działało kojąco. Słyszała ciche pluskanie wody i brzęczenie owadów w wysokiej trawie porastającej brzeg. Potem dobiegł ją cichy warkot silnika nadpływającej łodzi.

Ogarnęło ją takie zdenerwowanie, że niemal upuściła na ziemię torbę z brykietami. Kiedy już przestała śmiać się w duchu z samej siebie, ułożyła w palenisku stosik węgla. A więc to jest ta światowa kobieta Genvieve Grandeau, pomyślała sobie z ironią. Oto wybitna przedstawicielka świata sztuki i śmietanki towarzyskiej Nowego Orleanu prawie przygniotła sobie palce u stóp torbą węgla, ponieważ jakiś odludek o złych manierach zgodził się zjeść z nią kolację. Co za upadek.

Z uśmiechem zwinęła torbę po węglu i odłożyła ją na bok. Postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. Spokojnie poszła na pomost, żeby poczekać na gościa.

Grant gwałtownie skręcił w zatokę, wzbijając wysoką fontannę wody. Roześmiana Gennie stanęła na palcach i pomachała mu. Z niecierpliwością czekała, kiedy dobije do brzegu. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo nie chciała spędzić tego wieczoru samotnie. Jednocześnie nie pragnęła żadnego innego towarzystwa, z wyjątkiem Granta. Była pewna, że już za chwilę jej wymarzony zrobi lub powie coś, co doprowadzi ją do wściekłości, ale zupełnie się tym nie przejmowała.

Grant zmniejszył prędkość i silnik terkotał teraz cicho. Łódź łagodnie dobiła do pomostu. Kiedy silnik zgasł, znów zapanowała cisza, zakłócana jedynie pluskiem wody i szumem wiatru w trawie.

- Kiedy zabierzesz mnie na przejażdżkę? - zapytała Gennie, kiedy rzucił jej linę.

Wyskoczył lekko na pomost i zręcznie zawiązał cumę.

- A miałem taki zamiar?

- Może nie miałeś, ale teraz już masz. - Wyprostowała się i wygładziła dzinsy. - Myślałam o wynajęciu łodzi wiosłowej, żeby popływać po zatoce, ale wypad na morze byłby ciekawszy.

- Chciałaś wynająć łódź? - Uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie wiosłującą Gennie.

- Wychowałam się nad rzeką - przypomniała mu. - Żeglowanie mam we krwi.

- Czyżby? - Wziął ją za rękę i obejrzał dłoń. Była gładka, miękka i silna. - Nie wygląda na to, żebyś w życiu postawiła wiele żagli.

- Zdarzało mi się to nie raz. - Gennie z rozmysłem splotła palce z jego palcami. - W mojej rodzinie było wielu żeglarzy. A mój prapradziadek był... można powiedzieć, najemnikiem.

- Piratem? - Zaintrygowany Grant chwycił kosmyk jej włosów i okręcił sobie na palcu.

- Zdaje mi się, że darzysz go większą estymą niż książąt i hrabiów, których nie brakuje w twoim drzewie genealogicznym.

- Oczywiście. Prawie każdy znajdzie w rodzinie jakiegoś arystokratę, jeśli dobrze poszuka. A prapradziadek był bardzo dobrym piratem.

- Miał dobre serce?

- Nie, odnosił w swoim fachu sukcesy - wyjaśniła przewrotnym uśmiechem. - Kiedy zbliżał się do sześćdziesiątki, osiadł w Nowym Orleanie. Moja babcia mieszka domu, który on zbudował.

- Za pieniądze zrabowane nieszczęsnym kupcom - dokończył Grant ze śmiechem.

- Na morzu panuje bezprawie. - Gennie wzruszyła ramionami. - Tam się ryzykuje. Czasem się wygrywa, a czasem można stracić głowę. - Teraz i ona się uśmiechała.

- Chyba nie powinno się ciebie wypuszczać na morze - wymamrotał Grant i przyciągnął ją do siebie.

Oparła mu dłoń na piersi, żeby utrzymać równowagę, ale palce same powędrowały w górę. Zobaczyła, że jego kuszące usta zbliżają się do jej ust. Wiedziała, że powinna się oprzeć pokusie, ale wspięła się na palce i wyszła mu naprzeciw.

Dotknął jej lekko, prawie niewyczuwalnie, jakby nie był pewien tego, jak daleko może posunąć się tym razem. Mógł przyciągnąć ją do siebie, sprowokowałaby go do tego jednym głębokim westchnieniem. Oboje jednak utrzymywali mały, ale wyczuwalny dystans, coś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa.

Odsunęli się od siebie jednocześnie i cofnęli o krok.

- Trzeba rozpalić węgle w palenisku - powiedziała Gennie po chwili milczenia.

- Jeszcze cię o to nie pytałem - zaczął Grant, kiedy ruszyli do domu. - Ale czy ty potrafisz przyrządzać jedzenie na ruszcie?

- Drogi panie Campbell - odparła, przeciągając głoski jak południowiec. - Ma pan całkowicie mylne wyobrażenie o kobietach z Południa. Potrafię gotować nawet na gorącym kamieniu.

- I prać koszule w strumieniu.

- Tak samo dobrze jak ty - odparowała. - Może masz nade mną przewagę w dziedzinie mechaniki samochodowej, ale pod każdym innym względem jesteśmy równi.

- Czy to jakaś feministyczna uwaga? Oczy Gennie zwęziły się.

- Czyżbyś miał zamiar powiedzieć coś złośliwego i nieinteligentnego?

- Nie. - Podał jej puszkę z płynem do rozpalania. - To święta prawda, że jako grupa kobiety od wieluset lat musiały wiele znosić, chociaż w indywidualnych przypadkach zdarzały się wyjątki od tej reguły. Niestety nadal wiele drzwi jest przed nimi zamkniętych, co nie

znaczy, że pojedyncze jednostki nie potrafią ich sforsować, i to bez większego wysiłku. Słyszałaś kiedyś o Winniem Winkle?

Zafascynowana tą nagłą zmianą tonu Gennie patrzyła na niego zdumiona.

- Nie, nie słyszałam - przyznała.

- W latach dwudziestych był taki komiks, „Winnie Winkle, ojciec rodziny”. Poruszał kwestię wyzwolenia kobiet na długo przedtem, zanim zajęły się tym sufrażystki. Masz zapalki?

- Tak. - Gennie wsunęła rękę do kieszeni. - Ale przecież to było na długo przed twoim urodzeniem.

- W college'u przez jakiś czas zajmowałem się badaniem komentarzy na temat problemów społecznych w prasie popularnej.

- Naprawdę? - Znów wyczuła, że mówi prawdę, chociaż nie całą. Podpałiła nasączony płynem węgiel i cofnęła się, kiedy buchnęły płomienie. - Gdzie studiowałeś?

- W Georgetown.

- Mają tam doskonały wydział sztuk pięknych - zauważyła Gennie.

- Owszem.

- Studiowałeś sztuki piękne? - dociekała.

Grant patrzył na unoszący się dym i rozedrgane od żaru powietrze.

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ wystarczy jeden rzut oka na tę złośliwą karykaturę twojego autorstwa, żeby stwierdzić, że masz talent i że uczyłeś się rysunku. Czy jakoś to wykorzystujesz?

- Czy co wykorzystuję?

- Swój talent i artystyczne wykształcenie - odparła Gennie, niecierpliwie unosząc brwi. - Gdybyś był malarzem, pewnie bym o tobie słyszała.

- Nie jestem malarzem.

- W takim razie, czym się zajmujesz?

- Tym, na co mam ochotę. Zdaje się, że miałaś zrobić sałatkę.

- Do diabła, Grant...

- No, dobrze, nie złość się. Ja zrobię sałatkę. Odwrócił się i chciał odejść, ale Gennie z cichym pomrukiem chwyciła go za rękaw.

- W ogóle cię nie rozumiem.

- Nie prosiłem cię o to. - Spostrzegł, że jest poirytowana i co ważniejsze, urażona, ale szybko ukryła te uczucia. Dlaczego nagle poczuł, że musi ją przeprosić za to, że jest taki skryty? - Gennie, coś ci powiem. - Z niezwykłą dla niego delikatnością pogładził ją po

policzku. - Nie byłoby mnie tu teraz, gdybym potrafił zrezygnować z twojego towarzystwa. Czy to ci nie wystarczy?

Miała ochotę jednocześnie przytaknąć i zaprzeczyć. Gdyby nie bała się skutków, jakie mogłyby przynieść jej słowa, powiedziała mu, że już dawno straciła dla niego głowę i że ten proces stale się pogłębia. Miłość, czy może jej pierwsze porywy, narastała w niej bardzo szybko. Nie zdradziła mu jednak swoich uczuć, tylko wzięła go za rękę.

- Ja zrobię sałatkę - zdecydowała.

Wszystko toczyło się tak, jak to sobie planowała. W kuchni wymieszali razem świeże warzywa, spierając się przy tym na temat sposobów przyrządzania sałatek. Mięso skwierczało na ruszcie, a oni siedzieli na trawie i cieszyli się promieniami zachodzącego słońca i jednym z ostatnich letnich dni.

Gennie starała się dobrze zapamiętać to wszystko, żeby starczyło na deszczowe dni, wypełnione obowiązkami i stresem. Teraz czuła się jak uczennica na wakacjach, kiedy do końca sierpnia brakowało jeszcze kilku dni, a szkoła wydawała się odległa o całe wieki. Lato zawsze staje się magiczne, kiedy dobiega końca.

To chyba ta magia późnego lata sprawiła, że się zakochała, chociaż wcale nie powinna, rozmyślała Gennie.

- O czym myślisz? - zapytał nagle Grant. Uśmiechnęła się i spojrzała w niebo.

- O tym, że muszę przewrócić stek na drugą stronę. Zanim zdążyła wstać, chwycił ją za ramię i przewrócił na plecy.

- O, nie.

- Lubisz przypalone mięso?

- Wcale nie o tym myślałaś. - Powiódł palcem po jej wargach i chociaż był to niedbały, nic nie znaczący gest, Gennie poczuła jego dotyk każdym nerwem ciała.

- Rozmyślałam o lecie - powiedziała cicho. - O tym, że zawsze się kończy, zanim zdążę się nim nacieszyć.

Podniosła rękę do jego policzka, a on chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

- To, co najlepsze, zawsze kończy się za szybko.

Uśmiechnęła się do niego leniwym uśmiechem, od którego ciarki przechodziły mu po plecach. Wszystkie myśli gdzieś odleciały, zostały tylko pragnienia. Pocałował ją, a jej ciepłe, pełne usta odpowiedziały chętnie na jego pocałunek, a wtedy wszystko wokół przestało się liczyć.

Pragnął dotknąć Gennie, zbadać każdy centymetr szczupłego, lecz nie pozbawionego krągłości ciała, które zjawiało się w jego snach od chwili, kiedy pierwszy raz ją zobaczył.

Wiedział jednak, że jeśli jej dotknie, nigdy już nie zaśnie spokojnie. Jeśli jej smak tak łatwo sprawiał, że zapominał o całym świecie, to co z nim zrobi jej dotyk? Musiał nad tym zapanować.

Podniósł głowę i spojrzał w jej oczy, lekko skośne, półprzymknięte. Jedno jej spojrzenie mogłoby rzucić go na kolana. Odsunął się ostrożnie i pomógł jej wstać.

- Lepiej zdejmijmy ten stek z rusztu, bo za chwilę będzie nam musiała wystarczyć sałatka.

Gennie czuła, że nogi się pod nią uginają. Mogłaby przysiąc, że takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach, a jednak miała wrażenie, że ma kolana miękkie jak z waty. Podeszła do rusztu i przełożyła stek na półmisek.

Jakby zawarli cichą umowę, przy kolacji rozmawiali jedynie o rzeczach błahych. Żadne z nich nie wspomniało o tym, co czuło podczas tego krótkiego, elektryzującego pocałunku.

Oboje myśleli to samo. Przypominali sobie, że nigdy nie pragnęli stałego związku. Upominali się w myślach, że wcale do siebie nie pasują i że to nie pora na takie sprawy. Ciągle jednak powracała do ich umysłów jedna myśl: Dobry Boże, to przecież nie może być miłość.

Gennie upiła łyk wina, a Grant ponuro wpatrzył się w talerz.

- Smakuje ci stek? - zapytała, nie mogąc wymyślić niczego lepszego.

- Co? A, tak. Bardzo dobry. - Grant odepchnął od siebie niepokojące myśli i zaczął jeść z większym zapalem. - Gotujesz prawie tak dobrze, jak malujesz - stwierdził. - Gdzie się tego nauczyłaś?

Gennie uniosła brwi.

- U mamusi.

'< Roześmiał się, słysząc przesadnie południowy akcent. Dolał wina do szklanek z grubego szkła, które Gennie kupiła w miasteczku.

- Wydaje mi się dziwne, że kobieta, która dorosła w domu pełnym służby, potrafi przyrządzić stek na ruszcie. - Uśmiechnął się na wspomnienie Shelby, która zbliżała się do kuchni tylko w ostateczności.

- Przede wszystkim kolacje na świeżym powietrzu zawsze były u nas popularne i zajmowali się nimi członkowie rodziny. A poza tym, kiedy się mieszka samemu, trzeba nauczyć się gotować, bo inaczej jest się skazanym na restauracje.

Nie mógł się oprzeć pokusie, żeby się z nią trochę nie podrażnić.



- Ze zdjęć w prasie wynika, że odwiedziłaś chyba każdą restaurację w cywilizowanym świecie - powiedział, siadając wygodniej ze szklanką wina w dłoni.

Gennie nie dała się sprowokować. Usiadła w takiej samej pozycji i spojrzała na niego ponad krawędzią szklaneczki.

- Czy po to prenumerujesz tyle gazet, żeby śledzić prawdziwe życie, podczas gdy sam kryjesz się w swojej samotni?

Grant zastanawiał się chwilę.

- Owszem - przytaknął. Sam chyba nie ująłby tego lepiej.

- Czy to nie jest trochę aroganckie podejście do ludzi? Znowu się zastanowił, wpatrzony w czerwony trunek.

- Owszem - stwierdził w końcu. Gennie musiała się roześmiać.

- Grant, ty chyba nie lubisz ludzi.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Ależ lubię. I jako całość, i niektóre pojedyncze egzemplarze. Po prostu wolałbym nie być oblegany przez tłumy.

Gennie wstawiła talerze do zlewu. Nie mogła go zrozumieć.

- Nie odczuwasz czasem potrzeby przebywania w towarzystwie? Nie tęsknisz za gwarem rozmów?

Zanim skończył siedemnaście lat, niemal stale przebywał w towarzystwie i wsłuchiwał się w gwar rozmów. Ale teraz wcale za tym nie tęsknił. No, może nie całkiem. Czasem potrzebował ludzi, z ich wadami i kompleksami. Byli mu niezbędni do pracy, ale dawali też mu siłę, by znowu żył w samotności. Przypomniawszy sobie tydzień spędzony u MacGregorów. Bardzo mu się przysłużył, chociaż uświadomił to sobie dopiero, kiedy wrócił do siebie.

- Od czasu do czasu tęsknię za ludźmi - przyznał cicho. Odruchowo zaczął sprzątać ze stołu, a Gennie odkręciła ciepłą wodę. - Nie będzie deseru?

Zerknęła przez ramię i stwierdziła, że Grant pyta całkiem serio. Pochłaniał jedzenie z wielkim apetytem, a mimo to nie miał na sobie grama zbędnego tłuszczu. Zawdzięczał to szybkiej przemianie materii czy stresom?

Gennie potrząsnęła głową. Dlaczego nieustannie stara się go zrozumieć i rozszyfrować?

- W lodówce znajdziesz dwie porcje lodów - powiedziała.

Grant uśmiechnął się uszczęśliwiony.

- Chcesz jednego? - zapytał, zrywając cienkie opakowanie z lodu na patyku.

- Nie. Jesz, bo masz ochotę na coś słodkiego, czy dlatego, że chcesz się wykręcić od wycierania talerzy? - Położyła umyty talerz na suszarce.

- I jedno, i drugie.

Oparł się o blat i nadgryzł loda.

- Kiedy byłem mały, mogłem zjeść ich całe pudło.

- A teraz? - Sięgnęła po następny talerz.

- Masz tylko dwa. - Grant odgryzł większy kęs.

- Dobrze wychowany człowiek podzieliłby się swoją porcją.

- Może.

Śmiejąc się, prysnęła mu wodą w twarz.

- Bądź dobrym kumplem, podziel się.

Wyciągnął loda, zatrzymując go o centymetr od jej warg. Gennie miała ręce po łokcie zanurzone w pianie, więc tylko otworzyła usta. W tej samej chwili Grant cofnął dłoń.

- Tylko nie za dużo - ostrzegł.

Spojrzała na niego z urazą, pochyliła się głębiej i delikatnie oderwała zębami kawałek czekolady. Potem, patrząc mu prosto w oczy, odgryzła wielki kęs.

- Nieładnie! - skarcił ją Grant, spoglądając z rozczarowaniem na resztkę loda na patyku.

- Weź sobie drugiego - zachęciła go ze śmiechem Gennie, przełykając resztę rozpuszczającej się masy. Osuszyła ręce. - Tracę siłę woli, kiedy ktoś podsuwa mi pod nos czekoladę.

Grant z rozmysłem przesunął językiem po czekoladowej powłóce.

- Masz jeszcze jakieś słabości?

Czuła, że ogarnia ją ciepło. Podeszła do drzwi na werandę.

- Kilka - przyznała. Westchnęła, słysząc zapowiadające zmierzch popiskiwanie jaskółek. - Dnie stają się coraz krótsze.

Chylące się ku zachodowi słońce otaczały białe chmury w różowozłotyach obwódkach. Dym z paleniska wznosił się ku niebu coraz cieńszymi smugami. Na rosnącym nie opodał krzewie liście nabierały rudawej barwy, zwiastując nadejście jesieni.

Kiedy Grant oparł ręce na jej ramionach, bezwiednie oparła się o niego. W ciszy obserwowali zapadanie zmierzchu.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz oglądał zachód słońca w czyimś towarzystwie i czy kiedykolwiek miał na to ochotę. Czy teraz już zawsze będzie myślał o Gennie, widząc zapadający zmierzch?

- Opowiedz mi o swoich najpiękniejszych wakacjach - poprosił nagle.

Przypomniała sobie lato spędzone z ojcem na południu Francji i inne, na jachcie ojca na Morzu Egejskim. Uśmiechnęła się ciepło.

- Kiedyś spędziłam dwa tygodnie u babci, kiedy moi rodzice pojechali do Wenecji na drugi miesiąc miodowy. To były długie, leniwe dni, pełne brzęczenia pszczół, krążących wśród kwiatów. Pod oknem mojej sypialni rósł wielki, stary dąb, cały obrośnięty mchem. Czasami nocą wychodziłam przez okno, siadałam na konarze i patrzyłam na gwiazdy. Miałam wtedy chyba dwanaście lat. W stajni pracował pewien chłopak... - Nagle roześmiała się, opierając się wygodniej o pierś Granta. - Wiesz, był trochę podobny do Willa, chudy i kanciasty.

- Szalałaś na jego punkcie, tak?

- Spędzałam długie godziny na czyszczeniu boksów i doglądaniu koni, żeby go chociaż zobaczyć. Pisałam o nim w pamiętniku, a nawet stworzyłam jeden bardzo ckliwy wiersz.

- I trzymałaś go pod poduszką.

- Najwyraźniej wiesz co nieco o nastolatkach. Pomyślał o Shelby i z uśmiechem oparł brodę na czubku głowy Gennie. Jej włosy pachniały polnymi kwiatami.

- Ile czasu ci zabrało nakłonienie go, żeby cię pocałował?

Roześmiała się głośno.

- Dziesięć dni. Wydawało mi się, że odkryłam wszystkie tajemnice Wszechświata. Stałam się kobietą.

- Nikt nie ma większej wiedzy o tajemnicach Wszechświata i kobiecości niż dwunastolatka.

- O, widzę, że jesteś wręcz specjalistą od dwunastolatek - stwierdziła. - Któregoś popołudnia przyłapałam Angelę na czytaniu mojego pamiętnika. Goniłam ją potem po całym domu. Miała wtedy... - Gennie zeszywniała, czując jak ogarnia ją fala bezbrzeżnego smutku. Zanim Grant zdołał objąć ją mocniej, odsunęła się od niego. - Miała wtedy dziesięć lat - dokończyła szeptem. - Postraszyłam ją, że ogolę jej głowę, jeśli piśnie komuś choć słówko o tym, co przeczytała w moim pamiętniku.

- Gennie...

Potrząsnęła głową, strząsając dłoń gładzącą ją po włosach.

- Zaraz będzie ciemno. Słysząc już świerszcze. Powinieneś wracać do siebie.

Nie mógł znieść smutku w jej głosie. Łatwiej by było zostawić ją teraz samą, wycofać się. Zawsze mu się zdawało, że nie potrafi nikogo pocieszyć. Delikatnie masował jej ramiona.

- Mam światło na łodzi. Usiądźmy. - Nie zwracając uwagi na jej opór, usadził ją na bujanej ławeczce na werandzie. - Moja babcia też taką miała - powiedział lekkim tonem. Otoczył Gennie ramieniem i wprawił ławeczkę w rytmiczny ruch. - Miała niewielki domek na wybrzeżu w stanie Maryland. To spokojna okolica, tak płaska, jakby narysowana z pomocą linijki. Byłaś kiedyś w Chesapeake?

- Nie. - Gennie rozluźniła się i zamknęła oczy. Łagodne kołysanie uspokajało, głos Granta działał kojąco. Nie wiedziała, że potrafi mówić tak cicho i delikatnie.

- Do jej domu dopływaliśmy promem - ciągnął. Już czuł, jak rozluźniają się napięte mięśnie na ramionach Gennie. - Niewiele różnił się od tego domu, tylko był piętrowy. Wystarczyło przejść przez drogę i już można było łowić ryby. Raz złapałem pstrąga na kawałek żółtego sera.

Grant mówił dalej, trochę chaotycznie, wspominając zdarzenia niemal zapomniane, o których nigdy przedtem głośno nie opowiadał. Ściemniało się powoli, a on wspominał drobne, ulotne wydarzenia. Wydawało się, że Gennie w tej chwili właśnie tego potrzebuje. Chyba tylko to mógł jej dać.

Ławeczka kołysała się miarowo, głowa Gennie spoczywała na jego ramieniu, a on zastanawiał się, dlaczego dotychczas nigdy nie zauważył, że zmierzch może być tak piękny i spokojny, zwłaszcza jeśli się go obserwuje w czyimś towarzystwie.

Gennie westchnęła cicho, wsłuchując się bardziej w melodię jego głosu niż w wypowiedane słowa. Wokół rozlegało się granie świerszczy, coraz odleglejsze i cichsze. Jej głowa robiła się coraz cięższa. Mglisto przypomniała sobie zasłyszane gdzieś zdanie, że sny to często nic więcej, jak tylko przeżywane na nowo wspomnienia.

- Och, Gennie! Szkoda, że cię tam nie było! Promienna, pełna życia Angela roześmiała się głośno, gdy tymczasem Gennie przeciskała się samochodem przez zatłoczone ulice centrum Nowego Orleanu. Jezdnia była mokra od zimnego, lutowego deszczu, ale nic nie było w stanie popsuć radosnego nastroju jej siostry.

- Ja też żałuję, że musiałam marznąć w Nowym Jorku - odparła Gennie.

- Na pewno nie marzłaś w świetle reflektorów. - Angela przysunęła się do niej.

- Założysz się?

- Wiem, że nie opuściłabyś tej wystawy nawet dla tuzina przyjęć.

To prawda, pomyślała z uśmiechem Gennie.

- Opowiedz mi o tym przyjęciu - poprosiła Angelę.

- Dawno się tak dobrze nie bawiłam! Przyszło tyle ludzi, że nie można było zrobić kroku, żeby na kogoś nie wpaść. Kiedy następnym razem kuzyn Frank wyda przyjęcie w swoim domu na łodzi, będziesz musiała przyjść.

Gennie posłała jej szybki uśmiech.

- Wygląda na to, że nikt nie zauważył mojej nieobecności.

Angela roześmiała się radosnym, zaraźliwym śmiechem.

- Co chwila musiałam odpowiadać na pytania o moją słynną, utalentowaną siostrę. Miałam już tego dość.

Gennie prychnęła z niedowierzaniem, zatrzymując się na czerwonym świetle. Widziała zamglony, czerwonawy krąg przez zalewaną deszczem szybę, po której szybko przesuwają się wycieraczki.

- Pewnie chodziło tylko o to, żeby cię zagadnąć i nawiązać rozmowę.

- Wiesz, poznałam tam kogoś... - Angela urwała, a Gennie spojrzała na nią zaintrygowana. Jaka ona piękna, pomyślała z zachwytem. Cała jakby kremowo - złota, o bystrych, wesołych oczach.

- Kogo?

- Och, Gennie. - Dostała wypieków z przejęcia. - On jest niesamowity. Kiedy się do mnie odezwał, nie mogłam z siebie wydusić ani jednego zrozumiałego zdania.

- Ty?

- Ja. - Znow się roześmiała. - W głowie czułam wyłącznie pustkę. A teraz... Spotykamy się od tygodnia. Wydaje mi się, że to wreszcie jest to.

- Po tygodniu znajomości? - z powątpiewaniem spytała Gennie.

- Wiedziałam to już po pięciu sekundach. Och, Gennie, nie bądź taka rozsądna. Zakochałam się. Musisz go poznać.

Czekając na zmianę światła, Gennie wrzuciła pierwszy bieg.

- Będę go mogła obiektywnie ocenić?

Zabłyśło zielone światło. Angela potrząsnęła grzywą złotych włosów i roześmiała się.

- Wiesz, czuję się tak wspaniale, Gennie. Jestem taka szczęśliwa!

Śmiech siostry był ostatnią rzeczą, jaką Gennie usłyszała, zanim rozległ się pisk hamulców. Jakiś samochód wyjechał z ogromną szybkością z poprzecznej ulicy. W jej snach zwykle nadjeżdżał przerażająco wolno, sekunda po sekundzie, coraz bliżej. Woda rozpryskiwała się spod kół i zawisała w powietrzu.

A potem słyszała tylko zgrzyt metalu i huk eksplozji. Czuła przerażenie i ból. Zapadła ciemność.

- Nie! - Podskoczyła gwałtownie, zeszywniała ze strachu. Otaczały ją mocne ramiona, przytulały, dawały poczucie bezpieczeństwa. Świerszcze? Skąd się wzięły świerszcze?

Z trudem chwytając oddech, patrzyła na spowitą mrokiem zatokę, a Grant szeptał jej do ucha jakiejś kojące słowa.

- Przepraszam. - Odepchnęła go, wstała i nerwowo przeczesła palcami włosy. - Musiałam się zdrzemnąć. Nieciekawe ze mnie towarzystwo - mówiła drżącym głosem.

- Szkoda, że mnie nie obudziłeś, bo...

- Gennie. - Wstał i chwycił ją za ramiona. - Przestań. Przez chwilę mrugała bezradnie, a potem wybuchła płaczem.

- Nie płacz - pocieszył ją nieporadnie. Przywarła do niego całym ciałem, a on gładził jej włosy. - Już wszystko w porządku.

- O, Boże. Nie zdarzyło mi się to od wielu tygodni.

- Ukryła twarz na jego piersi. Znów ogarnęła ją rozpacz, tak wielka, jak dawniej. - W pierwszych dniach po wypadku, kiedy tylko zamykałam oczy, wracało do mnie jego wspomnienie, wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami.

- Chodź, usiądziemy. - Pocałował ją w czubek głowy.

- Nie, nie mogę. Muszę trochę pospacerować. - Jeszcze przez chwilę mocno go obejmowała, jakby zbierała siły. - Możemy się przejść?

- Jasne.

Otworzył drzwi werandy. Otoczył ją ramieniem, zeszli nad zatokę i bez celu szli przed siebie. Milczeli. Grant wiedział jednak, że powinien jej wysłuchać, a ona powinna mówić, żeby zrzucić z siebie ciężar.

- Gennie, mów do mnie - poprosił.

- Przypomniałam sobie wypadek - powiedziała wolno, spokojniejszym głosem. - Czasami w moim śnie udaje mi się w porę skręcić, uniknąć zderzenia i wszystko kończy się zupełnie inaczej. Potem się budzę i wszystko jest tak samo.

- To naturalna reakcja - zapewnił ją, chociaż na myśl o takich koszmarach przebiegł go zimny dreszcz. Przecież i on swoje przeżył. - Po jakimś czasie to przejdzie.

- Wiem. Te sny wracają do mnie coraz rzadziej. - Odetchnęła głęboko, powoli odzyskując równowagę. - Kiedy jednak to mi się śni, wszystko widzę tak wyraźnie. Wszystko. Krople deszczu na szybie, zanim zetną je wycieraczki, kałuże przy krawężnikach. Słyszę głos Angeli, wesoły, energiczny. Ona była taka piękna. Nie chodzi mi tylko o urodę, ale o całą jej osobę. Zachowała słodycz małej dziewczynki. Opowiadała mi o przyjęciu, na którym

kogoś poznała. Zakochała się, rozsadzała ją radość. Ostatnie, co powiedziała, to że jest szczęśliwa. Potem ją zabiłam.

Grant chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Co ty za bzdury wygadujesz?

- To moja wina - odparła z kamiennym spokojem. - Gdybym w porę dostrzegła ten samochód... Wystarczyłoby tylko kilka sekund. Tamten samochód wpadł na nas od strony, gdzie siedziała Angela. Ja miałam tylko lekki wstrząs mózgu, kilka sińców, a ona...

- Lepiej byś się czuła, gdybyś została poważnie ranna? - zapytał szorstko. - Możesz oplakiwać stratę siostry, ale nie możesz się winić.

- To ja prowadziłam. Jak mogłabym o tym zapomnieć?

- Nie musisz o tym zapominać - odparł ostro. Ból w jej głosie poruszał go do żywego.

- Ale spójrz na to z odpowiedniej perspektywy. Przecież wiesz, że nic nie mogłaś zrobić.

- Nie rozumiesz. - Łzy znów napłynęły jej do oczu, chociaż myślała, że nie będzie już płakać. - Tak bardzo ją kochałam. Była częścią mnie, częścią, której bardzo potrzebowałam. Kiedy odchodzi ktoś tak ważny, to jest tak, jakby się utraciło kawałek samego siebie.

Rozumiał to wszystko doskonale. Znał ten ból i potrzebę przypisania komuś winy. Gennie winiła za śmierć siostry siebie. On winił ojca za wystawianie się na niebezpieczeństwo. Strata pozostawała taka sama.

- Musisz nauczyć się bez niej żyć.

- Skąd możesz wiedzieć, co się wtedy czuje? - zaproponowała.

- Mój ojciec został zabity, kiedy miałem siedemnaście lat - powiedział, chociaż wolałby do tego nie wracać. - Bardzo go wtedy potrzebowałam.

Głowa Gennie opadła na jego pierś. Nie okazała mu współczucia, wiedząc, że go nie potrzebuje.

- I co zrobiłeś?

- Przez długi czas czułem tylko nienawiść. To było łatwe. - Nawet nie zauważył, kiedy znów ją objął. - Znacznie trudniej przyszło mi zaakceptować rzeczywistość.

- Jak sobie poradziłeś?

- Zdałem sobie sprawę, że nic nie mogłem poradzić na to, co się stało. - Nieznacznie odsunął ją od siebie i uniósł jej głowę. - Tak samo jak ty nie mogłaś nic poradzić.

- Łatwiej jest chyba mówić sobie, że można było coś zrobić, niż przyznać się do bezsilności, prawda?

W ten sposób nigdy jeszcze o tym nie pomyślał. Może nie chciał.

- Chyba tak.

- Dziękuję. Wiem, że wcale nie chciałeś opowiadać mi o swoich przeżyciach, tak samo jak ja nie chciałam mówić o swoich. Rozpacz i poczucie winy często sprawia, że skupiamy się wyłącznie na sobie.

Odsunął jej włosy z czoła i ucałował policzki, jeszcze mokre od łez. Poczłł taki przyływ czułości, że aż nim to wstrząsnęło. Jej bezbronność czyniła bezbronnym i jego. Gdyby ją teraz pocałował, zdobyłaby nad nim całkowitą władzę. Odsunął się od niej, chociaż kosztowało go to wiele wysiłku.

- Muszę już wracać - oznajmił, celowo wkładając ręce do kieszeni. - Dasz sobie radę sama?

- Tak, ale... wolałabym, żebyś został. - Te słowa wyrwały jej się, zanim zdążyła je przemyśleć. Ale wcale nie zamierzała ich cofać. W oczach Granta pojawił się jakiś błysk. Dostrzegła go nawet w mroku. Było w nim pożądanie, tęsknota i coś jeszcze, co szybko zostało stłumione.

- Nie dzisiaj.

Powiedział to tak surowym tonem, że aż uniosła brwi ze zdziwienia.

- Grant... - zaczęła, wyciągając ku niemu rękę.

- Nie dzisiaj - powtórzył i powstrzymał jej dłoń. Gennie schowała ją za siebie, jakby wymierzył jej klapsa.

- Dobrze. - Duma nie pozwoliła jej okazać urazy. - Dziękuję za miłe towarzystwo. - Odwróciła się i ruszyła ku domowi.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby chciał ją zatrzymać.

- Gennie...

- Dobranoc, Grant. - Siatkowe drzwi werandy zamknęły się za nią cicho.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gennie spojrzała z wściekłością na nadciągające z północy chmury i cicho zakłęła pod nosem. Nie może stracić takiej okazji. Musi wykorzystać to światło, zanim się zmieni.

Czuła, że rozsadza ją energia. Każdy artysta zna to uczucie i wie, że wtedy nadchodzi chwila, żeby tworzyć. Wszystko jej mówiło, że tego ranka na płótnie powstanie coś niezwykłego i trwałego. Musi tylko dać upust ogarniającej ją twórczej sile. Żeby tak się jednak stało, musiała jednak wygrać z nadciągającą burzą.

Wiedziała, że zostało jej mniej więcej półgodziny, zanim chmury zepsują światło, a najwyżej godzina, zanim deszcz uniemożliwi dalszą pracę. Odległy grzmot zagłuszył szum fal. Wyzywająco spojrzała w niebo. A właśnie, że wygra z żywiołem!

Dreszcz przejścia przebiegł jej po plecach. Może właśnie to jej było potrzebne. Może i w niej zbierało się na burzę.

Od wczoraj miały ją zmienne nastroje. Kiedy Grant odmówił jej prośbie, poczuła złowróżbny spokój. Teraz szalały w niej emocje, wściekłość, namiętność, duma i cierpienie. Gennie potrafiła przelać je na płótno i zmienić je w dzieło sztuki, uwolnić je, żeby dłużej nie zżerały jej duszy.

Czy potrzebowała Granta? Nie, odpowiedziała sama sobie nieco zbyt szybko. Nie potrzebowała ani jego, ani nikogo innego. Powtarzała to sobie, wodząc pędzlem po płótnie. Malowanie wystarczało, żeby wypełnić jej życie.

Grant wyszedł z domu, ogarnięty jakimś dziwnym niepokojem. Był zbyt niespokojny, żeby pracować, i zbyt napięty, żeby odpoczywać. Od samego rana coś go nękało, nakłaniało do działania. Powtarzał sobie, że to tylko nadciągająca burza i brak snu. Ale wiedział, że to tylko część prawdy. Coś się szykowało, coś nadciągało, i to coś więcej niż tylko skłębione, burzowe chmury na horyzoncie.

Czuł, że spotka Gennie, chociaż wmawiał sobie, że całkowicie wyrzucił ją ze swojej świadomości. Kiedy jednak naprawdę ją zobaczył, drgnął zaskoczony.

Nigdy jej takiej nie widział, ale przeczuwał, że istnieje i taka Gennie. Stała z uniesioną głową, całkowicie pochłonięta malowaniem, a z jej oczu biła niezwykła moc. Emanowała z niej jakaś dzikość, którą podkreślały rozwiane na wietrze włosy i trzepoczący malarski fartuch. Pewnymi, celowymi ruchami prowadziła pędzel po płótnie. Przypominała królową, spoglądającą na swoje królestwo, albo przepelnioną namiętnością kobietę, czekającą na kochanka. Na tę myśl krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Granta.

Gdzie się podziała kobieta, która wczoraj szlochała w jego ramionach? Gdzie znikła jej kruchość i bezbronność, która tak go wystraszyła? Pocieszył ją, jak potrafił, chociaż nie bardzo wiedział, jak uspokajać zapłakane kobiety. Opowiadał jej zdarzenia, o których od piętnastu lat nie mówił głośno. Pomogło to jej i, o dziwo, także jemu. Potem zostawił ją samą, ponieważ czuł, że dłużej nie zdołałby walczyć z ogarniającym go pragnieniem.

Teraz wyglądała tak wspaniale, jakby nic nie mogło jej złamać. Takiej kobiecie nie oprze się żaden mężczyzna, taka kobieta może jednym skinieniem dłoni wybierać i odrzucać kochanków. Znowu wróciło wielkie, wszechogarniające pożądanie, ale tym razem chciał odpowiedzieć na to wyzwanie.

Rozległ się grzmot. Gennie znieruchomiała i spojrzała na niego w dziwnym uniesieniu. Usłyszał, że roześmiała się krótko, zaczepnie i poczuł, że ogarniająca go fala podniecenia przybiera na sile. Jeszcze chwila i nic już jej nie zatrzyma.

Napięcie, które zmuszało Gennie do pracy, nadal trwało. Spojrzała na obraz i stwierdziła triumfalnie, że jest już gotowy. A jednak... coś jeszcze zostało. Namiętność nie przygasła, nadal w niej szalała, jakby czekała na coś więcej.

Wtedy zobaczyła Granta. Za nim huczało morze i kłębiły się burzowe chmury. Wiał coraz silniejszy wiatr. Jej krew również krążyła coraz szybciej. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Potem, jakby nie zauważyła jego obecności, znów spojrzała na płótno. Powiedziała sobie w duchu, że tylko jej sztuka ma na nią wpływ, tylko tego potrzebuje i tylko to się liczy.

Grant patrzył, jak składa pędzle i farby. Zignorowała go, odwróciła się do niego plecami. Było w tym coś królewskiego i wyzywającego. Jednak i jego, i ją przeszedł znaczący dreszcz, kiedy spojrzeli sobie w oczy. Kiedy rozległ się kolejny grzmot, Grant ruszył ku Gennie.

- Genvieve - mruknął. Nazwał ją pełnym imieniem, bo nie przypominała Gennie, jaką spotkał na przykościelnym cmentarzyku, roześmianej, młodzieńczej. Nie było w niej nic z Gennie, która przytulała się do niego, szlochając boleśnie. Kobieta, którą teraz widział przed sobą, potrafiła się śmiać niskim, kuszącym śmiechem i nie uroniłaby ani jednej łzy. Kimkolwiek była, Grant nie potrafił się oprzeć jej uwodzicielskiej sile.

- Grant. - Zamknęła wieko pudła z farbami. - Wcześniej dzisiaj wyszedłeś.

- Widzę, że skończyłaś.

- Tak. - Włosy tańczyły mu dziko na wietrze, twarz miał skupioną, oczy pociemniałe i niespokojne. Wiedziała, że miotające nią emocje są lustrzanym wręcz odbiciem jego emocji. - Skończyłam.

- Teraz pewnie odejdziesz. - Zauważył jej triumfalną minę i niebezpieczny, nieprzewidywalny błysk w zielonych oczach.

- Stąd? - Jej spojrzenie powędrowało ku morzu. Fale wznosiły się coraz wyżej i żadna łódź nie śmiała wypłynąć na połów. - Tak. Są inne rzeczy, które chciałabym namalować.

Przecież właśnie na to czekał. Od samego początku chciał się jej pozbyć. Teraz jednak nic nie powiedział.

- Odzyskasz swoją samotność. - Uśmiechnęła się lekko i kpiąco. - To jest dla ciebie najważniejsze, prawda? A ja już mam to, co chciałam sobie stąd wziąć.

Czuł narastający gniew, chociaż nie do końca rozumiał jego przyczynę.

- Doprawdy? - zapytał.

- Zobacz sam. - Zachęciła go gestem dłoni.

Nie chciał oglądać obrazu, celowo odwracał od niego wzrok. Teraz jej oczy rzucały mu wyzwanie, a ruch dłoni był zbyt władczy, żeby mu się oprzeć. Wsunął kciuki w kieszenie i spojrzał na płótno.

Zobaczył tam swoje własne pragnienia i uczucia. Siłę bezmiaru wód, nieskończoną przestrzeń, nieokiełznane żywioły. Żeby to wszystko wyrazić, Gennie zrezygnowała z przytłumionych barw. Zapomniała o delikatnych liniach. To, co kiedyś było białym płótnem, teraz pulsowało barwami.

Obraz poruszył go, zaniepokoił i przyzywał do siebie, tak samo jak jego autorka.

Gennie patrzyła na stojącego w ponurym milczeniu Granta i czuła, jak zbiera się w niej napięcie. Wiedziała, że ten obraz jest wszystkim, co kiedykolwiek chciała wyrazić, być może największym osiągnięciem w jej dotychczasowym dorobku. Ale malowała go, starając się odzwierciedlić na nim świat Granta, jego siłę, tajemnice, uczucia. Ten obraz właściwie należał do niego.

Grant cofnął się o krok i spojrzał w morze. Gdzieś za ołowianymi chmurami zajaśniała kolejna błyskawica. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów, chociaż zwykle nie miał z tym kłopotu. Mógł myśleć tylko o Gennie i o pożądanym, które sprawiało mu niemal fizyczny ból.

- Jest całkiem dobry - wydusił wreszcie.

Nie zraniłby jej bardziej, gdyby ją uderzył. Szum wiatru zagłuszył jej cichy jęk. Przez chwilę patrzyła na plecy Granta, a ból przeszywał jej duszę. Znów ją odrzucił... Dlaczego znów pozwoliła mu się odrzucić?

W przeciągu kilku sekund ból zmienił się w gniew. Nie potrzebowała pochwał Granta ani jego zrozumienia. Wszystko, czego potrzebowała, mogła znaleźć w samej sobie.

Rozwścieczona schowała obraz do teczki i złożyła sztalugi. Zebrała rzeczy i zwróciła się do Granta.

- Zanim odejdę, coś ci powiem. - Jej głos brzmiał chłodno i spokojnie. - Nieczęsto się zdarza, żeby pierwsze wrażenie okazało się takie trafne. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że jesteś gburowaty, arogancki i nie masz żadnych pozytywnych cech. - Rozwiane kosmyki włosów opadły jej na oczy. Odrzuciła je gwałtownym ruchem głowy, żeby znowu móc patrzeć na Granta z lodowatą wyższością. - Z satysfakcją stwierdzam, że wcale się nie myliłam... I powiem ci jeszcze, że cię nie znoszę.

- Z uniesioną dumnie głową pomaszerowała do samochodu.

Otworzyła bagażnik i włożyła do środka wszystkie przybory wraz z obrazem. Nie próbowała tłumić wściekłości. Kiedy poczuła na ramieniu dłoń Granta, z hukiem zatrzęsnęła klapę i odwróciła się, gotowa do walki. Zaślepiona własnym gniewem nie dostrzegła błysku w jego oczach, nie usłyszała urywanego oddechu.

- Myślisz, że tak po prostu pozwolę ci odejść? - zapytał.

- Wydaje ci się, że możesz tak wtargnąć w moje życie, wziąć sobie, co zechcesz, i nic mi nie zostawić?

Piers jej falowała, oczy lśniły. Ze starannie wypracowaną pogardą spojrzała na jego dłoń, zaciśniętą na jej ramieniu.

- Puść mnie natychmiast - nakazała, wymawiając słowa wolno, z naciskiem.

Błyskawica przecięła niebo, a oni patrzyli na siebie z zimnym gniewem. Ogłuszający huk grzmotu zagłuszył przekleństwo Granta.

- Powinnaś sobie wziąć do serca moją radę i wrócić do swoich książąt i hrabiów - wycedził i nagle pociągnął ją za sobą, zmagając się nie tylko z jej oporem, ale i z szalejącym wiatrem, który zerwał się niespodziewanie. Pierwsze krople deszczu spadły na ziemię.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- To, co powinienem zrobić już pierwszego wieczoru.

Czyżby chciał ją zamordować? Gennie spojrzała na strome skały i rozszalałe morze poniżej. Minę miał taką, jakby był gotów na wszystko. Gennie wiedziała jednak, co oznacza ta gwałtowność, dokąd ich oboje doprowadzi. Walczyła z nim jak dzika kotka, a on ciągnął ją ku latarni.

- Zwariowałeś? Puść mnie!

- Chyba rzeczywiście zwariowałem - zgodził się ponuro.

- Powiedziałam, że masz mnie puścić! Zatrzymał się i odwrócił do Gennie.

- Już na to za późno - krzyknął. - Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Od początku było na to za późno. - Ciepły, gwałtowny deszcz spadł na ich głowy.

- Nie dam ci się siłą zaciągnąć do łóżka, słyszysz! - Trzęsąc się z wściekłości i przejęcia, chwyciła go za mokrą koszulę. - Nigdzie się nie dam zaciągnąć. Myślisz, że możesz sobie mnie wziąć, bo ci się nagle zachciało kochanki?

Oddychał chrypliwie i urywanie. Deszcz zalewał mu twarz. Ubranie Gennie było całkiem przemoczone.

- Wcale nie chcę jakiejś tam kochanki. - Przyciągnął ją mocno do siebie. - Chcę ciebie. Dobrze wiesz, że pragnę tylko ciebie.

Ich twarze znalazły się blisko siebie, patrzyli sobie prosto w oczy. Zapomnieli o burzy, bo w nich samych szalały o wiele gwałtowniejsze emocje. Serce łomotało przy sercu.

Oba pragnienia zlewały się w jedno. Przepelniona jednocześnie strachem i triumfem Gennie uniosła głowę.

- Pokaż mi, jak mnie pragniesz.

- Pokażę ci to tutaj i teraz - odrzekł, przyciągając ją jeszcze mocniej.

Z pasją przywarł do jej ust, a ona odpowiedziała mu żywiołowo. Pozwolili, by porwała ich namiętność. Grant niecierpliwie wodził ustami po jej twarzy. Kiedy poczuła na szyi jego zęby, jęknęła i pociągnęła go za sobą na ziemię.

Zapomniał o całym świecie, badając każdą linię i krągłość ciała Gennie. Serce biło jej jak szalone. Miał wrażenie, że z jej ciała bucha żar. Nie wiedział, że żywa istota może mieć w sobie tyle ognia.

Nie słyszał szalejącej wokół burzy. Liczyła się tylko Gennie, jej usta, łąpczywie spijające pocałunki, i przedwieczne pożądanie, które targalo jego ciałem. Gennie zaczarowała go już w pierwszej chwili ich znajomości, a teraz wreszcie poddał się jej czarom.

Przetaczali się po mokrej trawie, aż Gennie znalazła się na nim, gorączkowo zerwała z niego koszulę i odrzuciła na bok. Z głębokim, niskim jękiem przesunęła rękami po jego nagim ciele. Grant poczuł, jak opuszczają go resztki samokontroli i rozsądku.

Szorstko pchnął Gennie na plecy, aż zabrakło jej tchu. Zerwał z niej bluzkę, chcąc jak najszybciej dotknąć jej ciała, którego odmawiał sobie od tylu dni. Niecierpliwie wodził dłońmi po jej mokrej skórze. Wygięła się w łuk, a on ukrył usta w jej piersiach.

Gorączkowo, nieopanowanie ściągał jej z bioder przemoczone dzinsy, które przywierały do jej gładkich nóg i krągłych pośladków. Każdy odsłonięty kawałek skóry badał ustami, aż Gennie konwulsyjnie wyginała się i jęczała. Przesunął zębami po biodrze, w dół uda, aż do wewnętrznej strony kolana. W końcu odrzucił mokre spodnie na bok.

Kierowany ślepych pożądaniem wsunął język do wnętrza Gennie i usłyszał jej krzyk, wzbijający się ponad zawodzenie wiatru. Zalała go fala gorąca. Nie czuł deszczu padającego mu na ramiona, ściekającego po włosach na ciało Gennie. Nawet ulewa nie była w stanie ostudzić żaru ich ciał.

Potem oboje musieli się zmagać z jego dżinsami, nie przerywając przy tym pocałunku. Nie wiedział, czy Gennie szepcze jego imię, czy to jakieś nowe zaklęcie, które miało go zauroczyć. Nie dbał o to ani trochę. Chciał, żeby go zaczarowała.

Błyskawica oświetliła jej twarz, przymknięte w zapamiętaniu oczy, szlachetnie zarysowane policzki i pełne usta, rozwarte i drżące. Przyciskając wargi do jej szyi, na której czuł bijący szybko puls, Grant wszedł w nią jednym gwałtownym ruchem, w którym zawarł całe swoje uwielbienie. Kiedy zeszywniała i głośno krzyknęła, na chwilę wróciła mu przytomność. Jednak już po chwili oplótła go ciasnym uściskiem, wciągając w miękka, jedwabista głębie.

Bez tchu, oszołomiony, leżał potem z twarzą ukrytą w jej włosach.. Czuł pod sobą bicie serca Gennie i drżenie jej ciała. Zamknął oczy, usiłując zebrać siły i odzyskać jasność umysłu. Deszcz nadal padał, ale już mniej ulewnie. Burza przeminęła.

- O, Boże - westchnął ochryple. Nie zdobył się na przeprosiny, uznał, że byłyby teraz zupełnie nie na miejscu. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał cicho, kładąc się obok niej na mokrej trawie. - Do diabła, Gennie, dlaczego mi nie powiedziałaś?

Oczy miała nadal zamknięte, tak że krople spadały na jej powieki, twarz i całe drżące ciało. Czy tak to zawsze się kończy? Czy to normalne, że czuje się tak wyczerpana, bezsilna, a skóra pali ją wszędzie tam, gdzie dotykał jej Grant?

Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na te pytania. Czowała się tak, jakby puściły wszelkie hamulce, zniknął gdzieś wstyd i potrzeba zachowania prywatności. Kiedy usłyszała jego pytanie, poczuła ból ostrzejszy niż przy utracie niewinności. Nic nie odpowiedziała.

- Gennie, pozwoliłaś mi myśleć, że...

- Że co? - zapytała, otwierając oczy. Grant przyglądał dłońią włosy.

- Powinnaś była mi powiedzieć, że jeszcze nigdy nie byłaś z mężczyzną. - Zastanawiał się, jak to możliwe, że jeszcze nikomu na to nie pozwoliła. On był tym pierwszym... i jedynym.

- Dlaczego? - zapytała bezbarwnie. Żałowała, że nie ma siły wstać i odejść. - To przecież moja sprawa.

Pochylił się nad nią. Oczy miał pociemniałe z gniewu, a kiedy chciała się odsunąć, przyparł ją do ziemi.

- Nie jestem zbyt delikatny - powiedział drżącym głosem. - Ale postarałbym się postępować tak delikatnie, jak tylko bym potrafił, specjalnie dla ciebie. - Patrzyła na niego bez słowa. - Gennie... - wyszeptał cicho.

Jej wątpliwości i obawy rozwiały się na dźwięk tego czule wypowiedzianego słowa.

- Wcale nie szukałam delikatności - wyszeptała. Objęła dłońmi jego twarz. - Ale teraz... - Uśmiechnęła się i zobaczyła, że jego chmurnie zmarszczone czoło wygładza się.

Pocałował ją szybko w usta, wstał i podniósł ją z ziemi. Zrobił to z taką łatwością, że aż się roześmiała.

- Co ty wyprawiasz?

- Zabieram cię do siebie, żebyś się ogrzała, wysuszyła, a potem znów ze mną kochała... Niekoniecznie w tej kolejności.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Twoje pomysły zaczynają mi się podobać. A co z naszymi ubraniami?

- Później pozbieramy to, co z nich zostało. - Otworzył drzwi latarni. - Przez jakiś czas nie będą nam potrzebne.

- Coraz bardziej mi się to podoba. - Przycisnęła usta do jego szyi. - Naprawdę zaniesiesz mnie na górę?

- Tak.

Gennie zerknęła na kręte schody i mocniej przywarła do Granta.

- Chcę tylko ci uświadomić, że jeśli się potkniesz i przewrócisz, to nie będzie to zbyt romantyczne.

- Czyżbyś kwestionowała moją męskość?

- Raczej poczucie równowagi - wyjaśniła. Grant zaczął się wspinać po schodach, a Gennie nagle się roześmiała. - Ciekawe, co by sobie ktoś pomyślał, jakby teraz zobaczył nasze ubrania na trawie?

- Pewnie wyobrazilby sobie nie wiadomo co. I powinno go to zniechęcić do wchodzenia na cudzy teren. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałem. To pewnie lepiej by zadziałało niż ostrzeżenia przed złym psem.

Kiedy dotarli na górę, westchnęła z ulgą.

- Wiesz, ten ktoś mógłby sobie pomyśleć, że jesteś kimś w rodzaju Clarka Kenta.

Grant zatrzymał się w drzwiach łazienki i spojrzał na nią zdziwiony.

- Słucham?

- No, wiesz, że ukrywasz swoją prawdziwą tożsamość, jak Superman. Ukrywasz się w tej latarni jak w jakiejś Fortecy Samotności.

Nadal patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Jak się nazywała ziemską matka Clarka Kenta? - zapytał nagle.

- Czy to jakiś konkurs?

- Znasz odpowiedź?

Uniosła brew, widząc, że pytają całkiem poważnie.

- Martha - odparła.

- Coś podobnego - wymamrotał. Roześmiał się i cmoknął ją w policzek całkowicie platonicznie, co było dość dziwne, zważywszy, że oboje byli nadzy. - Nie przestajesz mnie zadziwiać, Genvieve. Zdaje się, że zwariowałem na twoim punkcie.

Te beztrząsco wypowiedziane słowa sprawiły jej wielką radość.

- Wszystko dlatego, że znam imię przybranej matki Supermana?

Przytulił policzek do jej policzka. Po raz pierwszy pozwolił sobie na tak czuły gest wobec niej. W tej samej chwili zrozumiała, że jest bezpowrotnie stracona.

- To też się liczy - odrzekł Grant. Poczul, że zadrzała, więc przytulił ją mocniej. - Chodźmy pod prysznic. Zmarzłaś.

Zanim ją puścił, sam też wszedł do wanny. Potem, nadal mocno ją obejmując, pocałował ją przeciągle. Za pierwszym razem, podczas szalejącej burzy, była silna i nieustraszona. Teraz, kiedy już wiedziała, jak to jest, poczuła zdenerwowanie. Jeszcze przed chwilą tak śmiała i zdecydowana, teraz przywarła do niego bezradnie.

Podskoczyła, kiedy uderzył ją silny strumień gorącej wody. Grant z cichym śmiechem pogładził ją po biodrach.

- Tak jest miło, prawda?

Rzeczywiście, kiedy minęło zaskoczenie, ciepły prysznic okazał się całkiem przyjemny.

- Mogłeś mnie uprzedzić - upomniała go.

- Życie jest pełne niespodzianek.

Na przykład można się całkiem niespodziewanie zakochać, pomyślała. Uśmiechnęła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wiesz... - Grant lekko przesunął językiem po jej wargach. - Podoba mi się twój smak i zapach, kiedy jesteś mokra. Zaczynam się do tego przyzwyczajać. Moglibyśmy tu zostać przez następne parę godzin.

Przywarła do niego, kiedy przesunął dłońmi po jej plecach. Jego dłonie były mocne i twarde. Nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek mogły jej dotykać inne ręce.



Wokół nich unosiły się kłęby pary. Grant znów poczuł narastające podniecenie, uderzające prosto do głowy.

- Nie, nie tym razem - wymamrotał, dotykając wargami jej szyi.

Tym razem będzie pamiętał, jaka Gennie jest krucha. Nie zapomni o tym, że jest pierwszym i jedynym mężczyzną, który ją posiadał. Pokaże jej, na ile czułości go stać.

- Powinnaś się wysuszyć. - Delikatnie chwycił zębami jej wargę, ale zaraz się odsunął. Uśmiechała się do niego, mierząc go niepewnym spojrzeniem. Wyłączył wodę i nagle ogarnął go lęk. Gennie była taka krucha, bezbronna. Wziął ręcznik i osuszył jej twarz. - Podnieś ramiona - poprosił.

Posłuchała go i oparła ręce na jego ramionach. On tymczasem otulił ją ręcznikiem, jednocześnie zasypując jej twarz łagodnymi, miękkimi pocałunkami. Gennie zamknęła oczy.

Grant wziął drugi ręcznik i wolnymi, leniwymi ruchami osuszył jej włosy. Serce zaczęło jej bić mocniej.

- Ciepło ci? - zapytał cicho, lekko dotykając ustami jej ucha. - Drzysz.

Jak mogła odpowiedzieć, kiedy serce podeszło jej do gardła i biło tam jak oszalałe? Żar stopniowo ogarniał jej ciało, a drżała z niepewności, oczekiwania i tęsknoty. Gdyby przycisnął usta do jej ust, od razu by poznał, że już na zawsze należy do niego.

- Pragnę cię - powiedział łagodnym głosem. - Pragnąłem cię od samego początku. - Musnął językiem jej ucho. - Wiedziałaś o tym, prawda?

- Tak. - Jej odpowiedź zabrzmiała jak przeciągłe westchnienie.

- A teraz pragnę cię jeszcze bardziej niż choćby godzinę temu. - Nie mogła odpowiedzieć, bo ją pocałował. - Chodź do łóżka, Genvieve.

Nie zaniósł jej, ale poprowadził za rękę. Razem weszli do zalanej szarym światłem sypialni. Słyszała w uszach szum własnej krwi. Za pierwszym razem nie było miejsca na rozważania. Teraz myślała jasno, a nerwy miała napięte.

Już wiedziała, do czego może ją doprowadzić dotyk Granta. Bała się tego i jednocześnie niecierpliwie na to czekała.

- Grant...

Stanęli przy łóżku, a on ujął jej twarz w dłonie.

- Jesteś piękna. - Patrzył na nią pociemniałymi oczami. - Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, aż zaparło mi dech w piersiach. Nadal tak się czuję, kiedy na ciebie patrzę.

Te czułe słowa i spojrzenie podziałały na nią równie mocno jak przedtem gorące pocałunki.

- Nie potrzebuję słów, jeśli przychodzą ci one z trudnością - zapewniła go. - Wystarczy mi, że jestem z tobą.

- Wszystko, co ci powiem, będzie prawdą. Wolę milczeć niż kłamać. - Pochylił się nad nią i lekko dotknął ustami jej warg, tylko po to, żeby poczuć ich słodki smak. Dotykał jej delikatnie. Gennie czuła, że głowę ma lekką, a resztę ciała ciężką jak ołów. Prawie nie poczuła, kiedy opadli na łóżko.

Grant nie przestawał wodzić po jej skórze ciepłymi, suchymi dłońmi. Dotykał jej ostrożnie, z namysłem, jakby była ze szkła, dając rozkosz i niczego nie oczekując w zamian.

Chmury nadal przesłaniały słońce, więc światło wpadające przez okno było szare i zamglone. Cienie układały się w tajemnicze wzory. Słyszała przytłumiony szum morza i namiętny szept Granta. Czuła że budzi się w niej wielkie zaufanie do niego, choć nigdy by się tego nie spodziewała. Odgadła, że będzie ją chronił, jeśli tylko okaże się to potrzebne.

Dotykaj mnie, myślała. Nigdy nie przestawaj. Mogło się wydawać, że usłyszał jej myśli. Niestrudzenie pieścił ją, gładził i całował. Dla niej nie istniało już nic oprócz niego.

Nie myślała już o swoim ciele jako o czymś osobnym, ale jak o części jednej, podwójnej całości.

Gennie poznawała go takim, jakim jeszcze nikomu nie dał się poznać. Rzadko okazywał czułość i wrażliwość, tym bardziej więc wydał jej się słodki i podniecający.

Nie zauważyła, kiedy miękkie rozleniwienie zaczęło się w niej zmieniać w palącą żądzę. On jednak nie przeoczył tej chwili. Subtelne zmiany w jej ruchach i oddechu sprawiły, że po plecach przebiegł mu dreszcz rozkoszy. Samo obserwowanie jej twarzy w półmroku sypialni dawało mu wielką przyjemność. Błysk jej namiętności przypominał mu, że nikt nie dotykał jej tak jak on. I nikt nie będzie jej tak dotykał. Gennie należała do niego.

Całował ją wolno, leniwie, a kiedy wyczuł, że ulega mu całkowicie i bezwarunkowo, doprowadził ją do samego końca. Kiedy jęknęła, nakrył jej usta swoimi, jakby chciał nie tylko słyszeć ten dźwięk, ale również poczuć go w jej oddechu.

- Gennie. - Uniósł głowę, tak że przez krótką chwilę widziała jego ciemne oczy, zanim dotknął ustami jej ust. W tej samej chwili zapomniał o panowaniu nad sobą.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gennie obudziła się z przeciągłym westchnieniem, jak zwykle szybko i wcześnie. Prawie natychmiast przypomniała sobie, gdzie jest.

Ten poranek miał inny smak i zapach niż wszystkie dotychczasowe. Leżała obok rozgrzanego ciała mężczyzny. Odwróciła głowę i spojrzała na śpiącego Granta.

Z rozbawieniem stwierdziła, że zajął trzy czwarte łóżka. W ciągu nocy stopniowo spychał ją na sam brzeg. Niedbale przerzucił ramię przez jej ciało, nie w czułym geście, ale dlatego, że potrzebował dużo przestrzeni. Zagarnął też większą część poduszki. Na tle białego płótna jego twarz wydawała się jeszcze bardziej opalona. Na brodzie ciemniał cień zarostu. Wcześniej tylko raz, na spacerze wzdłuż plaży, widziała go tak rozluźnionego.

Jakie uczucia nim rządzą? zastanawiała się, bawiąc się kosmykami jego włosów. Dlaczego był tak zamknięty w sobie, dlaczego unikał ludzi?

Czubkiem palca przesunęła delikatnie po jego podbródku. Miał twarz o zdecydowanych, niemal surowych rysach. Jednak czasami, całkiem niespodziewanie, pojawiał się w jego oczach błysk humoru. Wtedy znikala gdzieś srogość, zostawała jedynie siła.

Był szorstki, wyniosły, arogancki, ale takiego go właśnie kochała. Mogła to przyznać przed samą sobą, dopiero kiedy okazał jej czułość i łagodność. Podarowała mu swą niewinność, swoje ciało, a teraz chciała dzielić się z nim także swymi uczuciami.

Wierzyła, że miłość należy dawać szczerze, bezwarunkowo. Znała go jednak już dość dobrze i wiedziała, że to on musi zrobić pierwszy krok. Taką miał naturę. Inny mężczyzna cieszyłby się, pochlebiałoby mu, gdyby kobieta tak łatwo zadeklarowała się ze swoimi uczuciami. Grant czułby się schwyty w pułapkę, osaczony.

Leżała wpatrując się w niego i zastanawiała się, czy to zawiedziona miłość sprawiła, że wybrał życie na odludziu. Była pewna, że tylko ból i rozczarowanie mogły budzić taką potrzebę izolacji. Grant skrywał w sobie wiele czułości i ciepła, których bał się okazać. Dlaczego?

Z westchnieniem odgarnęła mu włosy z czoła. To były jego tajemnice. Miała nadzieję, że wystarczy jej cierpliwości, żeby doczekać chwili, kiedy jej je wyjawią.

Dość tych rozmyślań, postanowiła i przytuliła się do niego, szepcząc jego imię. Odpowiedział jej mamrocząc coś niezrozumiale, potem odwrócił się na brzuch i ukrył twarz w poduszce. Ten ruch pozbawił Gennie kilku cennych centymetrów materaca.

- Hej! - Ze śmiechem potrząsnęła jego ramieniem. - Posuń się!

Żadnej odpowiedzi.

Prawdziwy romantyk, pomyślała. Pocałowała go w nieruchome ramię i wstała. Grant natychmiast zajął opuszczone przez nią miejsce.

Typowy samotnik, myślała, patrząc na leżącego w poprzek łóżka Granta. Wyraźnie nie przyzwyczyił się do ustępowania komukolwiek. Zerknęła na niego jeszcze raz i poszła do łazienki.

Plusk wody powoli budził Granta. Półprzytomny leżał bez ruchu, zastanawiając się, czy otworzyć oczy. Zawsze odkładał moment całkowitego przebudzenia tak długo, jak to tylko było możliwe.

Na poduszce czuł zapach Gennie. Wróciły do niego mgliste, zamazane obrazy, jednocześnie podniecające i kojące.

Choć był jeszcze nie całkiem przytomny, uświadomił sobie, że jest w łóżku sam. Na prześcieradle i na skórze czuł jeszcze ciepło Gennie. Przez chwilę leżał, ciesząc się tym uczuciem, chociaż nie wiedział, dlaczego sprawia mu to taką przyjemność.

Przypomniał sobie jej dotyk i smak, i to, jak drżała w jego ramionach. Czy jakakolwiek kobiet budziła w nim kiedyś takie pragnienia? Kto potrafił w jednej chwili go ukoić, a w drugiej doprowadzać do szaleństwa?

Było więcej pytań, z którymi nie potrafił się uporać, przynajmniej nie teraz, z głową ciężką od snu i myśli o Gennie. Musiał najpierw trochę oprzytomnieć, a na Gennie spojrzeć z odpowiedniej perspektywy. Dopiero potem przyjdzie czas na wyjaśnianie dręczących go wątpliwości.

Półprzytomny usiadł w pościeli i przetarł oczy. W tej samej chwili do sypialni weszła Gennie.

- Dzień dobry. - Miała na sobie zbyt duży na nią szlafrok Granta, głowę owinęła ręcznikiem. Usiadła na skraju łóżka, otoczyła go ramionami i pocałowała. Pachniała jego mydłem i szamponem, przez co ten zwykły pocałunek wydał mu się niezwykle intymny. Zanim sobie to w pełni uświadomił, odsunęła się i obdarzyła go przyjacielskim uśmiechem. - Już się obudziłeś?

- Prawie. - Chciał widzieć jej włosy, więc ściągnął ręcznik z jej głowy i upuścił na podłogę. - Od dawna jesteś na nogach?

- Od czasu kiedy zepchnąłeś mnie z łóżka. - Wybuchnęła śmiechem na widok jego zmarszczonych brwi. - I wcale nie przesadzam. Chcesz kawy?

- Tak. - Kiedy wstała, wziął ją za rękę i przytrzymał, aż spojrzała na niego zdziwiona. Co chciał jej powiedzieć? Sam się nad tym zastanawiał. A może chciał coś powiedzieć samemu sobie? Niczego nie był pewien, z wyjątkiem tego, że cokolwiek się w nim działo, było już za późno, żeby to powstrzymać.

- O co chodzi, Grant? - spytała zaintrygowana.

- Za chwilę zejść na dół - wymamrotał. Czuł się trochę głupio. - Tym razem to ja zrobię śniadanie.

- Dobrze. - Gennie zawahała się, zanim wyszła z sypialni. Ciekawe, czy kiedykolwiek usłyszy to, co przed chwilą tak naprawdę chciał jej powiedzieć...

Grant jeszcze przez moment siedział w pościeli, nasłuchując jej kroków na schodach. Chyba już nigdy nie będzie potrafił położyć się do tego łóżka, żeby nie myśleć o Gennie, zwiniętej w kłębek tuż obok niego.

A przecież miał już inne kobiety. Cieszył się ich bliskością, doceniał je. A potem o nich zapominał. Dlaczego był taki pewien, że nie zapomni o niczym, co się wiąże z Gennie? Nie zapomni nawet tego małego, ledwo widocznego znamienia, które odkrył na jej biodrze. Przypominało miniaturowy półksiężyc. Mógł je nakryć małym palcem. Kiedy je odnalazł, poczuł dziwną radość. Wiedział, że tego małego przebarwienia na jej skórze nie widział ani nie dotykał żaden inny mężczyzna.

Ganił się w myślach za to, że zachowuje się jak kompletny krety, zafascynowany faktem, że został jej pierwszym kochankiem, i wielką nadzieją, że będzie również jedynym. Przydałoby mu się chyba trochę samotności, żeby mógł spojrzeć na to wszystko z właściwego dystansu. Najbardziej nie chciał ograniczać swobody Gennie jakimiś więzami, które i jego musiałyby krępować.

Wstał i wyjął z szafy parę krótkich spodni. Zrobi śniadanie, wyśle Gennie w drogę do domu, a potem wróci do pracy, postanowił.

Zszedł na dół i jeszcze na schodach poczuł zapach kawy i usłyszał śpiew Gennie. Ogarnęło go przemożne uczucie, że właśnie tak powinno być zawsze, że na tym polega prosta radość codziennego życia. Gdyby miał codziennie wchodzić do tej kuchni przez następne sto lat, a Gennie by w niej nie było, już zawsze czegoś by mu brakowało.

Zatrzymał się w drzwiach i patrzył na nią. Gorąca kawa parowała w dzbanku, a Gennie wspinając się na palce, zdejmowała kubki z półki. On sięgał po nie z łatwością. Słońce prześwietlało jej włosy, wywołując rudawe błyski. Odwróciła się i na jego widok wydała cichy okrzyk zaskoczenia. Zaraz jednak uśmiechnęła się promiennie.

- Nie słyszałam, kiedy zszedłeś na dół. - Odrzuciła włosy i zaczęła nalewać kawę. - Pogoda jest wspaniała. Po deszczu wszystko aż błyszczący, a ocean stał się bardziej niebieski. Nikt by nie poznał, że wczoraj szalała tu burza. - Wzięła kubki i odwróciła się ku niemu. Miała zamiar do niego podejść, ale powstrzymało ją jego spojrzenie. Poczowała, że narasta w niej napięcie. Czyżby Grant był zły? Ale dlaczego? Może już żałował tego, co się stało.... Pewnie tylko ona w swojej głupocie wyobrażała sobie, że skoro to, co między nimi zaszło, dla niej było tak niezwykle i znaczące, to musiało też takie być i dla niego.

Zacisnęła palce na kubkach. Nie pozwoli mu przeproszać, wyjaśniać. Nie urządzi mu histerycznej sceny. Czowała dojmujący, fizyczny ból, ale siłą woli zmusiła się, by zachowywać się naturalnie. Ze swoim żalem upora się później, kiedy zostanie sama. Teraz musi rozmawiać z Grantem spokojnie, bez łez, wyrzutów i błagań.

- Coś się stało? - Czy to jej własny głos, taki spokojny, opanowany?

- Owszem, stało się.

Zacisnęła palce tak mocno, aż się przestraszyła, że kubki popękają. Ale przynajmniej dzięki temu nie trzęsły się jej ręce.

- Może powinniśmy usiąść - zaproponowała.

- Nie chcę siadać. - Głos Granta zabrzmiał ostro i gwałtownie, niczym uderzenie, ale ona nawet nie drgnęła. Podeszedł do zlewu i oparł się o niego, mamrocząc coś pod nosem. W innych okolicznościach to tak typowe dla niego zachowanie rozbawiłoby ją, ale teraz tylko stała i czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Jeśli chce ją zranić, niech zrobi to szybko i zdecydowanie, zanim ona straci panowanie nad sobą. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią oskarżycielsko. - Do diabła, Gennie, czuję się tak, jakby mi ktoś odciął głowę.

Patrzyła na niego oszołomiona. Jej palce, zacisnięte na gorących kubkach, niemal zeszywniały. Krew odpłynęła jej z twarzy, policzki przybrały białą jak porcelana barwę i tylko oczy połyskiwały zielenią. Grant znów zaklął cicho pod nosem i nerwowo przesunął palcami po włosach.

- Rozlewasz kawę - mruknął i wsunął ręce do kieszeni.

- Och. - Zbita z tropu Gennie spojrzała na podłogę, gdzie utworzyły się dwie małe kałuże brązowego płynu. Odstawiła kubki na blat. - Zaraz to wytę.

- Zostaw. - Grant chwycił ją za ramię, zanim zdążyła sięgnąć po ściereczkę. - Posłuchaj. Czuję się tak, jakby przed chwilą ktoś wymierzył mi silny cios prosto w żołądek. Wiesz, taki cios, który zgina cię w pół i od którego na dodatek dzwoni ci w uszach. Tak właśnie się czuję, kiedy na ciebie patrzę. - Nic nie odpowiedziała, więc wziął ją za ramiona i energicznie potrząsnął. - Po pierwsze, nie prosiłem cię, żebyś wkroczyła w moje życie i tak

namieszala mi w glowie... A jednak cie spotkalem. A teraz sie w tobie zakochalem i zapewniam cie, ze wcale nie jestem tym zachwycony.

Gennie mogla wreszcie wydobyć z siebie głos, chociaż i tak nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- No tak - wydusiła po chwili. - Teraz już wiem, gdzie jest moje miejsce.

- O, proszę. Jeszcze sobie żartujesz. - Zdegustowany Grant wypuścił ją z uścisku i chwycił kubek z kawą. Jednym haustem wypił połowę zawartości, przewrotnie zadowolony, że gorący płyn parzy mu gardło. - Dobrze, śmieję się z tego - zawołał, z głośnym hukiem odstawiając kubek. Spojrzał na nią groźnie. - Nigdzie się stąd nie ruszysz, dopóki wszystkiego nie przemyślę i nie zdecyduję, co z tobą zrobić.

Walcząc z rozbawieniem i złością, Gennie oparła ręce na biodrach. Przy tym ruchu zbyt obszerny szlafrok zsunął się jej z ramienia.

- Czyja cię dobrze zrozumiałam? Chcesz zadecydować, co ze mną zrobić, jakbym była jakimś utrudnieniem w twoim normalnym życiu, tak?

- Jesteś cholernym utrudnieniem - wymamrotała.

- Może tego nie zauważyłeś, ale jestem dorosłą kobietą, mam własny rozum i od dawna podejmuję samodzielne decyzje. To nie ty zdecydujesz, co ze mną dalej będzie. - Gniew zaczął zagłuszać wszystkie inne uczucia. Oskarżycielsko wymierzyła w niego palcem, a szlafrok jeszcze szerzej rozchylił się na jej piersiach. - Jeśli się we mnie zakochałeś, to twój problem. Ja mam własny, bo zakochałam się w tobie.

- Cudownie! - krzyknął. - Po prostu cudownie. Dla nas obojga byłoby lepiej, gdybyś przeczekala tamtą burzę w rowie przy drodze, a nie zwałała mi się na głowę.

- Myślisz, że sama tego nie wiem? - rzuciła ze złością Gennie i chciała wyjść z kuchni.

- Chwileczkę. - Grant znów chwycił ją za ramię i przyparł do ściany. - Nigdzie nie pójdziesz, dopóki sobie tego nie wyjaśnimy.

- Wszystko już zostało wyjaśnione! - Ruchem głowy odrzuciła włosy z czoła i zmierzyła go wojowniczym spojrzeniem. - Kochamy się i jeśli o mnie chodzi, to możesz się rzucić ze skały do morza. Gdybyś miał klasę...

- Ale nie mam.

- I gdybyś był wrażliwym człowiekiem. - mówiła dalej - nie mówiłbyś komuś, że go kochasz, tonem, którego się używa do straszenia małych dzieci.

- Nie kocham kogoś! - krzyknął rozwścieczony, ponieważ wiedział, że Gennie ma rację. - Kocham ciebie, do diabła, i wcale mi się to nie podoba.

- Dałeś to aż nazbyt jasno do zrozumienia. - Wyprostowała się i dumnie uniosła głowę.

- Nie dam się nabrać na te królewskie pozy - ostrzegł. Przeszyła go spojrzeniem jak sztyletem. Policzki jej się zaróżowiły. Niespodziewanie Grant wybuchnął tak żywiołowym śmiechem, że stracił równowagę i musiał oprzeć się na Gennie. - Och, Gennie. Nie mogę się opanować, kiedy patrzysz na mnie tak, jakbyś mnie chciała wtrącić do lochu, żebym tam gnił po wsze czasy.

- Puść mnie, ty ośle! - Wzburzona i obrażona usiłowała go odepchnąć, ale on objął ją mocniej. Tylko szybki refleks pozwolił mu uniknąć kolana Gennie, które za ułamek sekundy niechybnie wyładowałoby w jego czułym punkcie.

- Zaczekaj. - Nadal się śmiejąc, pocałował ją w usta. Potem jego śmiech zamarł równie niespodziewanie, jak wybuchł. Z niespotykaną delikatnością ujął w dłonie twarz Gennie, a ona natychmiast poddała się jego czułości. - Gennie - wyszeptał z ustami na jej ustach. - Kocham cię. - Wsunął palce w jej włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Teraz patrzyli sobie w oczy. - Nie podoba mi się to, może nigdy się do tego nie przyzwyczaję, ale kocham cię. - Z westchnieniem znów przyciągnął ją do siebie. - Tylko ty potrafisz sprawić, że wszystko wiruje mi w głowie.

Gennie przytuliła policzek do jego piersi i zamknęła oczy.

- Nie musisz się śpieszyć z przyzwyczajaniem się do tego uczucia - powiedziała cicho. - Obiecuj mi tylko, że nigdy nie będziesz żałował, że do tego doszło.

- Nigdy nie będę żałował - obiecał. - Może będzie mnie to doprowadzało do szału, ale na pewno nie będę żałował. - Poglądził ją po włosach i poczuł, jak narasta w nim pożądanie. Przywarł ustami do zagłębienia w jej szyi. - Naprawdę mnie kochasz czy tylko tak powiedziałaś, żeby mi dopiec?

- I jego, i drugie. Dziś rano postanowiłam zrobić ustępstwo na rzecz twojego wybijającego ego i poczekać, aż ty pierwszy wyznasz mi miłość.

- A więc mam wybijające ego, tak? - Zmarszczył brwi i znów odchylił jej głowę.

- Owszem, wyjątkowo wybijające, co bardzo często komplikuje różne sprawy. - Uśmiechnęła się do niego słodko, a on miękko pocałował ją w usta.

- Wiesz - powiedział po chwili. - Straciłem apetyt na śniadanie.

- Naprawdę?

- Mmmm. A tak przy okazji, choć przykro mi o tym mówić... - Przesunął palcami po wyłogach szlafroka, a potem pociągnął za luźno związany pasek. - Nie przypominam sobie, żebym ci pozwolił wziąć mój szlafrok.



- Boże, jakie to z mojej strony niegrzeczne. - Uśmiech Gennie stał się kuszący. - Chcesz mi go odebrać?

- Nie ma pośpiechu. - Wziął ją za rękę i pociągnął na schody. - Zaczekam, aż wejdziemy na górę.

Z okna sypialni Grant patrzył, jak Gennie odjeżdża do siebie. Minęło już południe i słońce świeciło ostro. Potrzebował czasu, by sobie wszystko przemyśleć, ale jednocześnie zastanawiał się, jak długo wytrzyma z dala od niej.

W pracowni piętro wyżej czekały na niego niedokończone rysunki. Wiedział, że musi wrócić do ustalonego trybu dnia, ponieważ od tego zależała jakość i ilość jego prac. Ale czy mógł pracować, mając głowę pełną myśli o Gennie i wciąż czując ciepło jej ciała?

Miłość. Przez tyle lat udawało mu się jej unikać, a w końcu sam bezmyślnie otworzył jej drzwi do swego domu. Spadła na niego nieoczekiwana i nieproszona. Teraz stał się bezbronny, słaby, a przecież obiecywał sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści. Gdyby był w stanie to zmienić, pewnie by to zrobił. Od dawna żył według własnych zasad, sam był sobie sędzią, uznawał tylko własne potrzeby. Tymczasem miłość wymaga kompromisów, a on nie był pewny, czy go na nie stać.

Niepotrzebna mu była miłość do kogoś takiego jak Gennie, której styl życia tak odbiegał od tego, który sam wybrał. W dodatku tak łatwo było ją skrzywdzić.

Doszedł do ponurego wniosku, że na pewno w końcu ją zrani, a jej cierpienie sprawi ból również jemu. Taki był nieuchronny los wszystkich kochanków.

Potrząsnął głową i odszedł od okna. Na razie wystarczało im uczucie, ale to się wkrótce zmieni. Co będzie, kiedy pojawią się zobowiązania, konwenanse, inni ludzie?

Na pewno nie będzie chciała zamieszkać z nim w tym zapomnianym zakątku świata. Zresztą nigdy by ją o to nie poprosił. On sam nie chciałby zamienić panującego tu spokoju na przyjęcia, błyski fleszów, wir życia towarzyskiego. Gdyby trochę bardziej przypominał Shelby...

Grant pomyślał o siostrze, o tym, jak bardzo lubiła tłumy ludzi, gwar i ruch. Każde z nich inaczej poradziło sobie ze wstrząsem, jakim była gwałtowna śmierć ojca. Minęło już piętnaście lat, ale bliźny nadal pozostały. Może Shelby szybciej odzyskała równowagę, a może miłość do Alana MacGregora była wystarczająco silna, żeby pomóc jej przezwyciężyć strach. Strach przed uzależnieniem się od innych, przed zaangażowaniem i rozstaniem.

Pamiętał, jak Shelby odwiedziła go, zanim postanowiła wyjść za Alana. Była nieszczęśliwa, bała się. Zachował się wobec niej szorstko, ponieważ chciał, żeby się otworzyła, wypłakała na jego ramieniu, wyrzuciła z siebie wspomnienia, które prześladowały

ich oboje. Powiedział jej prawdę, bo potrzebowała prawdy, ale czy sam Grant potrafiłby postąpić według rad, które wtedy dawał siostrze?

Chcesz się odciąć od życia z powodu czegoś, co się wydarzyło piętnaście lat temu? Właśnie takie pytanie zadał jej lodowatym tonem, kiedy zapłakana siedziała w jego kuchni. Pamiętał, że odpowiedziała mu ze złością, ale jakże trafnie: a czy ty tak nie postąpiłeś?

Rzeczywiście, tak postąpił, chociaż praca i umiłowanie tego, co robił, utrzymywały go w stałym kontakcie ze światem. Rysował dla ludzi, dla ich przyjemności i rozrywki, ponieważ na swój sposób ich lubił. Fascynowały go ich wady i zalety, szaleństwa i zdrowy rozsądek. Nie chciał tylko, żeby go osaczali. Do czasu pojawienia się Gennie bardzo uważał, żeby nie wejść z nikim w bliski, intymny związek.

Prychnął ironicznie. Tym razem wpadł w pułapkę bez wyjścia. Już nie mógł się doczekać, kiedy znów spotka Gennie, usłyszy jej głos, zobaczy uśmiech.

Pewnie pracuje teraz nad akwarelą, którą miała dzisiaj zacząć. Może nadal ma na sobie koszulę, którą jej pożyczył. Jej bluzka była tak podarta, że nie nadawała się już do niczego. Bez wysiłku wyobraził ją sobie, jak rozstawia sztalugi nad zatoką. Włosy ma odrzucone do tyłu, koszula jest na nią nieco za duża...

No, tak, ona tam pracuje, a on gapi się w okno i rozmyśla nie wiadomo o czym, jak zadurzony nastolatek. Zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz, ale nie dotarł do pracowni, ponieważ zatrzymał go dzwonek telefonu. Już miał go zignorować, ale zmienił zdanie i zbiegł na dół.

Miał tylko jeden aparat, w kuchni, ponieważ nie chciał, żeby dzwonki przeszkadzały mu, kiedy pracował lub spał. Zdjął słuchawkę i oparł się o framugę drzwi.

- Słucham.

- Grant Campbell?

Grant spotkał tego człowieka tylko raz, ale bez najmniejszego trudu rozpoznał jego głos. Daniel MacGregor miał niezwykle głębiący głos, a nazwisko Campbell wymawiał z dziwnym naciskiem.

- Witaj, Danielu.

- Trudno się do ciebie dodzwonić. Wyjeżdżałeś?

- Nie. - Grant uśmiechnął się. - Nie zawsze odbieram telefony.

Daniel mruknął coś z irytacją, a Grant uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyobrażał sobie wielkiego MacGregora, w jego gabinecie w wieży, palącego grube cygaro za masywnym biurkiem. Grant narysował jego karykaturę właśnie w tej pozycji i podczas przyjęcia dał ją Shelby.

- Jak się miewasz - zapytał.

- Doskonale. A nawet jeszcze lepiej. - W dudniącym głosie Daniela słychać było dumę i zadowolenie z samego siebie. - Dwa tygodnie temu zostałem dziadkiem.

- Moje gratulacje.

- To chłopak - poinformował go Daniel z satysfakcją. - Trzy i pół kilograma, zdrowy i silny. Robert MacGregor Blade. Nazywają go Mac. Dobra krew. - Wziął głęboki oddech. - Ma moje uszy.

Grant słuchał wiadomości o najnowszym MacGregorze z rozbawieniem i sympatią. Jego siostra wychodząc za mąż, weszła do rodziny, która bardzo przypadła mu do gustu. Nie można było ich nie polubić. Wiedział, że wielu MacGregorów pojawi się w jego komiksach w ciągu najbliższych lat.

- Jak się miewa Rena?

- Świetnie dała sobie radę - huknął Daniel - Oczywiście, nie miałem wątpliwości, że tak będzie. Za to jej matka się zamartwiała. Ech, te kobiety.

Nie wspomniał, że to on się uparł, żeby wyczarterować samolot, kiedy tylko Serena poczuła pierwsze bóle porodowe. I to on nerwowo miotał się po szpitalnej poczekalni, podczas gdy jego żona spokojnie haftowała wzór na kocyku dla niemowlęcia.

- Justin był z nią przez cały czas. - W głosie Daniela dała się słyszeć lekka irytacja, więc Grant domyślił się, że nie wpuszczono go na salę porodową. Pielęgniarki musiały mieć z nim ciężką przeprawę.

- Czy Shelby widziała już siostrzeńca swojego męża?

- Kiedy się urodził, nie wrócili jeszcze z miesiąca miodowego - oznajmił Daniel z przeciągłym sapaniem. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego syn i synowa nie zmienili planów, żeby być przy tak doniosłym rodzinnym wydarzeniu. - Ale nadrobią stracony czas w ten weekend. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Chcemy, żebyś do nas przyjechał, chłopcze. Cała rodzina się zjedzie, będzie też mój wnuk. Anna już nie może się doczekać, kiedy będzie miała wszystkie dzieci przy sobie. Wiesz, jakie są kobiety.

Grant wiedział też, jaki jest Daniel, więc znów się uśmiechnął.

- Matki z natury lubią się zamartwiać.

- Oj, tak. A teraz, kiedy pojawiło się nowe pokolenie, będzie jeszcze gorzej. - Daniel ściszył głos. - Przyjedź w piątek wieczorem.

Grant przebiegł myślą swoje plany na najbliższą przyszłość i szybko się zastanowił. Kusilo go, żeby spotkać się z siostrą, zobaczyć MacGregorów. Co więcej, chciał zabrać

Gennie z wizytą do ludzi, których zaczął uważać za swoją rodzinę, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

- Zdaje się, że mogę sobie pozwolić na krótką przerwę w pracy - oznajmił Danielowi.

- Ale chciałbym kogoś ze sobą przywieźć.

- Kogoś? - Daniel natychmiast zaostrzył czujność. - A kto to taki?

Grant rozpoznał ten ton.

- To osoba, którą niedawno poznałem. Szukała plenerów w Nowej Anglii i trafiła na Windy Point. Pewnie zainteresuje ją twój dom.

A więc to kobieta. Daniel nie mógł powstrzymać triumfalnego uśmiechu. To, że udało mu się tak dobrze wybrać współmałżonków dla swoich dzieci, nie znaczyło, że nie zamierzał dalej bawić się w swata. W takich sprawach młodzi potrzebują doświadczonego doradcy, a czasami kogoś, kto da im solidnego szturchańca. A Grant, chociaż Campbell, prawie należał do rodziny.

- Artystka... Tak, to interesujące. Zawsze znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego gościa, synu. Przywieź ją ze sobą. Artystka - powtórzył. - Jestem pewien, że młoda i ładna.

- Ma prawie siedemdziesiąt lat - oznajmił beztrąsko Grant. - Jest graba, a jej twarz przypomina żabę. Jej obrazy zawierają za to ponadczasowe piękno i wielki ładunek emocjonalny. Szaleję na jej punkcie. - Zamilkł na chwilę, wyobrażając sobie poczerwieniałą ze zgrozy twarz Daniela. - Prawdziwe uczucie nie zważa na wiek i urodę, prawda?

Daniel wymamrotał coś niezrozumiale, ale zaraz odzyskał panowanie nad sobą. Ten chłopak najwyraźniej potrzebuje pomocy, i to szybko.

- Synu, przyjedź w piątek, jak najwcześniej. Będziemy musieli poważnie porozmawiać. Siedemdziesiąt, powiadasz...

- Prawie. Ale prawdziwa zmysłowość opiera się upływowi czasu. Nie dalej jak zeszłej nocy...

- Nie, nic mi nie mów - pośpiesznie przerwał mu Daniel. - Porozmawiamy, jak przyjedziesz. Oj, porozmawiamy - dodał, wzięwszy głęboki oddech. - Czy Shelby ją zna? Nie, nieważne. W piątek, nie zapomnij - zakończył stanowczym tonem.

- Na pewno przyjedziemy. - Grant odwiesił słuchawkę, oparł się o drzwi i wybuchnął gromkim śmiechem. Daniel będzie miał o czym myśleć przez najbliższe dni.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gennie jeszcze nigdy tak szybko nie zdecydowała się na wyjazd. Zanim się spostrzegła, już miała spakowaną walizkę i przybory do malowania, a zaraz potem siedziała w samolocie w drodze na spotkanie z ludźmi, których wcale nie znała.

Stało się tak głównie dlatego, że Grant tak entuzjastycznie wyrażał się o MacGregorach. Przez miniony tydzień zdążyła trochę go poznać, więc wiedziała, że rzadko czuł do kogoś niekłamana sympatię na tyle głęboką, żeby poświęcić dla tego kogoś swój czas i zrezygnować z samotności, choćby na krótko.

Zgodziła się na wyjazd przede wszystkim dlatego, że chciała być tam, gdzie on, po wtóre, pragnęła się dowiedzieć, co mu sprawia przyjemność, i wreszcie dlatego, że jeszcze go nie widziała wśród ludzi, z dala od tego odludnego zakątka.

Pozna jego siostrę. Nie spodziewała się, że Grant ma jakieś rodzeństwo. Wiedziała, że to głupie, ale przez jakiś czas miała wrażenie, że Grant pojawił się na świecie jako dorosły człowiek, bez rodziny, od pierwszych chwil gotów zazdrośnie strzec swojego prawa do życia w odosobnieniu, na własnej ziemi.

Teraz zaczęło ją ciekawić jego dzieciństwo. Co wywarło na niego największy wpływ? Dlaczego stał się taki, jaki jest? Rzadko mówił o swojej rodzinie i o przeszłości. W zasadzie niewiele też mówił o teraźniejszości.

Co dziwne, nie potrafiła zadać mu tych pytań właśnie dlatego, że odpowiedzi na nie były dla niej takie ważne. Chciała, żeby jej to powiedział z własnej woli. Byłby to dowód uczucia, o którym ją zapewniał.

Wierzyła wprawdzie, że na swój sposób ją kocha, ale chciała, żeby to jakoś potwierdził, przypieczętował. Dla niej miłość i zaufanie stanowiły jedność, jedno bez drugiego było tylko pustym słowem. W miłości nie uznawała sekretów.

Grant zerknął w bok, kiedy skręcili w wąską aleję, wiodącą do posiadłości MacGregorów. Dostrzegł profil Gennie, jej zamyśloną twarz, rozmarzony i niezbyt wesołe oczy.

- O czym myślisz? - zapytał.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się, a smutek z jej oczu zniknął w jednej chwili.

- Myślę o tym, że cię kocham.

Jej prosta odpowiedź poruszyła go do głębi. Zjechał na pobocze i zatrzymał się, ponieważ czuł, że musi jej dotknąć. Nadal się uśmiechała, kiedy wziął jej twarz w obie dłonie. Opuściła powieki, oczekując pocałunku.

Delikatnie, z czcią, której się sam po sobie nie spodziewał, przesunął wargami po obu jej policzkach. Serce na chwilę przestało jej bić. Rzadkie przejawy czułości Granta zawsze doprowadzały ją do takiego stanu. W takiej chwili mógł prosić ją o wszystko, a na pewno by mu to dała bez najmniejszego wahania.

Całując jej zamknięte powieki, jednocześnie szeptał jej imię. Kiedy zadrżała, wszystkie myśli zawirowały mu w głowie. Czyżby rzuciła na niego jakiś czar?

Lekko dotknął wargami jej warg. Gennie przyzwalająco odchyliła głowę. Jego przyspieszony oddech owionął jej usta, zanim rozwarły się w oczekiwaniu jego warg. W jednej chwili delikatna pieśczoła zmieniła się w namiętny, nienasycony pocałunek. Zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go bliżej.

- Pragnę cię. - Te słowa wyrwały jej się same.

Z niezrozumiałym pomrukiem Grant zatopił twarz w jej włosach i starał się odzyskać panowanie nad sobą.

- Za chwilę zapomnę, że nadal jest jasno i stoimy na publicznej drodze.

Gennie przesunęła palcami po jego karku.

- Ja już zapomniałam. Odetchnął głęboko i uniósł głowę.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją. - Łatwo zapominam o wymogach cywilizacji i robię to, co w danej chwili wydaje mi się naturalne. Teraz mam ochotę zaciągnąć cię na tylne siedzenie i kochać się z tobą do utraty zmysłów.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. Pochyliła się ku niemu.

- Nie należy walczyć z tym, co naturalne.

- Gennie... - Zostały mu tylko resztki samokontroli. Już sobie wyobrażał jej gorące ciało, wychodzące naprzeciw jego dłoni. Kiedy położyła ręce na jego piersi, czuł, jak jego serce wibruje pod jej palcami. Oczy miała zamglone, ale jednocześnie patrzyła na niego śmiałym spojrzeniem. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Kiedy już gotowi byli całkowicie się zapomnieć, otrzeźwił ich warkot nadjeżdżającego samochodu. Zobaczyli, że obok nich zatrzymuje się mercedes. Okno po stronie pasażera otworzyło się i ukazała się w nim szczupła twarz, okolona burzą rudych włosów. Kobieta wychyliła się ku nim z miłym uśmiechem.

- Zgubiliście drogę?

Grant zmierzył ją gniewnym wzrokiem, a potem ku zaskoczeniu Gennie chwycił palcami za nos.

- Jazda stąd.

- Są ludzie, którym nie warto pomagać - stwierdziła kobieta, unosząc dumnie głowę i cofnęła się do wnętrza samochodu. Mercedes zawarczał cicho i zniknął za zakrętem.

- Grant! - Trochę rozbawiona, a trochę oburzona Gennie patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Nawet jak na ciebie było to niewiarygodnie grubiańskie zachowanie.

- Nie znoszę wścibskich bab - oznajmił beztrąsko i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Głośno westchnęła i usiadła wygodniej.

- Dałeś to jasno do zrozumienia. To chyba cud, że tamtej pierwszej nocy nie zatrzęsnałeś mi drzwi przed nosem.

- Chwilowa słabość.

Spojrzała na niego z ukosa i postanowiła zmienić temat.

- Czy to jeszcze daleko? Może powiesz mi, kto tam będzie, żebym... - Nagle głos jej zamarł. - O, Boże.

Widok był niewiarygodny i cudowny. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca pojawił się przed nią zamek z bajki.

Wielka, szara budowla wznosiła się dumnie na skale. Żaden bluszcz nie porastał jej ścian, jakby onieśmielony jej wspaniałością. Wokół niej rozpościerał się za to dywan kwiatów, których jaskrawe kolory jakby przeczyły nadejściu jesieni, widocznej w liściach pobliskich drzew.

Gennie od razu wiedziała, że musi to namalować.

- Tak właśnie myślałem - skomentował Grant.

- Co takiego? - zapytała, nadal oszołomiona niespodziewanym widokiem.

- Już widzisz to na płótnie i żałujesz, że nie masz w ręku pędzla.

- Rzeczywiście.

- Jeśli namalujesz to choć w połowie tak dobrze, jak tamto studium morza, to stworzysz wspaniałe dzieło.

Gennie spojrzała na niego zdumiona.

- Ale myślałam... Wydawało mi się, że tamten obraz wcale ci się nie spodobał.

- Głupstwa wygadujesz - powiedział, biorąc ostatni zakręt.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Gennie potrzebuje potwierdzenia swojego talentu. Grant znał swoje możliwości i przyjmował jako rzecz naturalną, że uważano go za jednego z najlepszych w swojej dziedzinie. Opinia innych miała dla niego niewielkie

znaczenie; sam wiedział, co o sobie myśleć. Zakładał, że Gennie ma podobne podejście do swoich prac.

Gdyby wiedział, co przeżywa przed każdą z wystaw, nie posiadałby się ze zdziwienia. Nie podejrzewał nawet, jak bardzo ją zranił swoim zdawkowym komentarzem na temat tamtego obrazu.

Gennie patrzyła na niego w skupieniu.

- A więc ci się podobał?

- Czy co mi się podobało?

- Obraz - warknęła niecierpliwie. - Ten, który namalowałam przy latarni.

Grant myślała zupełnie o czym innym, więc nie usłyszał nuty lęku w jej głosie.

- To, że sam nie maluję, nie znaczy, że nie potrafię docenić genialnego obrazu - powiedział kwaśno.

Zapadło milczenie. Żadne z nich nie było pewne nastroju i myśli drugiego.

Skoro obraz mu się podobał, dlaczego nic nie powiedział, zastanawiała się nastroszona Gennie. Dlaczego musiała to z niego wyciągnąć niemal siłą?

Grant zastanawiał się, czy dla niej poważne malarstwo było jedyną wartościową sztuką. Co by powiedziała na to, że zarabia na życie, rysując zabawne, komiksowe historyjki? Śmiałyby się? A może dostałaby szału na widok Weroniki, która miała pojawić się w prasie za kilka tygodni?

Zatrzymali się przed wejściem.

- Zaczekaj tylko, aż wejdziemy do środka - zagadnął Grant, nawiązując do ich wcześniejszej rozmowy. - Kiedy to pierwszy raz zobaczyłem, nie wierzyłem własnym oczom.

- Zdaje się, że wszystko, co słyszałam i czytałam o Danielu MacGregorze, to prawda. - Gennie wysiadła z samochodu, wpatrzona we wspaniałą budowlę. - Jego żona jest lekarzem?

- Chirurgiem. Mają troje dzieci i co przez następne dwa dni jeszcze nie raz usłyszysz, jednego wnuka. Moja siostra wyszła za starszego syna, Alana.

- Alan MacGregor... Czy to...

- Tak, to senator MacGregor, a za parę lat... kto wie...

- A, tak. Jeśli plotki o jego aspiracjach są prawdziwe, to za kilka lat będziesz miał bezpośrednią linię telefoniczną do Białego Domu. - Uśmiechnęła się do Granta, który stał z rozwianymi włosami, opierając się o maskę ich wynajętego samochodu. - Jak by ci się to podobało?

W odpowiedzi uśmiechnął się dziwnie i pomyślał o Macintoshu.



- W tej chwili sytuacja nie jest jasna - wymamrotał. - Ale zawsze dość chłodno odnosiłem się do polityki. - Wziął ją za rękę i poprowadził na kamienne schody. - Jest też Caine, drugi syn, prawnik, który niedawno ożenił się z prawniczką. Tak się składa, że jego żona to siostra męża najmłodszego dziecka MacGregorów.

- Chyba przestaję za tobą nadażać. - Gennie przyglądała się mosiężnej głowie lwa, która służyła za kołatkę na drzwiach.

- Musisz się tego szybko nauczyć. - Grant zakołatał do drzwi.' - Rena wyszła za mąż za pewnego gracza. Są właścicielami kilku kasyn i mieszkają w Atlantic City.

Gennie spojrzała na niego z zastanowieniem.

- Jak na kogoś, kto mieszka na odludziu, jesteś całkiem niezłe poinformowany.

- Owszem. - W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Rudowłosa kobieta z mercedesa stała w progu, opierając się o grubą framugę i mierzyła Granta taksującym spojrzeniem.

- A więc jednak znalazłeś drogę?

Grant przyciągnął ją do siebie, serdecznie uściśnął i pocałował.

- Widzę, że jakoś przeżyłaś pierwszy miesiąc małżeństwa, ale nadal jesteś chuda jak szczapa.

- A ty jak zwykle nie szczędzisz kobiecie komplementów - odparowała, cofając się o krok. Po chwili roześmiała się i znów otoczyła go ramionami. - Niechętnie mówię to głośno, ale bardzo się cieszę, że cię widzę. - Z szerokim uśmiechem ciekawie spojrzała ponad ramieniem Granta na Gennie. - Cześć, jestem Shelby.

A więc to siostra Granta, uświadomiła sobie Gennie. Zmylił ją całkowity brak rodzinnego podobieństwa. Shelby miała ognisto rude, kręcone włosy i ciemne oczy. Przypominała figurkę z porcelany, obdarzoną ognistym temperamentem.

- Jestem Gennie i cieszę się, że cię poznałam - powiedziała ze szczerym uśmiechem.

- Dobiała siedemdziesiątki, tak? - Shelby zwróciła się do Granta, a potem uściśnęła dłoń Gennie. - Musimy się lepiej poznać, to mi opowiesz, jak ci się udaje znieść towarzystwo tego wariata dłużej niż pięć minut. Alan jest w sali tronowej z Danielem - ciągnęła, zanim Grant zdołał skomentować jej słowa. - Czy Grant powiedział ci, kogo tu spotkasz?

- Usłyszałam tylko skróconą wersję.

- To dla niego typowe. - Wzięła Gennie pod ramię. - Trudno. Czasami lepiej skoczyć na głęboką wodę. Najważniejsze, żebyś nie dała się zastraszyć Danielowi. Z jakiej rodziny pochodzisz?

- Moje korzenie są głównie francuskie. Dlaczego pytasz?

- Ten temat na pewno się pojawi.

- A jak twój miesiąc miodowy? - zapytał Grant, starając się odciągnąć je od tematu, który bez wątpienia miał jeszcze powrócić.

- Powiem ci, jak dobiegnie końca - odrzekła siostra z szerokim uśmiechem. - A jak twoja samotna skała?

- Nadal stoi. - Dostrzegł schodzącego po głównych schodach Justina. Lekkie zaciekawienie na jego twarzy zmieniło się w zdziwienie, a potem, co zdarzało mu się raczej rzadko, w radość.

- Gennie! - Szybko zbiegł na dół, dopadł jej długimi krokami i chwycił w ramiona.

- Justin. - Ze śmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję, gdy tymczasem Grant przyglądał się im spod zmrużonych powiek.

- Co tutaj robisz? - oboje zapytali chórem.

Justin wziął ją za ręce i odstąpił o krok, żeby jej się lepiej przyjrzeć.

- Jesteś piękna jak zawsze - zapewnił.

Grant dostrzegł rumieniec na policzkach Gennie i po raz pierwszy w życiu poczuł, jak smakuje prawdziwa zazdrość.

- Zdaje się, że już się znacie - powiedział niepokojąco miłym głosem, na dźwięk którego Shelby uniosła brwi ze zdziwienia.

- Ależ oczywiście. - Gennie nagle wszystko sobie skojarzyła. - Gracz! - zawołała. - Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Już sama wiadomość o twoim ślubie była dla mnie szokiem. Bardzo żałowałam, że nie mogłam przyjechać. - Znów zarzuciła mu ramiona na szyję. - Niespodziewanie znalazłam się wśród kuzynów.

- Wśród kuzynów? - powtórzył oszołomiony Grant.

- Z francuskiej gałęzi mojej rodziny - wyjaśnił sucho Justin. - To dalekie pokrewieństwo, wiele osób go nie uznaje, z wyjątkiem kilku wyjątkowych jednostek - dokończył, patrząc z sympatią na Gennie.

- Ciotka Adelajda to nadęta nudziara - oświadczyła Gennie bez ogródek.

- Rozumiesz, o czym oni mówią? - zwróciła się Shelby do brata.

- Nie do końca - wymamrotał.

Gennie ze śmiechem wyciągnęła do niego rękę.

- Krótko mówiąc, ja i Justin jesteśmy kuzynami, zdaje się, że w trzeciej linii. Pięć lat temu spotkaliśmy się przypadkiem na jednej z moich wystaw w Nowym Jorku.

- Nigdy nie byłem blisko z nikim z tej gałęzi rodziny - wyjaśnił Justin. - Jakaś przypadkowa uwaga dała nam do myślenia, aż się wyjaśniło, co nas łączy.

Dopiero teraz Grant zauważył pewne podobieństwo. Oboje mieli zielone oczy o niemal identycznym odcieniu. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale dopiero ten fakt, a nie wyjaśnienia Gennie, sprawił, że się rozluźnił. A więc Justin to ta czarna owca, która zadziwiła całą rodzinę.

- Niesamowite - stwierdziła Shelby. - Banalne powiedzonko: jaki ten świat mały, okazuje się zadziwiająco trafne. Gennie przyjechała tu z Grantem.

- Doprawdy? - Justin obejrzał się i natrafił na szacujące spojrzenie ciemnych oczu Granta. Jako gracz z przyzwyczajenia oceniał ludzi i nadawał im określone etykiety. Miesiąc temu, na ślubie Shelby, ze zdziwieniem stwierdził, że Grant nie pasuje do żadnej kategorii. Polubili się, może dlatego, że obaj bardzo cenili sobie prywatność. Nagle przypomniał sobie, co Daniel opowiadał o osobie, z którą miał tu przyjechać Grant, i dołożył wszelkich starań, żeby się nie roześmiać. - Daniel wspomniał, że przywieziesz ze sobą jakąś malarkę.

Grant dostrzegł w jego oczach trudno zauważalne iskierki rozbawienia.

- Jestem pewien, że dużo o tym mówił - odparł tym samym lekkim tonem. - Jeszcze ci nie pogratulowałem zapewnienia ciągłości rodu.

- W ten sposób ocaliłeś resztę z nas przed naciskami, żebyśmy się natychmiast zaczęli rozmnażać - dodała Shelby. Nie liczcie na to - ostrzegł ich jakiś melodyjny głos.

Gennie podniosła wzrok i zobaczyła schodzącą po schodach blondynkę z niebieskim zawiniątkiem w ramionach.

- Witaj, Grant. Miło cię znowu widzieć. - Serena ułożyła synka na jednym ramieniu i pocałowała Granta w policzek. - To miło z twojej strony, że przybyłeś na królewskie wezwanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nie mogąc się powstrzymać, odsunął skraj niebieskiego kocyka.

Małe dzieci zawsze go fascynowały. Były takie miniaturowe i doskonale zarazem. Ten malec miał aksamitne policzki i ciemnoniebieskie oczy, podobne do oczu matki. Resztę cech fizycznych z pewnością odziedziczył jednak po Blade'ach. Widać w nim było wojowniczego ducha, a czarna czuprynka świadczyła o domieszce krwi Komanczów.

Serena przeniosła wzrok na Gennie, która przyglądała się Grantowi w cichej zadumie. Zdumiał ją widok jej oczu, tak bardzo przypominających oczy Justina. Zaczekała, aż Gennie na nią spojrzy i uśmiechnęła się na powitanie.

- Jestem Rena.

- Gennie jest przyjaciółką Granta - wyjaśnił Justin, otaczając żonę ramieniem. - Tak się też składa, że jest moją kuzynką. - Zanim Serena zdążyła wyrazić zdumienie, usłyszała następną niespodziewaną nowinę. - Nazywa się Genvieve Grandeau.

- Och, to ty malujesz te wspaniałe obrazy! - zawołała. Oczy Shelby rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Coś takiego, Grant. - Shelby zmierzyła brata oburzonym spojrzeniem i zwróciła się do Gennie. - Nasza matka miała dwa twoje pejzaże. Udało mi się ją namówić, żeby mi jeden dała w prezencie ślubnym. To niezwykle dzieło, godne najlepszej galerii świata.

Gennie uśmiechnęła się do niej z zadowoleniem.

- Skoro tak uważasz, to może pomożesz mi przekonać pana MacGregora, żeby mi pozwolił namalować swój dom.

- Coś mi mówi, że nie będzie się zbyt stanowczo sprzeciwiał - stwierdziła z rozbawieniem Serena.

- Co tu się dzieje? Spotkanie na szczycie? - W korytarzu ukazał się Alan. Podeszedł do żony i położył jej rękę na ramieniu. - Byłem u taty. Strasznie narzekał, że rodzina się rozpierchła na cztery wiatry.

- A Caine'owi pewnie dostało się najwięcej - wtrąciła Serena.

- O, tak. Szkoda, że się spóźnia. - Przeniósł spojrzenie na Gennie i uśmiechnął się ujmująco. - Spotkaliśmy się już... - Zawahał się, przeglądając zachowane w pamięci twarze i nazwiska. - Genvieve Grandeau, prawda?

Trochę zaskoczona Gennie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Tak, panie senatorze. Rozmawialiśmy krótko na pewnym bardzo hucznym balu dobroczynnym, dwa lata temu.

- Mów mi Alan - poprawił ją. - A więc to ty jesteś tą malarką, przyjaciółką Granta... - Spojrzał na Granta z iskierkami rozbawienia w oczach. - Muszę przyznać, że nawet jego entuzjastyczny opis nie oddaje twojej urody. Dołączymy do Daniela, zanim zacznie na nas krzyczeć?

- Daj. - Justin wprawnym ruchem wziął dziecko od Sereny. - Mac go ułagodzi.

- O jakim opisie była mowa? - zapytała szeptem Gennie, idąc obok Granta korytarzem.

Uśmiechnął się lekko i objął ją ramieniem.

- Potem ci powiem.

Gennie natychmiast zrozumiała, dlaczego Shelby nazwała pokój, do którego weszli, salą tronową. Podłogę przykrywał szkarłatny dywan. Wszystkie drewniane elementy

pokrywały misterne rzeźby, a w ozdobnych ramach wisiały wspaniałe obrazy. Unosił się tu delikatny zapach wosku, choć nigdzie nie paliły się świece. Lampy jarzyły się łagodnym blaskiem, ponieważ za oknami zapadał już zmierzch.

Spostrzegła, że wszystkie meble były stare i piękne, a ich wielkie rozmiary dobrze pasowały do rozległej sali. W olbrzymim kominku leżały kłody drewna, przygotowane na powitanie nadchodzących jesiennych chłódów.

Jednak ten pokój, chociaż niezwykle, był niczym w porównaniu z człowiekiem, który zasiadł na gotyckim krześle o wysokim oparciu. Masywnie zbudowany, z grzywą gęstych, rudych włosów nad szeroką, pobrużdżoną twarzą patriarchy, bystrymi, niebieskimi oczami spojrzał uważnie na przybyłych. W dłoni trzymał szklaneczkę, do połowy wypełnioną ciemnym płynem. Wyglądał wspaniale i groźnie.

Gennie żałowała, że nie ma przy sobie szkicownika.

- I cóż tam? - powiedział głębokim, dudniącym głosem. W jego ustach to nic nie znaczące pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

Pierwsza, zdaniem Gennie, odważnie, podeszła do niego Shelby i głośno cmoknęła go w policzek.

- Witaj, dziadku.

Słyszając te słowa, poczerwieniał, ale starał się ukryć, ile przyjemności sprawił mu ten nowy tytuł.

- Zdecydowałam się więc poświęcić mi trochę swojego cennego czasu.

- Uznałam za swój obowiązek złożyć wizytę najmłodszemu z MacGregorów.

Jak na komendę, Justin ułożył małego Maca w ramionach Daniela. Na oczach Gennie groźny olbrzym zmienił się w dobrodusznego dziadka.

- Nasz śliczny chłopczyk - powiedział z zachwytem. Oddał szklaneczkę Shelby i polaskotał malca w brodę. Kiedy dziecko chwyciło go za palec, Daniel wręcz napęczniał z dumy. - Jaki silny! - Z rozanielonym uśmiechem rozejrzał się po zgromadzonych, aż zatrzymał wzrok na Grancie. - A więc przyjechałeś, Campbell. Widzisz? - Pokazał mu niemowlę. - Teraz już wiesz, dlaczego MacGregorowie nigdy nie dali się pokonać. To mocny ród.

- I dobra krew - wymamrotała Serena, zabierając dziecko z ramion dumnego dziadka.

- Dajcie Campbellowi coś do picia - rozkazał. - A gdzie ta malarka? - Przebiegł wzrokiem salę i wpatrzył się w Gennie. Wydało jej się, że dostrzegła na jego twarzy szybko stłumione zaskoczenie, a potem przelotne rozbawienie i lekki uśmiech.

- Daniel MacGregor, Genvieve Grandeau - zwięźle przedstawił ich sobie Grant.

Widać było, że jej nazwisko nie jest Danielowi obce. Wstał i wyciągnął do niej dłoń.

- Witaj.

Ręka Gennie utonęła wręcz w jego szerokiej dłoni. Wyczuła bijącą od tego człowieka siłę, życzliwość i upór.

- Ma pan wspaniały dom, panie MacGregor - oznajmiła, przyglądając mu się z powagą. - Pasuje do pana.

Od śmiechu Daniela zatrzęsły się szyby w oknach.

- Owszem. A trzy twoje obrazy wiszą w zachodnim skrzydle. - Szybko zerknął na Granta, a potem znów zatopił w niej uważne spojrzenie. - Dobrze wyglądasz jak na swój wiek, moja panno.

Gennie trochę te słowa zdziwiły. Usłyszała, jak Grant krztusi się swoją szkocką.

- Dziękuję - odparła niezrażona.

- Dajcie malarce coś do picia - nakazał, a potem gestem wskazał jej krzesło obok siebie. - A teraz mi powiedz, dlaczego marnujesz czas u boku Campbella?

- Gennie to moja kuzynka - powiedział Justin, siadając na kanapie obok syna. - Z arystokratycznej, francuskiej gałęzi rodu.

- Kuzynka. - Oczy Daniela spojrzały bystrzej, a potem jego twarz przybrała jednocześnie przebiegły i pełen zadowolenia wyraz. - Tak, lubimy, kiedy wszystko zostaje w rodzinie. Grandeau... dobre nazwisko. Wyglądasz trochę jak królowa, a trochę jak czarodziejka.

- To miał być komplement - wyjaśniła Serena, wręczając Gennie kryształowy kieliszek z wermutem.

- Już mi to mówiono. - Gennie zerknęła na Granta znad krawędzi kieliszka. - Jeden z moich przodków poznał kiedyś Cygankę. W rezultacie urodziły się bliźnięta.

- Gennie miała też w rodzinie pirata - wtrącił Justin. Daniel z aprobatą skinął głową.

- Mocna krew. A Campbellom przyda się wszelka pomoc.

- Radzę uważać - ostrzegła go Shelby, kiedy Grant obrzucił go groźnym spojrzeniem.

W rozmowie padały aluzje trudne do zrozumienia dla kogoś, kto przebywał w tym towarzystwie pierwszy raz, jednak Gennie z grubsza wszystko rozumiała. Daniel MacGregor stara się zaaranżować zaręczyny, pomyślała, tłumiąc uśmiech. Na widok chmurnego spojrzenia Granta jeszcze trudniej było jej zachować powagę.

- Rodzina Grandeau ma także wśród swoich przodków ulubioną kurtyzanę Filipa IV Pięknego - wyznała i pochwyciła pełne podziwu, choć rozbawione spojrzenie Shelby. W tej krótkiej chwili nawiązała się między nimi nić porozumienia.

Alan bawił się doskonale pełną niedomówień rozmową, ale sam pamiętał, jak to było, gdy znajdował się w sytuacji takiej jak teraz Grant.

- Ciekawe, co zatrzymało Caine'a - zapytał niedbale, wiedząc, że ten problem przyciągnie uwagę jego ojca.

- Ha! - Daniel wypił resztę whisky jednym haustem. - Ten chłopak tak się skupia na prawniczych sprawach, że nie ma nawet czasu pomyśleć o matce.

Na wzmiankę o żonie Daniela, Gennie uniosła pytająco brwi.

- Mama nie wróciła jeszcze ze szpitala - wyjaśniła Serena z uśmiechem i usadowiła się wygodniej na kanapie. - Na pewno będzie zrozpaczona, kiedy wróci do domu przed Cainem.

- Zamartwia się o swoje dzieci - wtrącił Daniel, pociągając nosem. - Usiłuję jej tłumaczyć, że mają własne życie, ale matka to matka.

Serena wzniosła oczy do nieba i wymamrotała coś pod nosem. Daniel jednak to usłyszał i poczerwieniał na twarzy. Już miał odpowiedzieć, kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

- Ja otworzę - zaproponował Alan. Chciał uprzedzić Caine'a o nastroju ojca.

Grant postanowił pośpieszyć Caine'owi z pomocą i poprawić humor Daniela.

- Gennie jest zachwycona domem - zaczął śmiało. - Ma nadzieję, że będzie mogła go namalować.

Daniel zareagował natychmiast. Aż pojaśniał z dumy, podobnie jak na widok wnuka.

Obraz przedstawiający fortecę MacGregorów pędzla Genvieve Grandeau stanowił nie lada gratkę. Wiedział, jaka byłaby wartość takiego płótna, nie mówiąc już o prestiżu, jaki zyskałby jego dom. No i taki obraz można by z dumą przekazać wnukom.

- Porozmawiamy - oznajmił zdecydowanie. W tej samej chwili ostatni z MacGregorów weszli do sali. Daniel spojrzał na wchodzących. - Ha! - zagrzmiął.

Gennie zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę, o inteligentnej, nieco drapieżnej twarzy i towarzyszącą mu żonę, siostrę Justina.

Zerknąwszy na kuzyna, Gennie stwierdziła, że przygląda się siostrze ze zmarszczonymi brwiami. Od razu zrozumiała dlaczego. Caine i Diana wnieśli ze sobą fizycznie niemal wyczuwalne napięcie.

- Nie mogliśmy się wyrwać z Bostonu - wyjaśnił Caine lekkim tonem. Nic sobie nie robiąc z groźnej miny ojca, poszedł zobaczyć siostrzeńca. Jego twarde rysy złagodniały, kiedy spojrzał na siostrę. - Świetnie się spisałaś, Reno.

- Mógłbyś zadzwonić i powiedzieć, że masz zamiar się spóźnić - upomniał go Daniel.  
- Twoja matka nie martwiłaby się tak o ciebie.

Caine rozejrzał się wokół i nie dostrzegłszy nigdzie matki, uniosł ironicznie brwi.

- Jasne, przepraszam.

- To moja wina - odezwała się Diana niskim głosem.

- Przedłużyło mi się spotkanie.

- Pamiętasz Granta? - wtrąciła Serena, w nadziei, że rozładuje atmosferę.

- Tak, naturalnie. - Diana zdobyła się na uśmiech, który jednak nie rozjaśnił jej wielkich, ciemnych oczu.

- A to jego gość - ciągnęła Serena. Żałowała, że nie może przez chwilę porozmawiać z Dianą na osobności. - Okazało się, że jest twoją kuzynką. To Genvieve Grandeau.

Diana natychmiast zeszytniała. Z chłodną, pozbawioną wyrazu twarzą spojrzała na Gennie.

- Kuzynka? - powtórzył zaciekawiony Caine i stanął obok żony.

- Tak - odezwała się Gennie. Nie rozumiała, dlaczego rozmowa tak się nie klei. - Kiedyś się spotkałyśmy, w dzieciństwie - przypomniała sobie, posyłając Dianie uśmiech.

- To było, zdaje się, jakieś przyjęcie urodzinowe. Moja rodzina przyjechała akurat z wizytą do Bostonu.

- Pamiętam - odparła cicho Diana.

Gennie wyteżyła pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć, co takiego zrobiła na tym nic nie znaczącym przyjęciu, czym zasłużyłaby sobie na takie chłodne spojrzenia. Zareagowała instynktownie. Odchyliła głowę nieco w tył uniosła brwi. Z godnością królowej sączyła swoje wino.

- Świat jest taki mały, jak już dziś powiedziała Shelby - stwierdziła beznamiętnie.

Caine znał tę minę żony i chociaż nie lubił, kiedy przybierała, objął Dianę ramieniem dla dodania jej otuchy.

- Witaj, kuzynko - powiedział do Gennie, uśmiechali się do niej niespodziewanie serdecznie. Potem z błysku rozbawienia w oku zwrócił się do Granta - Chętnie z tobą rozmawiam o żabach.

Grant odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Kiedy tylko zechcesz.

Zanim Gennie zdążyła się zastanowić, co to wszystko oznacza i dlaczego reszta towarzystwa wybuchnęła śmiechem do pokoju weszła drobna, ciemnowłosa kobieta. Gennie natychmiast wyczuła, że to ona rządziła w tym domu. emanowała z niej siła i powaga. Wyglądała godnie i pięknie, chociaż kostium miała wygnieciony, a włosy w lekkim nieładzie.



- Tak się cieszę, że do nas przyjechałaś - powitała nie, kiedy je sobie przedstawiono. Jej dłonie były drobne i zręczne oraz, jak się Gennie; przekonała, bardzo chłodno.

- Przepraszam, że mnie tu nie było, kiedy dotarliście na miejsce, ale zatrzymano mnie w szpitalu.

Anna MacGregor straciła pacjenta. Gennie odgadła instynktownie. Odruchowo położyła na ich splecionych (liniach lewą rękę.

- Ma pani wspinałą rodzinę, pani MacGregor. I ślicznego wnuka.

Anna westchnęła lekko, ledwo dosłyszalnie. Dziękuję. - Przelotnie pocałowała męża w policzek, a on pogładził ją, po głowie. - Siadajmy do kolacji - zachęcił. - Pewnie wszyscy umieracie z głodu. Potem wzięła Granta za rękę i pomaszrowali do jadalni. Zapowiadał się interesujący weekend.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Było już późno, kiedy Gennie weszła do wielkiej wanny i zanurzyła się w ciepłej, pachnącej wodzie. MacGregorowie, od Daniela do małego Maca, nie mieli w zwyczaju wcześniej udawać się na spoczynek. Polubiła ich niemal od pierwszej chwili. Wszyscy, z wyjątkiem Diany, bez najmniejszego wahania przyjęli ją do rodziny.

Gennie namydliła się starannie. Na myśl o Dianie zmarszczyła brwi. Może Diana Blade MacGregor zawsze zachowywała się z taką rezerwą? A może z powodu kłopotów małżeńskich Diana okazała jej taki chłód? Nie trzeba było psychologa, żeby dostrzec napięcie między Cainem a jego żoną. Gennie czuła jednak, że kryje się za tym coś bardziej osobistego.

Diana wysłała jej jasny i wyraźny sygnał, żeby zostawiła ją w spokoju. Gennie usłuchała go. Nie każdy miał przyjacielskie podejście do ludzi, no i przecież nie wszyscy musieli ją lubić od pierwszego wejrzenia. Mimo to niepokoiło ją, że Diana zachowała wobec niej chłodny dystans.

Otrząsnęła się z zamyślenia i wyciągnęła z wanny korek na staromodnym łańcuszku. Jutro spędzi więcej czasu ze swoją nową rodziną i wykona kilka szkiców domu MacGregorów. Może wybierze się z Grantem na spacer po skałach albo wykąpie w basenie, który podobno znajdował się na końcu któregoś z długich korytarzy.

Jeszcze nigdy nie widziała Granta tak rozluźnionego. Chociaż pozostał tym samym zamkniętym w sobie, aroganckim mężczyzną, w którym się zakochała, to widać było, że świetnie czuje się w tłumie hałaśliwych MacGregorów.

Gennie usłyszała koniec rozmowy, jaką prowadził przy obiedzie z Alanem. Zaskoczyło ją, że rozmawiali o polityce, i to bardzo fachowo. Jeszcze bardziej zdumiał ją widok Granta, który podrzucał na kolanie dziecko Sereny, jednocześnie debatując z Cainem na temat jakiegoś kontrowersyjnego procesu, który właśnie się toczył w bostońskim sądzie. Potem wciągnął Shelby w ożywioną dyskusję na temat wpływu popołudniowych oper mydlanych na przemiany społeczne.

Gennie wycierała się do sucha, potrząsając głową. Dlaczego człowiek o tak wielu zainteresowaniach i wyrobionych opiniach żył niczym pustelnik? Dlaczego ktoś, kto tak świetnie sobie radził w sytuacjach towarzyskich, odstraszał zabłąkanych turystów? Dziwne...

Włożyła krótki szlafroczek. Tak, wiedziała, że Grant jest skryty, ale to nie znaczy, że łatwo jej było to zaakceptować. Im więcej się o nim dowiadywała, tym bardziej chciała poznać wszystkie jego sekrety.

Cierpliwości, trochę więcej cierpliwości, upomniała się w duchu i przeszła do sypialni, wyklejonej piękną, starą tapetą. Stał tam szeroki tapczan, obity różowym jedwabiem, i toaletka ozdobiona rzeźbionymi cherubinkami. Na ścianach wisiały misterne, oprawione w ramki hafty, najwyraźniej wykonane ręką Anny.

Czując miłe zmęczenie, Gennie usiadła na obszytym falbanką stołku przed potrójnym lustrem toaletki i zaczęła szczotkować włosy.

Nie zauważyła, kiedy Grant otworzył drzwi. Ich oczy spotkały się w lustrze. Gennie uśmiechnęła się i ostatni raz przesunęła szczotkę po włosach.

- Pomyliłeś pokoje? - zapytała.

- Wręcz przeciwnie, trafiłem tam, gdzie chciałem. - Zamknął za sobą drzwi na zasuwkę.

- Czyżby? - Gennie uderzyła szczotką w dłoń i uniosła brew. - Wydawało mi się, że twoja sypialnia znajduje się na końcu korytarza.

- MacGregorowie zapomnieli czegoś tam umieścić. - Stał w miejscu, napawając się jej widokiem.

- Tak? A czego?

- Ciebie. - Podszedł do niej i wyjął jej szczotkę z dłoni. Zapach jej świeżo wykąpanego ciała rozchodził się po pokoju. Patrząc w lustrze w jej oczy, zaczął czesać jej włosy. - Takie miękkie - powiedział cicho. - Wszystko w tobie jest takie miękkie, że nie można ci się oprzeć.

Rozpalał jej namiętność swoim pożądaniem, ale kiedy dotykał jej czule, stawała się wobec niego całkowicie bezbronna. Oczy jej się rozszerzyły i zaszły mgłą.

- A chciałbyś mi się oprzeć? - zapytała.

Z leniwym uśmiechem na twarzy nadal przesuwał szczotkę po jej włosach długimi, spokojnymi ruchami.

- To by się na nic nie zdało, a zresztą wcale nie chcę ci się opierać, Genvieve. Chciałbym natomiast dotykać cię i pieścić, aż wszystko inne przestałoby istnieć. Nie jesteś moją pierwszą obsesją - wyszeptał z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale jedyną, która ogarnęła mnie aż tak mocno. Kochałem się z innymi kobietami. - Odłożył szczotkę i zatopił dłonie w jej włosach. - Ale tylko ciebie pokochałem. Wiedziała, że mówi prawdę. Wstała i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Dzisiaj to ja będę cię kochać - wyszeptała. - Pozwól mi spróbować.

Ta cicha, słodka prośba poruszyła go bardziej, niż wydawało mu się to możliwe. Kiedy jednak wyciągnął ku Gennie ramiona, oparła mu dłonie na piersi.

- Nie. - Przesunęła ręce na jego szyję. - Pozwól mi.

Zaczęła z wolna i ostrożnie rozpinąć jego koszulę. Patrzyła na niego śmiało, a jej palce poruszały się zręcznie, wiedziała jednak, że będzie mogła polegać wyłącznie na instynkcie i na tym, czego nauczył ją Grant. Czy z mężczyzną należy kochać się tak, jak by się chciało być kochaną przez niego, zastanowiła się. Postanowiła to sprawdzić. Wolnym ruchem zsunęła mu koszulę z ramion.

Był szczupły, niemal za szczupły, ale skórę miał gładką i zdrową. Już zaczynała reagować na jej dotyk. Gennie przywarła ustami do jego serca i wyczuła szybkie, nierówne bicie. Wysunęła lekko język i przesunęła nim po jego piersi. Usłyszała, jak Grant gwałtownie wciąga powietrze.

- Gennie...

- Nie. Jeszcze przez chwilę chcę cię po prostu dotykać. - Obsypała drobnymi pocałunkami jego pierś i słuchała uderzeń coraz szybciej bijącego serca.

Grant zamknął oczy, rozkoszując się jej lekkimi, wilgotnymi pocałunkami. Walczył ze sobą, żeby nie zaciągnąć jej natychmiast do łóżka lub nie rzucić na podłogę. Gennie najwyraźniej oczekiwała do niego większej samokontroli. Jej dociekliwe palce badały jego ciało, znajdując wrażliwe punkty, których nawet on sam nie był wcześniej świadom. Cały czas coś szeptała, wzdychała, obiecywała. Czyżby chciała go doprowadzić do utraty zmysłów?

Kiedy powiodła palcami do guzika jego dzinsów, mięśnie na brzuchu Granta zadrżały. Usłyszała jego jęk. Gdy rozpiniała jego spodnie, w gardle czuła suchość, dłonie jej zwilgotniały.

Wolno dotknęła jego męskości i poczuła, jak jego ciało przebiega konwulsyjny dreszcz. Jest taki silny, pewny siebie, a potrafię doprowadzić go do drżenia, pomyślała zdziwiona.

- Połóż się ze mną - wyszeptała. Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w pociemniałe z pożądania oczy. Wpił się łapczywie ustami w jej usta. Zaczynało kręcić jej się w głowie, ale nadal miała świadomość swojej władzy. Wiedziała, czego od niej chce, i zamierzała mu to dać. Zamierzała mu dać o wiele więcej.

Ujęła jego twarz w dłonie i odsunęła go od siebie. Poczuła na policzkach nierówny oddech Granta.

- Połóż się ze mną - powtórzyła i podeszła do łóżka. Zaczekała na niego, a potem pchnęła na posłanie i uklękła obok. - Uwielbiam na ciebie patrzeć. - Odsunęła mu włosy z czoła i zaczęła go całować.

Błądziła leniwie ustami po całym jego ciele, doprowadzając go do szaleństwa. Czuł jedwabistą gładkość jej warg. Skóra mu zwilgotniała od lekkich dotknięć jej języka i własnego narastającego pragnienia. Otaczał go jej zapach. Położyła się na nim. Badała ustami i zębami jego szyję. Chciał wypowiedzieć jej imię, ale z gardła wyrwał mu się tylko jęk.

Zsuwała się coraz niżej, smakując każdy centymetr skóry. Wydawało się, że Grant już nie oddycha, jedynie cicho jęczy. Nie była świadoma, że ona również raz po raz wzdychała z rozkoszy. Nawet nie czuła, kiedy zdjął z niej szlafrok. Jego ciepłe, niecierpliwe dłonie zaczęły błądzić po jej ramionach i piersiach.

Nie wiedziała, ile czasu minęło. Żadne z nich nie słyszało zegara wybijającego godziny gdzieś w głębi domu. Ich oddechy rwały się, usta zmagaly w słodkiej walce.

Grant wyszeptał coś do niej, z ustami na jej ustach. Zabrzmiało to jak prośba. Chwyił ją za biodra, jakby miał runąć w przepaść.

Gennie osunęła się niżej i przyjęła go do siebie. Przeszył ją tak dojmujący dreszcz, że gwałtownie chwyciła powietrze. Zadrzała, natychmiast wspinając się na szczyty namiętności. Desperacko przywarła do Granta.

Chciał jeszcze przedłużyć chwilę spełnienia, ale kiedy Gennie opadła na niego w zapamiętaniu, było już za późno. Odebrała mu rozum. Z głuchym jękiem rzucił ją na plecy i posiadał z szaleńczą energią. Po chwili podążył za nią.

Nazajutrz wstał piękny dzień. Powietrze było kryształowo przejrzyste, wiał lekki wiatr, a słońce świeciło jasno.

Gennie niewiele zjadła na śniadanie, które podano niezobowiązująco przy wielkim stole, za którym goście zasiadali o dogodnej im porze. Grant natomiast jadł za nich dwoje. Potem gdzieś odszedł, wspominając coś o partyjce pokera, a Gennie mogła poświęcić się szkicowaniu. Nie dane jej jednak było pracować w samotności.

Najpierw chciała narysować dom od frontu, jak go ujrzała pierwszy raz. Jego widok z tej strony napawał trwogą. Miała wrażenie, że Daniel specjalnie tak go zaplanował.

Minęła kolczaste krzewy róż i usiadła na trawie pod rozłożystym kasztanowcem. Panującą wokół ciszę przerywał tylko krzyk mew, śpiew ptaków i szum fal, uderzających o skały.

Zaczęła szkicować, stawiając grube, śmiałe linie. Nie mogła się jednak oprzeć i już po chwili przystąpiła do rysowania szczegółów i subtelnych cieni. Minęło prawie pół godziny, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Shelby wyszła przez boczne drzwi, kiedy Gennie wpatrywała się w wieżę, i teraz zmierzała w jej kierunku.

- Cześć. Nie przeszkadzam ci?

- Nie. - Gennie uśmiechnęła się i położyła szkicownik na kolanach. - Jeśli ktoś mnie nie powstrzyma, spędzę tu na szkicowaniu kilka dni bez przerwy.

- Niesamowity dom, prawda? - Z gracją, która przywodziła Gennie na myśl Granta, Shelby usiadła obok. Przyjrzała się szkicowi. - No, tak - stwierdziła z aprobatą. Ona również pomyślała o Grancie. W dzieciństwie często wpadała w złość, że nie potrafiła tak ładnie rysować jak on. Kiedy dorośli, zazdrość zamieniła się w dumę. - Macie z Grantem wiele wspólnego.

Zadowolona z tego stwierdzenia Gennie zerknęła na swój rysunek.

- Grant ma całkiem spory talent, prawda? Co prawda, widziałam tylko narysowaną naprędce karykaturę, ale to się od razu widzi. Ciekawa jestem... dlaczego nie wykorzystuje swoich zdolności?

Obie wiedziały, że Gennie usiłuje się czegoś dowiedzieć.

Shelby domyśliła się również, że Grant jeszcze nie powiedział wszystkiego kobiecie, którą bez wątplenia kochał i która darzyła go równie gorącym uczuciem. Przez chwilę zniecierpliwienie walczyło w Shelby o lepsze z lojalnością. Lojalność jednak przeważała.

- Grant żyje według własnych reguł - stwierdziła enigmatycznie. - Długo się znacie?

- Nie bardzo. Zaledwie dwa tygodnie. - Gennie bezwiednie zerwała źdźbło trawy i obracała je w palcach. - Podczas burzy popsuł mi się samochód, niedaleko od jego latarni. - Roześmiała się na wspomnienie jego gniewnej twarzy, kiedy otworzył jej drzwi. - Nie był zbyt szczęśliwy, kiedy stanęłam na jego progu.

- Chcesz powiedzieć, że zachował się niegrzecznie, gburowato i w ogóle był niemożliwy - domyśliła się Shelby z uśmiechem.

- Łagodnie powiedziane.

- Nigdy się nie zmieni. Od razu widać, że oszalał na twoim punkcie.

- Nie wiem, kogo to bardziej zaskoczyło, jego czy mnie. Shelby... - Nie chciała wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale musiała dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby jej lepiej zrozumieć Granta. - Jaki on był jako dziecko?

Shelby zapatrzyła się w przepływające nad nimi obłoki.

- Grant zawsze chodził własnymi drogami. Czasami, kiedy nie dawałam mu spokoju, tolerował moje towarzystwo. Zawsze lubił ludzi, chociaż widzi ich jakby w krzywym zwierciadle. Taki już jest - dokończyła, wzruszając ramionami.

Wróciła wspomnieniem do ich dzieciństwa, upływającego w rytmie kampanii wyborczych, na oczach wścibskich dziennikarzy, w stałej obecności agentów ochrony.

Wiedziała, że wraz z Alanem znów wejdzie do tego samego świata. Z cichym westchnieniem, które zaintrygowało Gennie, odchyliła się i wsparła na łokciach.

- Grant ma wybuchowy charakter, zdecydowane opinie o tym, co jest złe, a co dobre, zarówno jeśli chodzi o niego samego, jak i całe społeczeństwo. Można jednak powiedzieć, że na ogół był dobrym, miłym starszym bratem - ciągnęła. Zmarszczyła brwi. Gennie przyglądała jej się uważnie. - Potrafi być dobry i kochający, ale rzadko to okazuje i robi to na swój sposób. Nie lubi być od kogokolwiek zależny. - Zawahała się. Spojrzała na spokojną twarz Gennie, na jej pełne wyrazu oczy i poczuła, że musi jednak coś jej wyjaśnić. - Straciliśmy ojca. Oboje byliśmy obecni przy jego śmierci. Grant miał wtedy siedemnaście lat. To zdarzenie go załamało.

Gennie zamknęła oczy. Myślała o Grancie i o Angeli. Doskonale rozumiała, co wtedy czuł. Poczucie winy, rozpacz i szok, który nigdy całkiem nie przemija.

- Jak zginął wasz ojciec? - zapytała.

- Grant sam powinien ci o tym opowiedzieć - odparła cicho Shelby.

- Tak, powinien. - Gennie otworzyła oczy.

Shelby dotknęła jej ramienia, żeby zmienić nastrój i odpędzić złe wspomnienia.

- Jesteś stworzona dla niego. Od razu to zauważyłam. Czy potrafisz być cierpliwa?

- Sama już nie wiem.

- Nie bądź zbyt cierpliwa - poradziła jej z uśmiechem.

- Grantowi trzeba czasem wymierzyć solidnego kuksańca. Wiesz, kiedy poznałam Alana, zdecydowałam, że nie chcę mieć z takim mężczyzną nic do czynienia.

- To brzmi całkiem znajomo. Shelby prychnęła z rozbawieniem.

- A on pragnął czegoś wręcz przeciwnego. Był cierpliwy, ale... - uśmiechnęła się na wspomnienie minionych dni - ale nie przesadnie cierpliwy. A ja nie mam nawet w połowie tak trudnego charakteru jak Grant.

Gennie roześmiała się. Nagle na czystej kartce zaczęła szkicować Shelby.

- Jak poznałaś Alana?

- Och, na przyjęciu w Waszyngtonie.

- Stamtąd pochodzisz?

- Mieszkam w Georgetown. Mieszkamy w Georgetown - poprawiła się. - Mam tam też swój warsztat.

Gennie uniosła brew, szkicując subtelny zarys nosa Shelby.

- Co to za warsztat? - zaciekawiała się.

- Zajmuję się ceramiką.

- Naprawdę? - Zaintrygowana Gennie odłożyła szkicownik. - Wytwarzasz z gliny własne wyroby? Grant nigdy mi o tym nie wspominał.

- Rzadko o tym mówi - odparła krótko.

- W jego sypialni stoi misa - przypomniała sobie Gennie. - Ozdobiona wzorem z dzikich kwiatów. Czy to twoje dzieło?

- Dałam mu ją w prezencie świątecznym kilka lat temu. Nie wiedziałam, co z nią zrobił.

- Pięknie układa się na niej światło - powiedziała Gennie. Zauważyła, że Shelby jest przyjemnie zaskoczona wiadomością o losach swojego prezentu. - To jedna z niewielu rzeczy w latarni, z której chce mu się ścierać kurz.

- Mój brat to bałaganiarz - z sympatią w głosie stwierdziła Shelby. - Chcesz go zmienić?

- Niekoniecznie.

- Cieszę się. Bardzo bym nie chciała, żeby się o tym dowiedział, ale lubię go takim, jaki jest. - Uniosła w górę ramiona. - Zamierzam teraz przegrać kilka dolarów z Justinem. Grałaś z nim kiedyś w karty?

- Tylko raz - odparła ze śmiechem. - I to mi wystarczyło.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - Mrugnęła i podniosła się. - Ale ja zwykle odgrywam się na Danielu, bo blefuję lepiej niż on. W sumie wychodzę na swoje.

Odeszła z promiennym uśmiechem. Gennie w zamyśleniu spoglądała na szkic i porządkowała sobie nowe informacje o Grancie, które przekazała jej Shelby.

- To ona ma twarz jak żaba? - zapytał Caine, kiedy spotkał Granta w korytarzu.

- Piękno jest w oku patrzącego - odparował beztrąsko Grant.

Caine uśmiechnął się z aprobatą i oparł o ścianę.

- Wprawiłeś ojca w wielkie zdenerwowanie. Dzwonił do nas wszystkich po kolei i opowiadał, że Campbell wpadł w tarapaty, a naszym obowiązkiem, jako rodziny, jest udzielenie mu wszelkiej możliwej pomocy. - Jego uśmiech stał się trochę drapieżny. - Zdaje mi się jednak, że sam nieźle dajesz sobie radę.

Grant skinął głową.

- Podczas mojej ostatniej wizyty próbował mnie wyswatać z jakąś panną Judson. Tym razem nie chciałem ryzykować.

- Tata jest zwolennikiem małżeństwa i prokreacji. - Caine przestał się uśmiechać, kiedy pomyślał o swojej żonie. - To zabawne, że Gennie okazała się kuzynką Diany.



- Zbieg okoliczności - wymamrotał Grant, dostrzegając nagłą zmianę nastroju Caine'a.  
- Nie widziałem dzisiaj Diany.

- Ani ja - odparł cierpko Caine i wzruszył ramionami. - Posprzeczaaliśmy się o sprawę, którą zamierza przyjąć. - Przez jego twarz przebiegł cień smutku. - Trudno jest, kiedy mąż i żona uprawiają ten sam zawód. Zwłaszcza jeśli mają na to podobne poglądy.

Grant pomyślał o sobie i Gennie. Czy dwoje ludzi mogło spoglądać na sztukę z bardziej odległych pozycji?

- Wierzę ci. Odniosłem wrażenie, że nie ucieszył jej widok Gennie.

- Diana miała trudne dzieciństwo. - Caine wsunął rękę do kieszeni i w zamyśleniu zapatrzył się w przestrzeń. - Wciąż nie może się z tym pogodzić. Przykro mi.

- Nie musisz mnie przeproszać. A Gennie też potrafi uporać się z tym problemem.

- Lepiej będzie, jeśli poszukam Diany. - Nagle uśmiechnął się i skinął głową w stronę wieży. - Justinowi dopisuje dzisiaj szczęście w kartach. Masz ochotę zaryzykować?

Diana spacerowała wokół domu. Dopiero kiedy znalazła się w ogrodzie, zauważyła Gennie. W pierwszym odruchu chciała zawrócić i uciec, ale Gennie już ją dostrzegła. Ich oczy się spotkały. Diana sztywno podeszła bliżej, ale w przeciwieństwie do Shelby nie usiadła na trawie.

- Dzień dobry - chłodno odezwała się na powitanie. Gennie zmierzyła ją obojętnym spojrzeniem.

- Dzień dobry. Te róże są piękne, prawda?

- Owszem. Ale niedługo zwiędną. - Diana wsunęła dłonie w głębokie kieszenie luźnych, szmaragdowych spodni.

- Widzę, że masz zamiar namalować dom.

- Tak. - Kierowana impulsem Gennie wyciągnęła ku niej szkic. - Co o tym myślisz?

Diana przyjrzała mu się i dostrzegła, że oddawał wszystko to, co przy pierwszym spojrzeniu urzekło ją w tym domu. Rysunek ją poruszył i w pewien sposób połączył z Gennie, a tego wcale nie pragnęła.

- Masz wielki talent - mruknęła pod nosem. - Ciotka Adelajda wyśpiewywała hymny pochwalne na twoją cześć.

Gennie mimowolnie się roześmiała.

- Ciotka Adelajda nie odróżniłaby Rubensa od Rembrandta, tylko jej się wydaje, że zna się na sztuce. - Miała ochotę odgryźć sobie język. Przypomniała sobie, że Dianę wychowała Adelajda. Nie miała prawa wypowiadać się lekceważąco o kobiecie, którą Diana być może lubiła i ceniła.

- Widziałaś się z nią ostatnio?

- Nie - odparła bezbarwnym tonem i oddała szkic.

Zirytowana Gennie osłoniła oczy przed słońcem i przyjrzała się Dianie z uwagą. Niedbale odwróciła kartkę i zaczęła ją szkicować, jak przedtem Shelby.

- Nie lubisz mnie - zauważyła mimochodem.

- Przecież prawie cię nie znam - odparowała chłodno Diana.

- To prawda, przez co twoje zachowanie jeszcze bardziej mnie dziwi. Spodziewałam się, że będziesz bardziej podobna do Justina.

Diana spojrzała z wściekłością na Gennie. Te beztrzesko wypowiedziane słowa zapiekły ją do żywego.

- Różnimy się od siebie, ponieważ nasze losy układały się zupełnie inaczej. - Odwróciła się na pięcie i szybko poszła przed siebie. Po trzech krokach zatrzymała się. Zachowuje się jak jędra, skarciła się w duchu. Przyłożyła rękę do brzucha. Po chwili wyprostowała się i zawróciła. - Przepraszam, że zachowałam się szorstko tylko dlatego, że Justin cię lubi.

- Och, dziękuję bardzo za przeprosiny - odrzekła cierpko Gennie, chociaż na widok walki, jaką Diana prowadziła sama ze sobą, obudziło się w niej współczucie i zrozumienie. - A może mi powiesz, dlaczego ci się wydaje, że lepiej będzie, jeśli potraktujesz mnie z góry?

- Po prostu źle się czuję w towarzystwie członków rodziny z gałęzi Grandeau.

- To bardzo wąskie spojrzenie, jak na adwokata - podsumowała Gennie. - Przecież spotkałyśmy się tylko raz. Miałyśmy wtedy... Ile? Osiem, dziesięć lat?

- Tak świetnie pasowałaś do tego towarzystwa - wyrwało się Dianie, zanim zdążyła się powstrzymać. - Adelajda powtarzała mi chyba z tysiąc razy, że mam ci się przyglądać i naśladować twoje zachowanie.

- Adelajda zawsze była niemądrą, nadętą babą - zauważyła Gennie.

Diana spojrzała na nią zdziwiona. Tak, ona też tak myślała, przynajmniej teraz, ale nigdy by nie przypuszczała, że ktoś z tamtej części rodziny podziela jej zdanie.

- Wszystkich tam znałaś - ciągnęła Diana, chociaż zaczynała się czuć trochę głupio. - Miałaś włosy związane wstążką dokładnie w kolorze sukienki. Pamiętam, że była to zielona organdyna. Ja nawet wtedy nie wiedziałam, co to jest organdyna.

Gennie wstała, ogarnięta natychmiastowym i szczerym współczuciem. Nie objęła jednak Diany, jeszcze było na to za wcześnie.

- Słyszałam, że masz w sobie krew Komanczów. Przez całe to głupie przyjęcie czekałam, kiedy zatańczysz taniec wojenny. Strasznie się rozczarowałam, kiedy nic takiego nie nastąpiło.

Diana patrzyła na nią w osłupieniu. Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Ostatnio dziwnie często jej się to zdarzało. Tym razem jednak ze zdumieniem stwierdziła, że się śmieje.

- Żałuję, że wtedy nie wiedziałam, jak się tańczy taniec wojenny. Gdybym miała więcej odwagi, pewnie bym go odtańczyła. Ciotka Adelajda chyba by zemdląła. - Znieruchomiała na chwilę, a potem wyciągnęła rękę do Gennie. - Cieszę się, że cię znowu spotkałam, kuzynko.

Gennie przyjęła wyciągniętą dłoń, a potem pocałowała Dianę w policzek.

- Może, jeśli dasz nam szansę, przekonasz się, że niektórzy z rodziny Grandeau to sympatyczni ludzie, nawet trochę podobni do MacGregorów.

Diana uśmiechnęła się. Poczucie przynależności do rodziny zawsze sprawiało jej przyjemność.

- Być może - zgodziła się.

Nagle jej uśmiech zbladł. Gennie podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła Caine'a, stojącego między krzakami róż.

Napięcie szybko wróciło, chociaż tym razem nie miało nic wspólnego z jej osobą.

- Muszę naszkicować dom z innej perspektywy - oznajmiła lekkim tonem.

Caine zaczekał, aż Gennie się oddali, a potem podszedł do żony.

- Wcześniej dziś wstałaś - powiedział, przyglądając się jej uważnie. - Masz taką zmęczoną twarz.

- Nic mi nie jest - odrzekła trochę zbyt pośpiesznie. - Przestań się o mnie martwić - nakazała i odwróciła się od niego.

Zirytowany Caine chwycił ją za ramię.

- Do diabła, widzę, że gryziesz się tą sprawą i...

- Przestań wreszcie o tym mówić! - krzyknęła. - Wiem, co robię.

- Może - powiedział z nienaturalnym spokojem. - Chodzi o to, że jeszcze nigdy nie zajmowałaś się morderstwem pierwszego stopnia. Linia oskarżenia przebiega wręcz według książkowych reguł.

- Żałuję, że nie masz większego zaufania do moich umiejętności.

- Nie o to chodzi. - Rozwścieczony chwycił ją za ramiona i potrząsnął. - Wiesz, że chodzi o coś zupełnie innego. - W jego głosie słysząc teraz było bardziej ból niż złość.

Badawczo patrzył na jej twarz, jakby chciał z niej wyczytać, co przed nim ukrywa. - Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. Dlaczego się ode mnie odsuwasz, Diano? Chcę wiedzieć, o co ci chodzi. Co się z tobą, u diabła, dzieje?

- Jestem w ciąży! - krzyknęła i natychmiast nakryła usta dłonią.

Oszołomiony wypuścił ją z uścisku.

- W ciąży? - Po pierwszym zaskoczeniu poczuł falę radości, tak wielką i oszalamiającą, że przez chwilę nie mógł się ruszać. - Diano. - Wyciągnął do niej dłoń, ale ona się cofnęła. Radość zabarwiła się bólem. Zdecydowanym ruchem włożył ręce do kieszeni. - Jak długo o tym wiesz?

Przełknęła ślinę.

- Od dwóch tygodni. - Starła się opanować drzenie głosu. Tym razem on odwrócił się gwałtownie i niewidzącym wzrokiem spoglądał na dzikie róże.

- Od dwóch tygodni - powtórzył. - I nie uznałaś za konieczne mnie o tym powiadomić?

- Nie wiedziałam, co zrobić! - Te słowa wyrwały jej się same. - Nic jeszcze nie planowaliśmy... Myślałam, że to jakaś pomyłka, ale... - Zamilkła bezradnie.

Nadal stał odwrócony do niej plecami.

- Byłaś u lekarza?

- Tak, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył i roześmiał się ponuro. - Który to miesiąc?

Zwilżyła wargi.

- Drugi.

Drugi miesiąc, pomyślał Caine. Od dwóch miesięcy rośnie i rozwija się jej dziecko, a on nic o tym nie wie.

- Podjęłaś jakąś decyzję?

Decyzję? W głowie jej zahuczało. A jaką decyzję mogła podjąć?

- Nie wiem! - Wzruszyła ramionami. - Jaką będę matką? - zapytała. Wątpliwości same cisnęły jej się na usta. - Nic nie wiem o dzieciach. Sama prawie nie byłam dzieckiem.

Przeszył go ból, ostry i realny. Z wysiłkiem odwrócił się do żony.

- Diano, czy to znaczy, że nie chcesz tego dziecka? Nie chce dziecka? Jak to, myślała oszołomiona. Przecież to dziecko już istniało, prawie czuła je w ramionach. Jego słowa śmiertelnie ją wystraszyły.

- Jak mogłabym nie chcieć czegoś, co jest częścią nas obojga? - powiedziała drżącym głosem. - Przecież to twoje dziecko. Noszę w sobie twoje dziecko i już tak bardzo je kocham, że aż mnie to przeraża.

- Och, Diano. - Czule objął jej twarz. - Mogłaś mi to powiedzieć dwa tygodnie temu. Wtedy razem bylibyśmy przerażeni.

Westchnęła przeciągle. Caine przerażony? Nigdy niczego się nie bał.

- Naprawdę też jesteś przerażony?

- Tak. - Scałował łzę z jej policzka. - Jestem. Kilka miesięcy przed urodzeniem Maca Justin opowiadał Alanowi i mnie, jak się czuje jako przyszły ojciec. - Uniósł jej rękę do ust i ucałował. - Teraz sam to wiem.

- Czułam się jak schwytaną w pułapkę. - Zaciśnęła palce na jego rękach. - Tak bardzo chciałam ci powiedzieć, ale nie byłam pewna, jak zareagujesz. To stało się tak szybko, jeszcze nie skończyliśmy urządzać domu, więc... Po prostu nie byłam pewna.

Położył ich złączone dłonie na jej brzuchu.

- Kocham cię - wyszeptał. - Kocham was oboje.

- Muszę się tyle nauczyć, a zostało mi zaledwie siedem miesięcy.

- Oboje musimy się wiele nauczyć - poprawił ją. - Chodźmy na górę. - Zatopił twarz w jej włosach. - Przyszłe matki powinny dużo czasu spędzać w łóżku. - Uśmiechnął się do niej znacząco.

- Z przyszłymi ojcami - zgodziła się ze śmiechem, a on chwycił ją w ramiona. Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Będzie miała wspaniałą rodzinę.

Gennie patrzyła z daleka, jak znikają we wnętrzu domu. Cokolwiek między nimi było, skończyło się dobrze.

- Co za ulga - rozległo się tuż za nią.

Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła Serenę i Justina. Serena niosła dziecko w nosidełku przerzuconym przez pierś. Gennie nie mogła się powstrzymać i spojrzała na smacznie śpiącego Maca, przytulonego do matki.

- Serena nie mogła podejść wystarczająco blisko, żeby podsłuchać, co dręczy Dianę - odezwał się Justin.

- Wcale nie chciałam podsłuchiwać. Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy - oburzyła się Serena, a potem dodała ze śmiechem: - Przynajmniej nie robię tego zbyt często. Widzę, że narysowałaś dom. Można zobaczyć?

Posłusznie dała jej szkicownik. Serena przyglądała się rysunkowi, a tymczasem Justin wziął Gennie za rękę.

- Jak się czujesz?

Wiedziała, o co pyta. Ostatni raz widzieli się na pogrzebie jej siostry. Justin złożył jej wtedy krótką, dyskretną, ale bardzo dla niej ważną wizytę.

- Już lepiej - odpowiedziała. - Naprawdę. Na jakiś czas musiałam uciec od rodziny, od ich nieustannej troski. Bardzo mi to pomogło. - Pomyślała o Grancie i rozpogodziła się. - Wiele rzeczy mi pomogło.

- Kochasz go - raczej stwierdził, niż zapytał.

- I kto teraz wtrąca się w nie swoje sprawy? - odezwała się Serena.

- Wyraziłem tylko spostrzeżenie - bronił się Justin. - To zupełnie co innego. Czy jesteś z nim szczęśliwa? - zapytał i pociągnął żonę za włosy. - O, teraz to rzeczywiście wtrącam się w nie swoje sprawy.

Gennie roześmiała się i zatknęła ołówek za ucho.

- Tak, jestem z nim szczęśliwa, a jednocześnie nieszczęśliwa. Ale to chyba zwykle tak jest, prawda?

- O, tak. - Serena oparła głowę na piersi męża. W tej samej chwili zobaczyła Granta w drzwiach domu. - Gennie - zaczęła, kładąc jej rękę na ramieniu. - Jeśli Grant jest trochę zbyt powolny, jak większość mężczyzn... - dodała, znacząco zerkając na Justina - to mam pewną niezwykłą monetę, którą ci mogę pożyczyć. - Parsknęła śmiechem, kiedy Gennie spojrzała na nią pytająco. - Przy okazji ci to wyjaśnię.

Wzięła Justina pod ramię i razem odeszli. Gennie usłyszała jeszcze, że zamierzają sprawdzić, czy ktoś się kąpie w basenie. Justin powiedział coś cicho do żony, a ona roześmiała się niskim, przyjemnym tonem.

Rodzina, pomyślała z westchnieniem. To wspaniale napotkać na swojej drodze taką rodzinę. Wspólną rodzinę jej i Granta. Może to ich zbliży do siebie jeszcze o krok. Szczęśliwa pobiegła ku niemu.

Złapał ją, kiedy na oślep rzuciła mu się w ramiona. - Co to ma znaczyć? - zapytał zdziwiony.

- Kocham cię! - zawołała ze śmiechem. - Czy coś innego się liczy?

- Nie, nie liczy się nic innego - odrzekł, obejmując ją mocniej.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez życie Gennie zawsze przewijało się wiele osób z najróżniejszych środowisk. Nigdy jednak nie spotkała nikogo podobnego do członków klanu MacGregorów. Zanim weekend dobiegł końca, miała wrażenie, że zna ich od wielu lat. Daniel był hałaśliwy, porywczy i sprytny, ale miękki i uczuciowy, kiedy chodziło o rodzinę. Wszyscy uwielbiali go bezgranicznie i nawet pozwalali mu wierzyć, że to on kieruje ich życiem.

Anna była ciepła i spokojna jak letni deszcz. Gennie intuicyjnie wyczuwała w niej siłę, zdolną podtrzymać rodzinę w ciężkich chwilach. Ona, tak delikatna i cicha, potrafiła owinać sobie Daniela wokół palca. On zresztą doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Z drugiego pokolenia Caine i Serena byli do siebie najbardziej podobni. Zmienni w nastrojach, rozmowni, uczuciowi. Odziedziczyli temperament swoich rodziców.

Kiedy myślała o Alanie, doszła do wniosku, że pod jego poważną, spokojną powierzchownością, odziedziczoną po Annie, kryje się olbrzymia siła i wybuchowy temperament, który niekontrolowany może mu sprawiać wiele kłopotu. Shelby Campbell doskonale do niego pasowała.

Gennie bez większego trudu namówiła ich wszystkich, żeby pozwolili jej do szkicu rodzinnego portretu.

Co prawda zgodzili się szybko i bez oporu, ale trudno ich było odpowiednio ustawić. Gennie chciała ich sportretować w różnych pozach w sali tronowej, a to pociągnęło za sobą wiele dyskusji i zamieszania.

- Ja będę trzymał dziecko - oznajmił Daniel i potoczył wokół groźnym wzrokiem, na wypadek gdyby ktoś chciał mu się przeciwstawić. - W przyszłym roku namalujesz następny portret - zwrócił się do Gennie, nie słysząc żadnych sprzeciwów. - Będę wtedy trzymał dwoje dzieci. - Uśmiechnął się do Diany, a potem do Shelby. - A może troje.

- Powinnaś posadzić tatę na tronie... to znaczy na tym wysokim krześle - poprawił się szybko Alan i posłał Gennie uśmiech. - To by było bardzo znaczące.

- Właśnie. - Oczy jej się śmiały. - Obok usiadłaby Anna. Może na przykład z robótką w rękę. Wyglądałoby to tak naturalnie.

- Żony powinny siedzieć u stóp mężów - oznajmił głośno Caine. - To też wyglądałoby naturalnie.

Mężczyźni zgodnie wyrazili aprobatę dla tego pomysłu, a kobiety natychmiast odmówiły z oburzeniem.

- Wolalabym trochę was przemieszać, dla lepszej kompozycji - wyjaśniła Gennie z poważną miną i błyskiem rozbawienia w oku. Sprawnie i stanowczo, niczym sierżant prowadzący musztrę, rozstawiła ich tak, jak chciała.

- Alan tutaj... - Wzięła go za ramię i postawiła między krzesłami rodziców. - A tu Shelby... - Żona stanęła obok niego. - Caine, to ty usiądziesz na podłodze.. - Pociągnęła go za rękaw, a on z uśmiechem jej uległ. - A Diana... - Caine posadził sobie żonę na kolanach, zanim Gennie dokończyła zdanie. - Tak, dobry pomysł. Justin i Rena tam obok. I Grant...

- Ja nie jestem... - zaczął.

- Rób, co ci każe, chłopcze - zagrmiał Daniel, a potem zwrócił się do maleńkiego wnuka: - Ach, ci Campbellowie. Zawsze chcą namieszać.

Mrucząc coś pod nosem, Grant stanął za Danielem i spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi.

- Ładna historia. Campbell na rodzinnym portrecie MacGregorów - powiedział.

- Dwoje Campbellów - upomniała go radośnie siostra. - A jak uda się Gennie jednocześnie rysować i pozować do portretu?

Gennie spojrzała na nią zaskoczona.

- To zmyślna dziewczyna. Dorysuje siebie potem - zadudnił głos Daniela.

- Dobrze - zgodziła się, zadowolona, że włączono ją do rodziny. - Teraz możecie się rozluźnić, to nie potrwa zbyt długo. - Przysiadła na skraju kanapy i ułożywszy papier na małych, przenośnych sztalugach, zaczęła szkicować. - Jaka barwna grupa - stwierdziła, wyjmując z pudełka pastele. - Kiedyś będę musiała to namalować olejnymi farbami.

- Tak. Bardzo byśmy chcieli mieć taki obraz w galerii, prawda, Anno? Musi być duży. - Daniel uśmiechnął się na samą myśl o takim dziele. - Potem trzeba będzie namalować Alana, kiedy już przeniesie się do Białego Domu - dodał, wyraźnie zadowolony z siebie.

Alan posłał ojcu znaczące spojrzenie.

- Trochę jeszcze za wcześnie, żeby zamawiać taki portret. - Otoczył Shelby ramieniem.

- Zobaczymy! - Daniel połaskotał wnuka po policzku.

- Czy od dzieciństwa chciałaś malować, Gennie? - zapytała Anna, haftując kolejny wzór.

- Tak, chyba tak. A przynajmniej nie pamiętam, żebym kiedykolwiek chciała robić coś innego.

- Caine chciał zostać lekarzem - przypomniała sobie Serena z niewinnym uśmiechem. - W każdym razie tak mówił dziewczynkom.



- To chyba całkiem naturalne, jeśli ma się matkę lekarkę - bronił się Caine, trzymając w ciasnych objęciach żonę. Spojrzał ciepło na matkę.

- Grant miał inny sposób - odezwała się Shelby. - Miał chyba czternaście lat, kiedy namówił Dee - Dee O'Brian, żeby mu pozowała do aktu.

- Zrobiłem to wyłącznie dla sztuki - wyjaśnił Grant, kiedy Gennie krytycznie uniosła brew. - No i miałem piętnaście lat.

- Malowanie żywych modeli stanowi ważny element w rozwoju artysty - stwierdziła Gennie i wróciła do rysowania. - Pamiętam dobrze pewnego modela... - Urwała, czując na sobie chmurne spojrzenie Granta. - O, jak ładnie się wykrzywiłeś. Postaraj się nie zmieniać wyrazu twarzy.

- A więc rysujesz, chłopcze? - Daniel spojrzał na niego z namysłem. Ta informacja wzbudziła jego zainteresowanie, zwłaszcza że jeszcze nie udało mu się wydobyć ani z Shelby, ani z Granta, jak zarabia na utrzymanie.

- Zdarzało mi się.

- Jesteś artystą?

- Jeśli o to chodzi, to nie maluję. - Grant oparł się o krzesło Daniela.

- Dobrze, kiedy kobieta i mężczyzna mają wspólne zainteresowania - oznajmił Daniel tonem mędrca. - Takie małżeństwa zwykle są udane.

- Nie potrafię zliczyć, ile razy Daniel asystował mi przy operacji - wtrąciła łagodnie Anna.

MacGregor sapnął z irytacją.

- Ale nie raz mi się zdarzyło przemyć zakrwawione kolano. Przy trójce dzieci często była taka potrzeba.

- A raz Rena złamała nos Alanowi - oznajmił Caine.

- To miał być twój nos - przypomniała mu siostra.

- Przez to wcale mniej mnie nie bolało - Alan spojrzał na siostrę, a Shelby prychnęła rozbawiona.

- Dlaczego Rena złamała nos Alanowi, a nie tobie? - zacięła się Diana.

- Zdążyłem się uchylić - wyjaśnił Caine.

Gennie słuchała ich paplaniny, nie przerywając pracy. Wybierając kolejną kredkę, doszła do wniosku, że Grant pasował do nich doskonale. Wydawał się dowcipny, towarzyski, tolerancyjny, a przecież był to ten sam człowiek, który przeganiał zagubionych turystów spod swojej latarni. Dopasował się do sytuacji, ale nie zatracił przy tym samego siebie.

Jeszcze raz zerknęła na swoje dzieło.

- Skończone - obwieściła i pokazała wszystkim rysunek. - MacGregorowie i ich goście.

Otoczyli ją, śmiejąc się i zaglądając sobie przez ramię. Każdy wygłaszał jakiś komentarz na temat podobieństwa swojego lub innych. Gennie poczuła czyjaś rękę na ramieniu i od razu odgadła, że to Grant.

- Piękny rysunek - powiedział cicho, przyglądając się jej postaci, narysowanej przy jego boku. Pochylił się i pocałował ją w ucho. - Ty też jesteś piękna.

Potem jeszcze przez wiele dni towarzyszyło jej uczucie radości i zadowolenia.

Wrześniowe babie lato roztaczało swoje uroki. Dni były słoneczne i złote, polne kwiaty nadal kwitły, a krzaki dzikich jagód płonęły czerwienią. Genie malowała codziennie, odkrywając coraz to nowe zakątki Windy Point. Rozkład zajęć Granta zmienił się tak nieznacznym, że prawie tego nie zauważył. Pracował teraz krócej, ale bardziej intensywnie. Po raz pierwszy od wielu lat tęsknił za towarzystwem. Oczywiście, za towarzystwem Gennie.

Ona malowała, on rysował. Potem się spotykali. Niektóre noce spędzali w wielkim puchowym łóżu w jej domu. Czasami budzili się w latarni, słysząc nawoływanie mew i szum fal. Niekiedy zaskakiwał ją podczas pracy. Przynosił butelkę wina albo torbę ciastek.

Kiedyś przyniósł jej pęk polnych kwiatów. Była tym tak wzruszona, że wtuliła w niego twarz i rozplakała się. Uspokoiła się dopiero, gdy nie wiedząc, jak jej pomóc, zabrał ją do domku i zaczął się z nią kochać.

Był to dla nich obojga bardzo spokojny, szczęśliwy czas.

- Tu jest cudownie! - zawołała Gennie, przekrzykując warkot silnika. Łódź Granta śmiało przecinała fale. - Mam wrażenie, że moglibyśmy dopłynąć do samej Europy.

Roześmiał się i wzburzył jej rozwiane na wietrze włosy.

- Trzeba mi było wcześniej powiedzieć, że chcesz tam płynąć. Zatankowałbym do pełna.

- Nie bądź taki praktyczny. Po prostu to sobie wyobraź. Spędzilibyśmy na morzu wiele dni.

- I nocy. - Pochylił się i chwycił zębami płatek jej ucha.

- Księżyc w pełni, krążące wokół rekiny...

Roześmiała się i położyła mu ręce na piersi.

- Kto by kogo bronił i przed kim?

- My, Szkoci, jesteśmy zbyt żyłaści. Rekiny pewnie wołałyby jakiś delikatniejszy, powiedzmy francuski przysmak - zażartował i wsunął jej język do ucha.

Zadrzała lekko, oparła się o niego i patrzyła, jak dziób łodzi unosi się na falach. Okrążyli jedną z bezludnych, kamienistych wysepek. W oddali Gennie widziała kilka łodzi poławiaczy homarów, zmierzających do portu w Windy Point. Dźwięczały niestrudzone dzwonki boi.

Pomyślała sobie, że może to lato nigdy się nie skończy, chociaż dni stawały się coraz krótsze, a ranki mroźne. Może już zawsze będą tak razem płynęli, zapominając o obowiązkach. Przypomniała sobie o wystawie, którą miała urządzić w listopadzie. Nowy Jork był tak daleko...

Przedtem planowała, że o tej porze będzie już z powrotem w Nowym Orleanie. Teraz było tam gorąco i parno, chodniki zatłoczone, jezdnie pełne samochodów. Słońce prześwietlało pewnie jak zwykle ażurową balustradę jej balkonu, malując skomplikowane cienie.

Poczuła, że ogarnia ją tęsknota za domem. Kochała to miasto, ale kochała też i tę okolice, jej surową, otwartą przestrzeń, poszarpane skały, bezkresne morze.

Tutaj był Grant, i to przeważało szalę. Dla niego mogła zrezygnować z Nowego Orleanu, jeśli tylko by tego zechciał. Tak łatwo przyszedłoby jej zbudować sobie życie tutaj, u jego boku. A dzieci...

Pomyślała o starym domu latarnika, który czekał na nowych lokatorów w pobliżu latarni. Znalazłyby się tam przestronne, widne pokoje dla dzieci. Na piętrze urządziłaby sobie pracownię, a Grant nadal miałby do dyspozycji latarnię, gdyby zatęsknił za samotnością. Przed nową wystawą miałyby kogo w zdenerwowaniu trzymać za rękę i może zaczęłyby to lepiej znosić. Malowałyby kwiaty - wysokie, krzaczaste pelargonie, bratki o delikatnych płatkach, wiosenne żonkile. Nocami słuchałaby morza i spokojnego oddechu Granta.

- Co się stało? Zasnęłaś? - Grant pocałował ją w czubek głowy.

- Tylko się rozmarzyłam - zamruczała. To nadal były tylko marzenia. - Nie chcę, żeby to lato się kończyło.

Przeszył go chłód, więc przyciągnął ją do siebie.

- Musi się kiedyś skończyć. Lubię morze w zimie. Czy wtedy Gennie nadal będzie przy nim? Tak bardzo tego pragnął, a jednocześnie czuł, że nie potrafi jej zatrzymać. Sam nie mógłby z nią wyjechać. Potrzeba samotności stanowiła integralną część jego życia. Wiedział, że zatraciłby samego siebie, gdyby się jej wyrzekł. Tymczasem Gennie żyła w świetle reflektorów. Ile by straciła, gdyby ją poprosił, żeby z tego zrezygnowała? Zresztą, jak mógł ją o to prosić? A jednak nawet nie chciał myśleć, że zostanie sam.

Powtarzał sobie, że nie powinien był dopuścić, żeby sprawy zaszły tak daleko, a jednocześnie nie oddałby ani jednej spędzonej z nią minuty. Sam już nie wiedział, czy potrafiłby teraz bez niej żyć.

Zawrócił łódź do brzegu, kiedy tarcza słońca dotknęła wody. Nie, to lato nie powinno się nigdy skończyć, pomyślał. Niestety, czasu nie można zatrzymać.

- Jesteś taki milczący - zagadnęła Gennie, kiedy wyłączył silnik i łódź spokojnie zakołysała się przy brzegu.

- Myślałem. - Wskoczył na pomost, zacumował łódź i podał jej rękę. - Myślałem o tym, że nie wyobrażam sobie tego miejsca bez ciebie.

Gennie drgnęła, niemal tracąc równowagę, ale dzięki jego pomocy udało jej się wyjść na pomost.

- Windy Point stało się dla mnie drugim domem. Spojrzał na jej dłoń - piękną, zręczną dłoń malarki.

- Opowiedz mi o swoim domu w Nowym Orleanie - poprosił nagle, kiedy szli po chwiejnych deskach pomostu.

- Znajduje się w Dzielnicy Francuskiej. Z balkonu widzę Jackson Square, gdzie artyści sprzedają swoje prace i aż roi się od studentów i turystów. To bardzo hałaśliwa okolica. - Roześmiała się na samo wspomnienie. - Wyłożyłam swoją pracownię dźwiękochłonną wykładziną, ale czasami schodzę na dół, żeby posłuchać gwaru i muzyki.

Wspinali się po stromych skałach, słysząc tylko szum morza i krzyki mew.

- Czasami lubię się przejść nocą. Chodzę sobie i słucham muzyki dobiegającej z barów i restauracji. - Wciągnęła w płuca wilgotne, słone powietrze. - Pachnie tam whisky, rzeką i przyprawami.

- Tęsknisz za tym - powiedział cicho, kiedy szli w stronę latarni.

- Ty wyjechałeś z miasta dość dawno. Ja uciekłam stamtąd zaledwie siedem miesięcy temu. Za dużo było tam wspomnień o Angeli. Nie mogłam sobie dać z tym rady. Sama nie wiem, jak przeżyłam ten pierwszy rok. Starłam się jak najwięcej pracować. Potem obudziłam się pewnego ranka i nagle nie mogłam znieść świadomości, że już nigdy więcej nie zobaczę siostry. - Westchnęła. - Kiedy doszło do tego, że nie potrafiłam usiąść za kierownicą i pojechać do miasta, wiedziałam, że powinnam wyjechać.

- Będziesz musiała tam wrócić i jakoś się z tym uporać - stwierdził bezbarwnie.

- Już się uporałam. - Zaczekała, aż Grant otworzy drzwi. - Jakoś to wszystko sobie poukładałam, chociaż nadal bardzo tęsknię za Angela. Teraz Nowy Orlean jest mi bliski tylko

dlatego, że ona się z nim tak ściśle łączy. Niektóre miejsca potrafią nas zatrzymać. - Kiedy weszli do środka, uśmiechnęła się do niego. - Na przykład to miejsce zatrzymuje ciebie.

- Tak. - Przyciągnął do siebie Gennie. - Daje mi to, czego potrzebuję.

Opuściła powieki, tak że jej oczy stały się wąskimi ognikami zieleni.

- A czy ja ci daję, czego potrzebujesz?

Pocałował ją z takim uczuciem, że poczuła dreszcz. Poddała mu się, ponieważ wydawało jej się, że oboje tego chcą. On jednak odsunął się od niej, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Była taka drobna. Zapominał o tym, kiedy brał ją w ramiona. Tak bardzo jej potrzebował.

- Chodźmy na górę - powiedział cicho.

Poszła za nim w milczeniu. Wiedziała, że choć dotykał jej łagodnie i przemawiał czule, szaleją w nim gwałtowne uczucia. Intrygowało ją to i podniecało.

Jego napięcie stawało się coraz większe, w miarę jak wspinali się coraz wyżej. Drżąc ze zniecierpliwienia, pomyślała, że jest zupełnie tak, jak za pierwszym razem. Albo ostatnim...

- Grant...

- Nic nie mów. - Posadził ją na łóżku i zdjął jej buty. Zmuszał się do powolnych, wyważonych ruchów. Usiadł obok niej, położył jej ręce na ramionach i dotknął ustami jej warg.

Pocałunek był lekki, ale Gennie poczuła, że pulsuje w nim żywy ogień. Jej ciało napięło się, podczas gdy Grant całował ją coraz mocniej, wodząc kciukami po jej nadgarstkach. Starał się postępować delikatnie, choć wiedziała, że wrzały w nim emocje.

Owionął ją bijący od niego zapach morza i przypomniała sobie, jak kochali się po raz pierwszy, dziko i namiętnie, podczas gdy nad nimi szalała burza. Teraz on teraz potrzebował czegoś podobnego. Ze zdziwieniem odkryła, że i ona tego potrzebuje. Wyciągnęła więc dłoń i z głuchym jękiem mocno przyciągnęła go do siebie.

Nagle gwałtownie przygniół ją do łóżka. Jego ręce gorączkowo zrywały z niej ubranie. Stracił wszelkie panowanie nad sobą i wkrótce już leżeli spleceni w miłosnym uścisku.

Niecierpliwie badali swoje ciała, ich palce napierały, usta rozchyłały się łapczywie. Nie wystarczał dotyk, chcieli jeszcze spróbować smaku wilgotnej, słonawej skóry, rozgrzanej namiętnością.

Ulegli nieokiełznanym pragnieniom, zaspakajając się nawzajem, czerpiąc ze swoich ciał niczym ze studni bez dna.

Kiedy Gennie się obudziła, zaczynało świtać. Różowawy blask wróżył pogodny dzień, ale na szybach dostrzegła cieniutką warstewkę szronu. Od razu uświadomiła sobie, że jest sama Prześcieradło obok niej było już całkiem zimne.

Usiadła i zawołała Grania. Zmartwiło ją, że to on obudził się pierwszy. Zwykle to ona wstawała przed nim.

Przypomniała sobie, w jakim był wczoraj nastroju, i zawahała się, czy powinno ją to cieszyć, czy martwić. Wciąż było mu jej mało i za każdym razem ich miłość smakowała równie dziko i namiętnie. W pewnej chwili, kiedy jego ręce i usta błędziły gorączkowo po całym jej ciele, odniosła wrażenie, że chce ją sobie zapisać w pamięci, jakby wybierał się gdzieś daleko i mógł ze sobą zabrać tylko wspomnienia.

Potrząsnęła głową i wstała z łóżka. Co za głupie myśli przychodzą jej do głowy. Grant przecież nigdzie nie wyjeżdżał. Jeśli wstał tak wcześnie, to pewnie dlatego, że nie mógł już spać i nie chciał jej przeszkadzać. Wielka szkoda.

Na pewno znajdzie go na dole, domyśliła się, wychodząc z sypialni. Pewnie siedzi przy stole w kuchni, pije kawę i czeka na nią. Kiedy doszła do schodów, usłyszała radio. Grało cicho i niewyraźnie. Dźwięk dobiegał z góry, nie z dołu. Zdziwiona, uniosła głowę.

To dziwne, wydawało jej się, że Grant nie korzysta z trzeciego piętra. Nigdy o nim nie wspominał. Wiedziona ciekawością zaczęła się wspinać po schodach.

Głos spikera stawał się coraz donośniejszy, a czytane przez niego wiadomości brzmiały w cichej latarni jakoś dziwnie i całkowicie nie na miejscu. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo zapomniała o zewnętrznym świecie. Nie licząc jednego weekendu u MacGregorów, spędzała czas głównie w towarzystwie Granta.

Stała w progu jasnego pomieszczenia, które okazało się obszerną pracownią, zalaną odpowiednim do rysowania północnym światłem. Gennie dostrzegła stosy gazet i czasopism, telewizor i wysiedzianą kanapę. Nie było tu sztalug ani płócien, ale od razu poznała, że to pracownia artysty.

Grant siedział przy desce do rysowania, odwrócony do niej plecami. Stojąca obok przeszklona szafka kryła w sobie najróżniejsze przybory do rysowania. Wyczuła zapach tuszu i chyba kleju.

Czyżby był architektem? Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Nie, to chyba nie to. Zresztą architekt natychmiast zainteresowałby się pobliskim domem latarnika.

Grant mamrotał coś do siebie, skupiony na pracy. Gdyby nie była tak zaskoczona, na ten widok pewnie by się uśmiechnęła. Kiedy poruszył ręką, spostrzegła, że trzyma w niej pędzelek, drogi i w dobrym gatunku. Trzymał go wprawnym ruchem.

Ale przecież powiedział, że nie maluje, przypomniała sobie Gennie. I rzeczywiście. Po co malarzowi cyrkiel i ekierka? No i nikt nie maluje zwrócony twarzą do ściany, ale... Co więc robił?

Zanim zdołała się odezwać, Grant uniósł głowę. Ich oczy spotkały się w wiszącym przed nim lustrze.

Grant przyszedł rano do pracowni, ponieważ nie mógł już spać. Nie mógł też leżeć beczynnie obok Gennie. Sam nie wiedział, jak to się stało, ale w ciągu nocy doszedł do wniosku, że każde z nich powinno pójść swoją drogą i że on będzie w stanie jakoś się z tym pogodzić.

Gennie należała do innego świata. Otaczał ją splendor sławy i tłumy ludzi. On żył samotnie, wśród surowej przyrody, i jak mógł, unikał rozgłosu. Ich światy nigdy się nie spotkają.

Wstał, kiedy było jeszcze ciemno. Wmawiał sobie, że będzie mógł trochę popracować. Po dwóch godzinach próżnych wysiłków, wreszcie zaczęło mu coś wychodzić. Teraz ona stanęła w progu pracowni, jedynego miejsca, które jeszcze mu się z nią nie kojarzyło. Myślał, że kiedy odjedzie, zostanie mu chociaż to sanktuarium.

Gennie była zbyt zaintrygowana, żeby zauważyć jego rozdrażnienie.

- Co robisz? - zapytała ciekawie.

Nie odpowiedział, więc stanęła obok niego i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na rozłożony na desce papier. Był podzielony na równe prostokąty i poprzecinany jasnoniebieskimi liniami. Grant zaczął już wypełniać rysunkiem pierwszy prostokąt, ale Gennie i tak nie domyślała się, na co patrzy.

To na pewno nie był plan architektoniczny. Może jakaś sztuka użytkowa? Zafascynowana pochyliła się nad pierwszym obrazkiem. Nagle rozpoznała tę postać.

- Och! To komiks. - Zadowolona z odkrycia przysunęła się bliżej. - Ależ ja już go widziałam, i to chyba ze sto razy. Uwielbiam go! - Roześmiała się i odrzuciła do tyłu włosy. - Więc rysujesz komiksy.

- Zgadza się. - Wcale mu nie zależało na jej zachwycie i pochwałach. To był po prostu jego zawód i tyle. Wiedział też, że jeśli teraz się z nią nie rozstanie, to już nigdy się na to nie zdobędzie. Powoli odłożył pędzelek.

- A więc tak przygotowujesz się do rysowania - ciągnęła, zainteresowana jego warsztatem. - Te niebieskie linie są po to, żeby łatwiej ci było zachować perspektywę, tak? Jak ci się udaje codziennie wymyślać nowy odcinek, siedem razy w tygodniu?

Wcale nie chciał, żeby to zrozumiała. Jeśli zrozumie go do końca, nie będzie potrafił się z nią rozstać.

- To mój zawód - oznajmił beznamiętnie. - Teraz jestem zajęty. Zbliża się termin oddania nowego materiału.

- Przepraszam - odrzekła mechanicznie. Nagle dostrzegła jego chłodne, pełne rezerwy spojrzenie. Dotarło do niej, że ukrywał przed nią ten jakże ważny aspekt swojego życia. Nie tylko nic jej nie powiedział, ale nawet celowo to przed nią zataił. Cała jej radość gdzieś znikła, pozostał tylko ból. Takie coś boli jak diabli. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Spodziewał się, że o to zapyta, ale nie był już pewien, czy ma na to pytanie odpowiedź. Wzruszył ramionami.

- Jakoś nie było okazji.

- Nie było okazji - powtórzyła cicho, patrząc mu prosto w oczy. - No tak, starannie zadbałeś o to, żeby nie było okazji. Dlaczego?

Czy mógł jej powiedzieć, że ukrywanie własnej tożsamości stało się jego mocno utrwalonym nawykiem? Czy mógł jej powiedzieć, że nigdy nie mówił o tym nikomu, tak jak o wielu innych sprawach? Gdyby nie zatrzymał sobie tego jednego sekretu, dałby jej już wszystko, a to przerażało go najbardziej. Nie, zbyt późno na wyjaśnienia. Musi teraz wrócić do swojej starej zasady, że nie należy przed nikim się tłumaczyć.

- A dlaczego miałem ci o tym powiedzieć? - odpowiedział pytaniem. - To moja praca i nie ma z tobą nic wspólnego.

Twarz jej zbieła, ale odwrócony bokiem Grant nic nie zauważył.

- Nie ma ze mną nic wspólnego - powtórzyła szeptem. - Czy twoja praca jest dla ciebie ważna?

- Oczywiście - warknął, wstając z taboretu. - To mój zawód. To jest to, kim jestem.

- No, tak. - Czują, jak ogarniają wielki, obezwładniający chłód. - Mogłam dzielić z tobą łóżko, ale nie to.

Te słowa sprawiły mu niemal fizyczny ból. Gwałtownie odwrócił się do Gennie. Nawet nie przypuszczał, że tak trudno mu będzie znieść jej wzrok.

- A co jedno ma wspólnego z drugim? Co to za różnica, jak zarabiam na życie?

- Żadna różnica. Przyjąłabym do wiadomości każdy twój zawód. Nawet gdybyś nic nie robił, wcale by mi to nie przeszkadzało. Ale ty mnie okłamałeś.

- Nigdy cię nie okłamałem! - krzyknął.

- Zapewne nie dostrzegam cienkiej linii między oszustwem a nieuczciwością.



- Posłuchaj, praca to moja prywatna sprawa. I chcę, żeby tak zostało. - Te słowa wyrwały mu się wbrew woli. Złość wcisnęła mu je w usta. - Robię to, bo lubię, nie dlatego, że muszę, i nie dla rozgłosu. Rozgłos to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. - Oczy coraz bardziej ciemniały mu z gniewu. - Nie wygłaszam wykładów, nie prowadzę kursów, nie daję wywiadów do prasy, bo nie chcę, żeby ludzie stale siedzieli mi na karku. Wybrałem anonimowość, tak jak ty wybrałaś życie wśród tłumów. Odpowiada mi to. To jest moja sztuka i moje życie.

- Rozumiem. - Zesztywniała z bólu, chłód przesywał ją do szpiku kości. Znała już uczucie rozpaczy. Teraz znów go doznała. - Ujawnienie mi tego, co robisz, oznaczałoby dla ciebie koniec anonimowości, tak? Prawda jest taka, że mi nie ufasz. Nie zaufałeś mi na tyle, żeby mi zdradzić swój cenny sekret. Nie wierzyłeś, że uszanuję twój ukochany styl życia.

- Prawda jest taka, że mamy całkowicie odmienne style życia. - Nie mógł znieść jej bólu. Wiedział, że odpychają od siebie. A tak bardzo pragnął jej bliskości. - Nie da się pogodzić tego, co ja chcę, z tym, czego chcesz ty. To nie ma nic wspólnego z zaufaniem.

- Zaufanie jest zawsze najważniejsze - odrzekła. Patrzył na nią teraz tak, jak za pierwszym razem, niczym rozgniewany obcy i odległy człowiek, który chce, żeby go zostawić w spokoju. Znów była intruzem, jak tamtej burzliwej nocy. Ale wtedy go jeszcze nie kochała.

- Powinieneś był przemyśleć znaczenie słowa „miłość”, zanim je wypowiedziałeś. Czy może raczej powinniśmy uzgodnić, jak każde z nas rozumie to słowo. - Jej głos znów brzmiał spokojnie i mocno, jak zawsze, gdy przywoływała na pomoc całą siłę swej woli. - Dla mnie miłość oznacza zaufanie, kompromis, potrzebę drugiego człowieka. Najwyraźniej ty myślisz, że to coś zupełnie innego.

- Nie mów mi, do diabła, co myślę. Kompromis? - Zaczął nerwowo krążyć po pracowni. - Jaki kompromis moglibyśmy wypracować? Wyszłabyś za mnie za maź i zakopała się na tym odludziu? Oboje wiemy, że gdybyś nawet się na to zdecydowała, zaraz wywęszyłaby cię tu prasa. A może się spodziewałaś, że pojedę z tobą do Nowego Orleanu, gdzie nie mógłbym pracować i pewnie wkrótce bym oszalał? - Stał na tle okna, tak że wschodzące za jego plecami słońce oświetlało zarys jego sylwetki. - Ile czasu by upłynęło, zanim ktoś zacząłby grzebać w moim życiorysie? Mam powody, żeby żyć tak, jak żyję. Nie muszę się usprawiedliwiać.

- Nie musisz. - Obiecała sobie, że nie będzie płakać, bo jeśli teraz zacznie, to już nigdy nie przestanie. - Ale nigdy nie poznasz odpowiedzi na te pytania, prawda? A to dlatego, że nie chciało ci się o nich ze mną porozmawiać.

Odwróciła się i krętymi schodami zeszła na dół. Przyśpieszyła kroku i po chwili wybiegła z latarni w wilgotny chłód poranka.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gennie z namysłem przyjrzała się swoim kartom. Dziewiątka i ósemka. Dobranie kolejnej karty byłoby bardzo ryzykowne. Doszła jednak do wniosku, że życie czasem wymaga ryzyka, i dała znak rozdającemu. Wyciągnęła czwórkę i uśmiechnęła się ironicznie. Kto ma szczęście w kartach...

Co ona robi przy karcianym stoliku do gry w kwadrans po siódmej w niedzielny poranek? No cóż, gra w karty to niewątpliwie zajmujący sposób spędzania czasu. I zdecydowanie bardziej produktywny niż nerwowe krążenie po pokoju czy okładanie pięściami poduszki. Obu tych rzeczy już próbowała.

Mimo że od godziny dopisywało jej szczęście, nastrój wcale jej się nie poprawił. W zasadzie wolałaby przegrać z kretesem. Wtedy miałyby przynajmniej coś, czym mogłaby wytłumaczyć swoje przygnębienie.

Wymieniła zetony na gotówkę i schowała wygraną do torebki. Może uda jej się przegrać całą sumę w kości.

O tej porze w kasynie była tylko garstka ludzi. Drobna staruszka siedziała na stołku przy jednorękim bandycie i systematycznie wsuwała ćwierćdolarówki do otworu maszyny. Od czasu do czasu Gennie słyszała brzęk wysypujących się na metalową tacę monet.

Później wielkie, elegancko urządzone sale wypełnią się ludźmi i Gennie będzie się mogła zagubić wśród gwaru i dymu z papierosów. Teraz jednak podeszła do szklanej ściany i spojrzała na morze.

Czy to dlatego przyjechała tutaj zamiast, jak początkowo zamierzała, wrócić do domu? Kiedy wrzuciła do bagażnika walizkę i przybory malarskie, myślała tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w Nowym Orleanie i wrócić do dawnego życia.

Sama nie wiedziała kiedy zboczyła z drogi do domu. Tylko dlaczego, chociaż przebywała tu już od ponad dwóch tygodni, nie mogła się zdobyć na spacer po plaży? Mogła tylko na nią patrzeć i słuchać szumu fal.

Dlaczego tak się zadreczęła? Dlaczego postanowiła zatrzymać się nad morzem, które już zawsze będzie jej przywodziło na myśl Granta? Wiedziała dlaczego. Było tak, ponieważ jeszcze do końca nie pogodziła się z ich zerwaniem, chociaż uparcie powtarzała sobie, że ma to już za sobą.

Nie mogła wrócić do Granta, więc nie mogła też pójść na spacer nad zielononiebieskim morzem. Grant ją odrzucił i nie mogła tego przeboleć. Czuła się pusta w środku.

Kocham cię, ale... Właśnie tak powiedział.

Nie, tego nie mogła zrozumieć. Miłość sprawia, że wszystko staje się możliwe. Miłość wiele zmienia. Gdyby naprawdę ją kochał, zrozumiałby to.

Lepiej też by było, gdyby nie dała się skusić i nie zaglądała do gazety, w której drukowano „Macintosha”. Nie zobaczyłaby wtedy tego niedorzecznego odcinka, w którym w jego życiu pojawia się Weronika. Z początku się z tego śmiała, ale potem, na wspomnienie tamtego dnia, łzy napłynęły jej do oczu.

Czy miał prawo używać jej postaci w swoim komiksie, skoro przed nią samą nie chciał się otworzyć? Wykorzystywał ją wielokrotnie, w licznych gazetach w całym kraju. Czytelnicy mogli śledzić, jak rozwija się romans nieprzytomnego z miłości Macintosha z seksowną, uwodzicielską Weroniką.

Historyjki były śmieszne, a lekki odcień ironii dodawał im pikanterii. Były takie ludzkie. Grant wziął na warsztat wszystkie pułapki miłości i błędy, jakie popełnia świeżo zakochany człowiek, i przedstawił je tak, że każdy czytelnik, mężczyzna czy kobieta, mógł znaleźć tam coś dla siebie.

W każdej historyjce Gennie rozpoznawała ślad czegoś, co zrobiła lub powiedziała, ale było to przedstawione jakby w krzywym zwierciadle. Grant starał się zachować anonimowość, a jednocześnie dzielił się z czytelnikiem wszystkimi tajemnicami swoich uczuć.

Z niecierpliwością czekała na każdą kolejną historyjkę i pochłaniała ją łapczywie.

- Tak wcześnie wstałaś, Gennie?

Poczuła rękę na ramieniu i odwróciła się. Za nią stał Justin.

- Zawsze wcześnie wstaję - odpowiedziała wymijająco i uśmiechnęła się. - Posprzątałam stoliki w twojej restauracji.

Odwzajemnił jej uśmiech, ale jednocześnie przyglądał jej się uważnie wzrokiem, z którego nic nie mogła wyczytać. Była blada, tak samo jak tego dnia, kiedy niespodziewanie zameldowała się w jego hotelu Komańcz.

Blada cera jeszcze bardziej podkreślała wywołane brakiem snu cienie pod oczami. Patrzyła jak ktoś, kogo głęboko zraniono. Justin rozpoznał to spojrzenie, ponieważ sam również był głęboko zakochany. Cokolwiek zaszło między nią a Grantem, odcisnęło na niej głęboki ślad.

- Co powiesz na śniadanie? - Objął ją ramieniem i zanim zdążyła odpowiedzieć, poprowadził do swojego biura.

- Nie jestem głodna - zaprotestowała.

- Nie jesteś głodna od dwóch tygodni. - Przeprowadził ją przez oficjalne biuro do swojego osobistego gabinetu, a potem nacisnął guzik prywatnej windy. - Jestem moją jedyną kuzynką, na której mi naprawdę zależy, Genvieve. Nie będę dłużej patrzył, jak nikt nieś w oczach.

- Wcale nie nikt nieś w oczach! - oburzyła się, ale zaraz oparła mu głowę na ramieniu. - Nie ma nic gorszego niż ktoś, kto chodzi wiecznie przygnębiony i stale uważa się nad sobą, prawda?

- Tak, to rzeczywiście koszmar - zgodził się beztrąsko i wciągnął ją do windy. - Na ile mnie dzisiaj ogrął?

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

- Och, sama nie wiem. Pięćset czy sześćset dolarów.

- Śniadanie dopiszę ci do rachunku - uprzedził, otwierając drzwi do apartamentu jego i Sereny. Śmiech Gennie ucieszył go tak samo, jak uścisk, którym go obdarzyła.

- Typowy mężczyzna - zawołała Serena, wchodząc do pokoju. - Wraca o świcie z piękną kobietą u boku, podczas gdy jego żona siedzi w domu i zmienia pieluchy. - Na ramieniu trzymała gaworzącego Maca.

Justin uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie ma nic gorszego niż zazdrosna kobieta. Unosząc brwi, Serena podeszła do niego i podała mu dziecko.

- Teraz twoja kolej - oznajmiła wesoło i z ulgą opadła na fotel. - Mac zębkuje - wyjaśniła Gennie. - I nie najlepiej to znosi.

- Za to ty jesteś bardzo dzielna - zapewnił ją Justin, a Mac ugryzł go w ramię, żeby złagodzić ból dziąseł.

Serena uśmiechnęła się, podwinęła nogi pod siebie i ziewnęła.

- Wszyscy mnie zapewniają, że to szybko minie, jak wszystko inne. Czy już coś jedliście?

- Zaprosiłem Gennie na śniadanie.

Serena pochwyciła znaczące spojrzenie męża i domyśliła się, że przyciągnął ją tu niemal siłą.

- Dobrze - odrzekła krótko i podniosła słuchawkę telefonu. - Jedną z najmilszych rzeczy, jaka się wiąże z mieszkaniem w hotelu, jest fakt, że można zamówić jedzenie do pokoju.

Serena zamawiała śniadanie dla trojga, a Gennie krążyła po apartamencie. Podobało jej się tu. Pokoje urządzone w ładnych kolorach, w stylu odpowiadającym właścicielom. Jeśli kiedyś wnętrza te miały charakter typowo hotelowy, to już dawno go straciły.

Dziecko gruchało wesoło, bawiąc się z Justinem na kanapie. Serena rozmawiała z obsługą hotelową niskim, melodyjnym głosem.

Gennie podeszła do okna wychodzącego na plażę. Jeśli kocha się dostatecznie mocno, dom można założyć wszędzie. Renie i Justinowi to się udało. Gdziekolwiek i jakkolwiek zdecydują się zamieszkać, zawsze pozostaną rodziną. To była podstawowa prawda.

Wiedziała, że dzielą się obowiązkami związanymi z opieką nad dzieckiem, prowadzeniem kasyna i hotelu. Stanowili jedność. Niewątpliwie przeżywali trudne chwile. Tak się zdarza w każdym związku, zwłaszcza gdy łączą się dwie silne osobowości. Ale przewyciężyli wszelkie przeszkody, ponieważ każde z nich w razie konieczności było gotowe się dostosować.

A czy ona nie była gotowa iść na ustępstwa? Nowy Orlean odwiedzałyby tylko od czasu do czasu, żeby się spotkać z rodziną, obudzić wspomnienia, kiedy będzie miała na to ochotę. Mogłyby zamieszkać na tym skalistym wybrzeżu Maine... z Grantem i dla Granta.

Była gotowa tyle mu dać, jeśli tylko on również byłby gotów dać jej coś w zamian. A może Grant po prostu nie był do tego zdolny? Chyba powinna się z tym pogodzić. Jeśli to uczyni, raz na zawsze zamknie za sobą drzwi.

- Ocean wygląda tak pięknie, prawda? - Serena stanęła za jej plecami.

- Tak. - Gennie odwróciła głowę. - Przyzwyczyłam się do widoku oceanu. Zresztą od dzieciństwa mieszkam nad rzeką.

- Czy właśnie do tego chcesz wrócić? Gennie znów zwróciła się ku oknu.

- Chyba tak. W końcu pewnie tam wrócę.

- To zły wybór, Gennie.

- Sereno - powiedział ostrzegawczo Justin, ale spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem. Twarz miała zagniewaną.

- Do diabła, Justin! - Głos miała niski i zniecierpliwiony. - Nie widzisz, że jest nieszczęśliwa? A nikt nie potrafi tak unieszczęśliwić kobiety jak uparty jak osioł mężczyzna. Prawda, Gennie?

Z niepewnym śmiechem przeciągnęła dłonią po włosach.

- Chyba masz rację - zgodziła się.

- To działa w obie strony - zauważył Justin.

- A jeśli mężczyzna jest uparty jak osioł - ciągnęła Serena - to kobieta musi nim potrząsnąć.

- Nie chciał mnie. - Te słowa same wyrwały się Gennie z ust. Zabolęły ją, ale była szczęśliwa, że zdołała je wypowiedzieć. Był już na to najwyższy czas. - W każdym razie nie chciał mnie dostatecznie mocno. Po prostu nie wierzył, że razem przewyciężylibyśmy nasze problemy. Nie chce ze mną dzielić swojego życia, jakby sobie z góry założył, że nic z tego nie będzie.

Kiedy mówiła, Justin zaniósł Maca do sypialni. Po chwili rozległa się stamtąd łagodna muzyka, płynąca z zawieszanej nad łóżeczkiem ruchomej zabawki.

- Gennie - zaczął Justin, wróciwszy do pokoju. - Czy wiesz, jak to było z ojcem Shelby i Granta?

Odetchnęła głęboko i opadła na fotel.

- Wiem, że zmarł, kiedy Grant miał siedemnaście lat.

- Został zamordowany - poprawił ją Justin. Ze zgrozy rozwarła szerzej oczy. - Senator Robert Campbell. Byłaś wtedy jeszcze dzieckiem, ale możesz coś pamiętać.

Niejasno, ale pamiętała. Rozmowy, wiadomości w telewizji, proces... a Grant gdzieś w tym tkwił. Czy Shelby nie powiedziała, że oboje byli obecni przy śmierci ojca? Został zamordowany na ich oczach.

- Och, Justin. To musiało być potworne.

- Rany nie zawsze goją się bez śladu - powiedział cicho, bezwiednie dotykając swojego boku. Jego żona rozumiała ten gest. - Z tego, co mówił mi Alan, Shelby bardzo długo nie mogła dojść do siebie. Z Grantem pewnie było tak samo. Czasami... - Jego wzrok powędrował ku Serenie.

- Czasami człowiek się boi za bardzo do kogoś zbliżyć, bo wtedy tak wiele można stracić.

Serena podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Widzisz, to też przede mną zataił. - Gennie zacisnęła dłonie na oparciu fotela. Z bólem myślała o tym, co Grant przeszedł jako młody chłopak. - Nie zwierzył mi się, nie dał mi szansy, żebym go lepiej zrozumiała. Dopóki między dwojgiem ludzi są jakieś sekrety, dopóty nie mogą naprawdę się do siebie zbliżyć.

- Nie wierzysz, że on cię kocha? - zapytała Serena łagodnie.

- Nie kocha mnie wystarczająco. - Gennie gwałtownie potrząsnęła głową. - Nigdy nie czułabym się przy nim dostatecznie kochana.

- Wczoraj zadzwoniła Shelby - oznajmiła Serena. Rozległo się pukanie do drzwi. Przyniesiono śniadanie. Justin poszedł otworzyć, po drodze wskazując Gennie niewielki kącik jadalny przy oknie. - Kilka dni temu Grant zaskoczył ją i Alana niespodziewaną wizytą.

- Czy nadal...

- Nie - przerwała jej Serena i usiadła przy stole. - Wrócił już do Maine. Powiedziała, że zadreślał ją pytaniami. Oczywiście, nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, dopóki nie zadzwoniła do mnie i nie dowiedziała się, że jesteście u nas.

- Gennie w milczeniu patrzyła na morze. - Ciekawiło ją, czy śledzisz kolejne odcinki „Macintosh”. Ponad dwie godziny zastanawiałam się, dlaczego mnie o to pytała.

Gennie spojrzała na nią niepewnie.

- Chyba nie bardzo rozumiem, o co chodzi - odparła, odruchowo chroniąc sekret Granta.

Serena wzięła dzbanek przyniesiony przez kelner.

- Kawy, Weroniko? - zapytała.

Gennie roześmiała się z aprobatą i skinęła głową.

- Jesteś bardzo bystra.

- Uwielbiam łamigłówki - wyjaśniła Serena. - A wszystkie części tej łamigłówki miałam przed nosem.

- Właśnie o to się na końcu pokłóciliśmy. - Gennie spojrzała na Justina, który usiadł obok. Dolala śmietanki do kawy, ale nie piła, tylko bawiła się uszkiem filiżanki. - Przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, nie zdradził mi, czym się zajmuje. Potem, kiedy sama to odkryłam, wpadł w złość, jakbym naruszyła jego prywatność. A taka byłam uradowana. Wcześniej podejrzewałam, że marnuje talent, i nie mogłam tego zrozumieć. Potem dowiedziałam się, że robi coś tak trudnego, wymagającego inteligencji... - przerwała i potrząsnęła głową. - Po prostu zamknął przede mną drzwi.

- Może nie dobijałaś się dostatecznie głośno - zasugerowała Serena.

- Gdyby jeszcze raz mnie odrzucił, nie zniosłabym tego. To nie jest kwestia dumy, a raczej wytrzymałości.

- Widziałem, jak przed otwarciem wystawy denerwujesz się do nieprzytomności - przypomniał Justin. - Ale zawsze jakoś ci się udaje przetrwać.

- Wystawianie się na publiczny osąd to jedno, a obnażanie się przed jedną osobą, to zupełnie co innego. Zwłaszcza kiedy się wie, że jeśli ta osoba cię odrzuci, to już nic ci nie



zostanie. Będę miała wystawę w listopadzie - powiedziała, przesuwając widelcem sadzone jajko na talerzu. - Na tym teraz powinnam się skupić.

- Może masz ochotę przejrzeć to przy jedzeniu. - Justin wyjął z przyniesionej przez kelnera gazety strony z komiksami.

Gennie patrzyła na nie z wahaniem. Nie chciała ich oglądać, a jednocześnie nie mogła się oprzeć. Po chwili wzięła je od niego.

Niedzielne wydania zawierają dłuższe i kolorowe odcinki komiksów. Ten odcinek „Macintosh” prezentował się jednak dość ponuro. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że autor świadomie użył przytłumionych barw dla oddania uczucia przygnębienia i samotności. Grant doskonale wiedział, jak szybko przyciągnąć uwagę czytelnika i wprowadzić go w odpowiedni nastrój.

Na pierwszym obrazku Macintosh siedział samotnie, wsparłszy brodę na rękach. Żaden podpis nie był potrzebny, żeby dostrzec, że jest nieszczęśliwy. W czytelniku od razu budziła się sympatia do zboląłego nieszczęśnika. Kto tym razem coś mu zrobił?

Słyszając pukanie do drzwi, Macintosh mamrocze - to na pewno było mamrotanie - „Proszę wejść”. Nie zmienia pozy, kiedy zjawia się Iwan, rosyjski emigrant, ubrany jak zwykle w jakiś przesadnie amerykański strój. Tym razem jest to strój niczym z westernu, łącznie z kowbojskim kapeluszem i butami.

„Cześć, Macintosh. Mam dwa bilety na mecz koszykówki. Chodź, popatrzymy sobie na cheerleaderki”.

Żadnej reakcji.

Iwan siada obok na krześle i odsuwa kapelusz na tył głowy.

„Ja stawiam piwo. Tak jak to się robi w Ameryce. Pojedziemy twoim samochodem”.

Znowu nic.

„Ale ja będę prowadził”, oznajmia radośnie Iwan, trącając Macintosha czubkiem kowbojskiego buta.

„O, cześć, Iwan”. Macintosh tylko na chwilę otrząsa się z ponurej zadumy.

„Człowieku, masz jakiś problem?”

„Weronika mnie zostawiła”.

Iwan zakłada nogę na nogę i kołysze stopą.

„Co ty! Dla innego faceta?”

„Nie”.

„No to dlaczego?”

Macintosh nadal siedzi w tej samej pozycji i właśnie ten brak ruchu podkreśla jego słowa.

„Ponieważ byłem samolubny, nieuprzejmy, arogancki, głupi, kłamliwy i w ogóle okropny”.

Iwan przez chwilę wpatruje się w czubek buta.

„To wszystko?”

„Tak”.

„Kobiety.” Iwan wzrusza ramionami. „Nie sposób ich zadowolić”.

Gennie dwa razy przeczytała tę historyjkę, a potem bezradnie podniosła wzrok. Serena bez słowa wzięła od niej gazetę i przestudiowała komiks. Roześmiała się krótko.

- Pomóc ci przy pakowaniu walizki?

Gdzie ona, u diabła, jest? Grant miał wrażenie, że oszaleje, jeśli jeszcze raz zada sobie to pytanie. Gdzie ona jest?

Z platformy obserwacyjnej na szczycie latarni rozciągał się widok na wiele mil. Ale Gennie nie było widać. Wiatr smagał mu twarz, a on patrzył na morze i zastanawiał się, co teraz zrobi.

Ma o niej zapomnieć? Czasami zdarzało mu się zapomnieć o posiłku lub odpoczynku, ale nigdy nie zapomni Gennie. Niestety bardzo wyraźnie pamiętał również ich ostatnie dziesięć minut. Co w niego wstąpiło? Dlaczego zachował się jak głupiec? Z ironią pomyślał, że akurat jemu nie sprawiło to trudności. Miał przecież wiele wprawy.

Gdyby nie zmarnował dwóch dni na przeklinanie jej i siebie, gdyby nie błąkał się po plaży, żeby zaraz potem zamknąć się w pracowni, być może by zdążył. Kiedy wreszcie zrozumiał, że sam sobie zadał śmiertelny cios, ona już odeszła. Domek nad zatoką stał zamknięty na głucho. Wdowa Lawrence niewiele wiedziała, a mówiła jeszcze mniej.

Poleciał do Nowego Orleanu i szukał jej wszędzie jak szaleniec. Jej mieszkanie stało puste, sąsiedzi nie mieli od niej żadnych wiadomości. Nawet kiedy odnalazł jej babkę, dzwoniąc pod każdy numer w książce telefonicznej należący do kogoś o nazwisku Grandeau, nie dowiedział się niczego znaczącego, tylko że Gennie jest w podróży.

W podróży, pomyślał. Tak, w podróży, byle dalej od niego. Zasłużyłeś na to, Campbell, wymyślał sobie w duchu. Należała ci się taka kara.

Zadzwoił do MacGregorów. Dzięki Bogu odebrała Anna, a nie Daniel. Nie mieli od Gennie żadnych wiadomości. Mogła być wszędzie. I nigdzie. Gdyby nie obraz, który mu zostawiła, mógłby pomyśleć, że była zjawą.

Zostawiła mu obraz, który skończyła tego popołudnia, gdy zostali kochankami. Nie było przy nim żadnego listu. Miał ochotę cisnąć go ze skały w morze. W końcu powiesił go w sypialni. Może po to, by spełniał rolę pokutnej Włosienicy. Za każdym razem, kiedy na niego patrzył, cierpiał.

Powtarzał sobie, że prędzej czy później ją odnajdzie. Jej imię lub zdjęcie pojawi się w gazetach. Odnajdzie ją i sprowadzi z powrotem.

Sprowadzi z powrotem, akurat. Przeczesał palcami włosy. Raczej będzie błagał, skomlał, prosił. Zrobi wszystko, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. Nagle rozpacz zmieniła się we wściekłość. To wszystko jej wina. To jej wina, że zachował się jak szaleniec. Od dwóch tygodni nie przespał spokojnie ani jednej nocy. A samotność, którą zawsze tak sobie cenił, zdawała się go osaczać. Jeśli szybko nie odnajdzie Gennie, straci resztki rozumu.

Rozwścieczony odsunął się od barierki. Skoro nie może pracować, pójdzie na plażę. Może tam znajdzie trochę spokoju.

Wszystko tu wygląda tak samo, myślała Gennie, dojeżdżając do końca wąskiej, wyboistej drogi. Chociaż lato już ustąpiło miejsca jesieni, w zasadzie nic się nie zmieniło. Morze nadal z rykiem atakowało brzeg, z wolna trawiąc skały. Latarnia nadal stała, wyniosła, samotna i nieugięta. Gennie niepotrzebnie się zamartwiała, że podczas jej nieobecności zmieniło się tu coś ważnego.

Grant pewnie też się nie zmienił. Odetchnęła głęboko i zatrzymała samochód. Bardzo chciała, żeby zachował wszystkie te cechy, dzięki którym był jedyny i niepowtarzalny. Zakochała się w jego szorstkiej powierzchowności, niechętnie okazywanej wrażliwości, a nawet w niezbyt uprzejmym sposobie bycia. Może była głupia. Nie chciała go zmieniać. Pragnęła tylko, żeby jej zaufał.

A jeśli źle zrozumiała ten odcinek komiksu, jeśli Grant znów ją odrzuci... Nie, nie będzie teraz o tym myślała. Skoncentruje się na najprostszyc ruchach, na tym, żeby do niego dotrzeć. Już czas, żeby odważnie załatwiła najważniejszą rzecz w swoim życiu.

Dotknęła klamki, ale jej nie nacisnęła. Granta nie było w latarni. Nie wiedziała dlaczego, ale miała absolutną pewność, że go tam nie ma. Zobaczyła, że jego półciężarówka stoi zaparkowana niedaleko domu latarnika. Może wypłynął łodzią na morze? Okrążyła latarnię i spojrzała na pomost. Łódź kołysała się spokojnie na fali.

Wtedy się domyśliła. Zdziwiła się, że dopiero teraz. Bez wahania ruszyła ku skałom.

Grant szedł wzdłuż plaży. Ręce wsunął do kieszeni, wiatr rozwiewał mu poły kurtki. A więc tak wygląda samotność. Przez długie lata mieszkał sam i wcale jej nie odczuwał. To

była kolejna rzecz, którą mógł rzucić Gennie do stóp. Jak to możliwe, że jedna kobieta tak odmieniła podstawy jego życia?

Specjalnie rozpalał w sobie złość. Gniew nie boli. Kiedy wreszcie ją odnajdzie - a na pewno to zrobi - to się z nią policzy. Zanim wtargnęła w jego świat, prowadził dokładnie takie życie, jakie sobie zaplanował. Miłość? Och, tyle mówiła o miłości, a potem znikła, tylko dlatego, że zachował się jak idiota.

Przecież wcale nie chciał, żeby tak mu na niej zależało. To ona nie dawała mu spokoju, dopóki jego opór nie osłabł, a kiedy ją zranił, odeszła. Odwrócił się ku morzu, ale zamknął oczy. Boże, jak mógł tak ją zranić. Widział to w jej twarzy, słyszał w jej głosie. Jak on jej to wynagrodzi? Wolałby zobaczyć jej gniew lub łzy, a nie to pełne bólu spojrzenie.

A gdyby tak pojechał do Nowego Orleanu... Może już tam dotarła. Gdyby jej tam nie znalazł, mógłby na nią zaczekać. Prędzej czy później na pewno tam wróci. To miasto zbyt wiele dla niej znaczy. Dlaczego tu stoi i marnuje czas, zamiast wsiąść do samolotu i lecieć na południe?

Grant odwróciła się i spojrzał przed siebie. No proszę, zaczęły się omamy.

Gennie patrzyła na niego ze spokojem, chociaż serce waliło jej jak młotem. Robił wrażenie osamotnionego, ale nie w ten sposób, który tak sobie cenił. To była prawdziwa, bolesna samotność. A może tylko to sobie wyobraziła, bo chciała wierzyć, że myśli o niej. Zebrawszy całą odwagę, zbliżyła się do niego.

- Chciałabym się dowiedzieć, co to ma znaczyć. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła niedzielny odcinek „Macintosha”.

Patrzył na nią jak skamieniały. Czyżby to były nie tylko omamy wzrokowe, ale i słuchowe? Wolno wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

- Gennie?

Kolana się pod nią ugięły. Opanowała się jednak. Tak łatwo nie wpadnie w jego ramiona. Byłoby to zbyt łatwe i niczego by nie załatwiło.

- Chcę wiedzieć, co to znaczy. - Wsunęła mu wycinek w dłoń.

Zmieszany Grant spojrzał na swoje dzieło. Nie było łatwo tak szybko umieścić je w gazetach. Musiał uruchomić wszystkie swoje kontakty i pracować jak maszyna. Ale jeśli dzięki temu Gennie tu się zjawiała, to było warto.

- Znaczy dokładnie to, co tu napisałem - wydusił. - Nie ma tu żadnych niedomówień.

Wzięła od niego wycinek i włożyła z powrotem do kieszeni. Zamierzała go sobie zachować na zawsze.

- Ostatnio bardzo często wykorzystujesz moją postać w komiksie. - Musiała nieco odchylić głowę, żeby patrzeć mu prosto w oczy. - Nie przyszło ci do głowy, że najpierw powinienes poprosić mnie o pozwolenie?

- Skorzystałem z przywileju artysty. - Poczul na plecach krople wody. Osiadły również na włosach Gennie. - Gdzie ty się podziewałaś? - zapytał impulsywnie. - Dokąd pojechałaś?

Zmrużyła oczy.

- To chyba moja sprawa, prawda?

- O, nie. - Chwyliła ją za ramiona i potrząsała. - O, nie, nie tylko twoja. Już mnie nie zostawisz.

Gennie zacisnęła zęby i zaczęła, aż przestanie nią potrząsać.

- O ile mnie pamięć nie myli, to, w przenośnym sensie, ty pierwszy tak naprawdę mnie zostawiłeś.

- No, dobrze! Zachowałem się jak idiota. Mam cię przeprosić? - krzyknął. - Przepraszę cię, jak tylko zechcesz. Ale... - Urwał, oddychając gwałtownie. - Ale najpierw to.

Jego usta wpiły się w jej usta, palce zacisnęły się na jej ramionach. Jęk, wrywający się z jego piersi, był kolejną oznaką jego tęsknoty za Gennie. Oto stała przed nim, była jego. Nigdy więcej nie pozwoli jej odejść.

Odzyskał jasność umysłu i powoli docierało do niego, jakie myśli chodziły mu po głowie. Nie tak chciał to zrobić. Nie w ten sposób należało wynagrodzić jej to, co zrobił, lub raczej czego nie zrobił. Musiał inaczej jej dowieść, jak bardzo pragnie ją uszczęśliwić.

Z wysiłkiem odsunął się od Gennie i opuścił ramiona.

- Przepraszam - zaczął sztywno. - Nie zamierzałem cię zranić, ani teraz, ani przedtem. Jeśli zechcesz wejść do środka, to porozmawiamy.

O co tu chodzi? Kto to był? Gennie nie mogła się nadziwić. Znała mężczyznę, który gwałtownie ją potrząsał, który brał ją w objęcia, kierując się tęsknotą i gniewem. Nie miała natomiast pojęcia, kim jest ten człowiek, który ją tak oficjalnie przeprasza. Ściągnęła brwi. Nie po to jechała taki kawał, żeby rozmawiać z nieznanym.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje? - zapytała ostro. - Powiem ci, kiedy poczuje, że mnie ranisz. - Dźgnęła go palcem w pierś. - I powiem ci, kiedy będę oczekiwała przeprosin. Dobrze, porozmawiamy - dodała. - Ale porozmawiamy tutaj.

- Czego ty chcesz? - Zdenerwowany Grant wyrzucił w górę ramiona. Jak mógł się przed nią czołgać, skoro ona nie dawała mu paść na ziemię?

- Powiem ci, czego chcę! - krzyknęła Gennie, równie zdenerwowana. - Chcę się dowiedzieć, czy zamierzasz wyjaśnić sytuację, czy wolisz wpełznąć do swojej nory. Potrafisz się ukrywać. Jeśli nadal chcesz to robić, wystarczy tylko powiedzieć.

- Wcale się nie ukrywam - wycedził ze spokojem. - Mieszkam tu, bo mi się tu podoba, bo mogę tu spokojnie pracować. Nikt nie puka do drzwi, telefon nie dzwoni co pięć minut.

Spojrzała na niego przeciągle, z ledwie skrywaną furią.

- Nie o tym mówię. Dobrze wiesz.

Tak, wiedział. Włożył ręce do kieszeni, żeby nią znowu nie potrząsnąć.

- Dobrze. Zatałem przed tobą różne rzeczy. Nawykłem do ukrywania pewnych faktów. Ale... ale nie mówiłem ci wszystkiego, ponieważ im mocniej się zakochywałem, tym bardziej byłem przerażony. Nie chciałem się do nikogo przywiązywać... - Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał.

- Przywiązywać? W jaki sposób?

- Nie chciałem dopuścić do tego, żeby ktoś był mi potrzebny, nie chciałem na nikogo liczyć, oprócz siebie - wyjaśnił. Te słowa zaskoczyły Gennie i jego samego. - Powinienem ci opowiedzieć o swoim ojcu.

Gennie dotknęła go delikatnie. Jej oczy po raz pierwszy spojrzały łagodnie.

- Justin mi opowiedział. - Grant natychmiast zeszywniał i odwrócił się. - Czy to również chciałeś przede mną ukryć?

- Pragnąłem ci opowiedzieć o tym osobiście - powiedział z wysiłkiem po dłuższej chwili. - Chciałem ci wytłumaczyć, żebyś wszystko zrozumiała.

- Ależ rozumiem - zapewniła go. - Przynajmniej rozumiem dostatecznie dużo. Oboje straciliśmy ludzi, których bardzo kochaliśmy i na których mogliśmy polegać. Jakoś musieliśmy pogodzić się z tą stratą, załagodzić ból. Rozumiem, jak to jest, kiedy ktoś, kogo kochasz, umiera nagle, i to na twoich oczach.

Grant usłyszał, że głos jej drży, i odwrócił się. Nie potrafiłby uporać się z jej łzami, ponieważ jego samego ogarnęło wielkie napięcie.

- Nie płacz. To jest coś, z czym musisz się pogodzić! Nigdy tego nie zapomnisz, ale może zaakceptujesz. Myślałem, że to mi się udało, ale wszystko do mnie wróciło, kiedy poznałem ciebie.

Skinęła głową i przełknęła ślinę. To nie był dobry czas na łzy i rozpamiętywanie przeszłości.

- Tamtego dnia chciałeś, żebym odeszła.

- Może... Tak, tak było. - Spojrzał na szczyt skały ponad głową Gennie. - Myślałem, że takie wyjście będzie najlepsze dla nas obojga. Jest to być może prawda, tylko że ja nie potrafiłbym z nią żyć.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Dlaczego sądzisz, że rozstanie byłoby dla nas najlepsze?

- Żyjemy w dwóch zupełnie odmiennych światach. Zanim się poznaliśmy, oboje byliśmy z takiego życia zadowoleni. Teraz...

- Właśnie. Co teraz? - Czuła, że znów ogarniają gniew. - Nadal jesteś taki uparty, że nie bierzesz pod uwagę żadnego kompromisu?

Spojrzał na nią, nic nie pojmując. Dlaczego ona mówi o kompromisie, skoro on był gotów spakować się i ruszyć z nią choćby na koniec świata?

- Kompromisy?

- Pewnie nawet nie wiesz, co to słowo znaczy! Jak na kogoś tak inteligentnego i spostrzegawczego, jesteś ograniczonym głupkiem! - Rozwścieczona odwróciła się i ruszyła przed siebie.

- Zaczekaj. - Grant chwycił ją tak szybko, że aż się zachwiała. - Nie słuchasz mnie. Sprzedam ziemię albo oddam za darmo, jeśli tylko zechcesz. Zamieszkamy w Nowym Orleanie. Jeśli to cię uszczęśliwi, ogłoszę na tytułowych stronach gazet, że to ja jestem autorem „Macintosa”. Niech nasze zdjęcia ukazują się w każdym czasopiśmie w kraju.

- Myślisz, że tego właśnie chcę? - Już nie raz doprowadzał ją do krańcowej wściekłości, ale teraz przeszedł samego siebie.

- Ty prymitywny, egoistyczny osie! Nie obchodzi mnie, czy będziesz rysował swój komiks krwią, w ciemnej piwnicy. Nie dbam o to, czy znajdziesz się na tysiącach fotografii w brukowcach. Sprzedać ziemię? - zapytała. Grant ledwie nadał za jej słowami. - W imię czego miałbyś to zrobić? Dla ciebie wszystko jest czarne lub białe. Kompromis! - zawołała z furją.

- To oznacza, że trzeba dawać, ale i brać. Myślisz, że mnie obchodzi, gdzie zamieszkać?

- Nie wiem! - Stracił resztki cierpliwości. - Wiem tylko, że dotychczas żyłaś w pewien szczególny sposób i że byłaś szczęśliwa. Pochodzisz z Nowego Orleanu, masz tam rodzinę...

- I zawsze tak będzie, ale - to nie znaczy, że mam tam przebywać przez okrągły rok. - Odgarnęła włosy do tyłu i przytrzymała je dłonią. Zastanawiała się, jak to możliwe, że taki inteligentny mężczyzna tak wolno pojmuje proste sprawy. - Owszem, żyłam w szczególny sposób, ale mogę to do pewnego stopnia zmienić. Nie mogłabym dla ciebie przestać

malować, bo wtedy przestałabym być sobą. W listopadzie mam wystawę. Muszę urządzić wystawę, ale muszę też mieć ciebie przy swoim boku. Są inne rzeczy, z których chętnie zrezygnuję, jeśli i ty wykażesz chęć do ustępstw. Skoro zwariowałam i zakochałam się w tobie, to dlaczego miałabym dążyć do tego, żeby cię całkiem zmienić?

Patrzył na nią, z wysiłkiem zachowując spokój. Mówiła tak mądrze i rozsądnie. Dlaczego on tak nie potrafił?

- Czego chcesz? - zaczął i uciszył ją gestem dłoni, kiedy już miała na niego krzyknąć.

- Kompromisu - odpowiedział za nią.

- Chcę czegoś więcej. - Uniosła brodę, ale jej oczy patrzyły niepewnie. - Muszę wiedzieć, że mi ufasz.

- Gennie. - Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami.

- Ufam ci. Właśnie to starałem ci się powiedzieć.

- Nie bardzo co to wyszło.

- Nie. - Przyciągnął ją bliżej. - Daj mi spróbować jeszcze raz. - Pocałował ją, starając się zrobić to spokojnie i delikatnie. Mimowolnie jego ramiona zacisnęły się mocniej, usta napierały łapczywie. Nad nimi rozpryskiwały się fontanny wody. - Jesteś najważniejszą częścią mojego świata - wyszeptał. - Kiedy odeszłaś, szalałem. Poleciałem do Nowego Orleanu i...

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego zadziwiona. - Szukałeś mnie?

- Różne pomysły chodziły mi po głowie - wymamrotał.

- Najpierw chciałem cię udusić, potem postanowiłem, że będę się czołgał u twoich stóp, a potem, że przyciągnę cię tu siłą i zamknę w latarni.

Oparła mu głowę na piersi.

- A teraz co planujesz?

- Teraz popracujemy nad kompromisami. Daruję ci życie. - Ucałował jej włosy.

- Bardzo dobry początek. - Z westchnieniem zamknęła oczy. - Chciałabym zobaczyć morze zimą.

Podniósł ku sobie jej twarz.

- Będziemy na nie patrzeć razem.

- Jest jeszcze coś....

- Przed czy po tym, jak się będziemy kochać? Odsunęła się od niego ze śmiechem.

- Lepiej, żeby to było przed. Ponieważ jeszcze nie wspomniałeś o ślubie, ten obowiązek spada na mnie.

- Gennie...



- Nie. Tym razem zrobimy to tak, jak ja chcę. - Wyjęła monetę, którą dała jej Serena w dzień wyjazdu z hotelu Komańcz. - To również będzie pewnego rodzaju kompromis. Jeśli wypadnie orzeł, pobierzemy się, jeśli reszka, to nie.

Grant chwycił ją za rękę, zanim podzuciła monetę.

- Nie załatwiamy w ten sposób tak ważnej rzeczy. No, chyba że ta moneta ma dwa orły.

Gennie uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście, że tak.

Najpierw oniemiał z zaskoczenia, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

- W takim razie, rzucaj. Mam spore szanse na wygraną.